



***Diane Gaston***



***Honor oficera***

# Prolog

*Badajoz, Hiszpania, 1812 r.*

Nocne ciemności przeszył kobiecy krzyk.

Tej nocy do uszu kapitana Gabriela Deane'a docierały niezliczone odgłosy, brzęk tłuczonego szkła, ryk płomieni i wrzaski rozszalałego żołdactwa. Obleżenie Badajoz dobiegło końca i zaczęło się wielkie plądrowanie.

Sprawcami rozbojów bynajmniej nie byli Francuzi, wróg znany z tego, że bezlitośnie grabił zwyciężonych, lecz dopuszczali się ich Brytyjczycy, towarzysze broni Gabriela. Krążyli po mieście niczym dzikie bestie, rabując, zabijając i gwałcąc. Fałszywe pogłoski, jakoby Wellington pozwalał na takie zachowanie, jeszcze podsyciły przemoc.

Gabriel i jego porucznik Allan Landon zgodnie z rozkazem przybyli do tego piekielnego kotła, nie po to jednak, by powstrzymać zamieszki. Ich zadaniem było odnalezienie pewnego człowieka.

Edwina Tranville'a.

Ojciec Edwina, generał Tranville, kazał im odnaleźć swojego syna, który nieroztropnie dołączył do maruderów. Znalazłszy się jednak w mieście, Gabe i Landon musieli przede wszystkim myśleć o ratowaniu własnej skóry przed atakami pijanych mężczyzn ziejących żądzą krwi.

Krzyk rozległ się ponownie, tyle że nie z oddali, jak bezradne wołania o pomoc płynące z ust niewinnych kobiet i dzieci, lecz gdzieś w pobliżu, całkiem niedaleko.

Pobiegli w tamtą stronę. Rozległ się strzał, po czym z pobliskiego zaułka wybiegło dwóch żołnierzy, niemal na nich wpadając. Gabe z Landonem skręcili tam i wkrótce znaleźli się na placu oświetlonym łuną bijącą od płonącego budynku.

Jakaś kobieta pochylała się nad skuloną postacią w mundurze brytyjskiego oficera. W uniesionej ręce trzymała nóż, który najwyraźniej zamierzała wbić mu w plecy.

Gabe chwycił ją od tyłu i wytrącił jej broń z dłoni.

- Niech pani tego nie robi, *señora* - ostrzegł.

Jednak okazało się, że to nie ona potrzebowała ratunku.

- Próbowwała mnie zabić! - Brytyjski oficer, osłaniając twarz zakrwawionymi rękami, próbował wstać, ale znów osunął się bezwładnie na bruk.

W tym momencie w kręgu światła ukazał się inny człowiek. Porucznik Landon odwrócił się gwałtownie w jego stronę z bronią gotową do strzału.

- Chwileczkę. - Mężczyzna uniósł ręce. - Chorąży Vernon ze wschodniego Essex - przedstawił się, po czym wskazał na leżącego. - On próbował zabić chłopca i zgwałcić tę kobietę. Wszystko widziałem. On i dwóch innych, którzy uciekli.

Czyżby chodziło o tych, którzy ich minęli? Jeśli tak, było za późno, by ich ścigać.

- Chłopca? - Gabe się rozejrzył.

Widział tylko kobietę i oficera w czerwonej kurtce, którego omal nie zabiła. Obok, w kałuży krwi, leżało ciało francuskiego żołnierza. Wciąż mocno przytrzymując kobietę, nogą odwrócił jej niedoszłą ofiarę. Twarz mężczyzny była rozcięta od skroni po brodę, ale i tak natychmiast go rozpoznał.

- Dobry Boże, Landon, widzisz, kto to jest?

Zamiast porucznika odpowiedział chorąży Vernon.

- Edwin Tranville. - W jego głosie słychać było nieskrywane obrzydzenie. - Syn generała Tranville'a.

- Edwin Tranville - potwierdził Gabriel. Udało im się go znaleźć.

- Cholerny drań - wycedził Landon przez zęby.

Vernon pokiwał głową.

- Jest kompletnie pijany.

A czy Edwin w ogóle bywał trzeźwy? Gabe miał co do tego poważne wątpliwości.

Nagle kolejna postać wychynęła z cienia i zaskoczony Landon omal nie wypalił do niej z pistoletu.

- Nie strzelaj! - powstrzymał go Vernon. - To chłopiec.

Miał nie więcej niż dwanaście lat. Rzucił się na ciało francuskiego żołnierza.

- *Papa!* - zaszlochał.

- *Non, non, non, Claude.* - Kobieta próbowała się wyrwać z rąk Gabe'a, a kiedy ją puścił, podbiegła do syna.

- Dobry Boże, oni są Francuzami - zdziwił się Gabe.

To nie byli mieszkańcy Badajoz, tylko francuska rodzina, która próbowała uciec. Co za diabeł opętał tego nieszczęsnego Francuza, że naraził najbliższych na tak wielkie niebezpieczeństwo? Gabe nie miał zrozumienia dla ludzi, którzy zabierają ze sobą na wojnę kobiety i dzieci.

Uklęknął obok martwego żołnierza i przyłożył mu palce do szyi.

- Nie żyje.

Kobieta podniosła na niego wzrok.

- *Mon mari*. - To był jej mąż.

Gabe głęboko wciągnął powietrze.

Była piękna mimo malującego się na jej twarzy cierpienia. Włosy miała ciemne jak Hiszpanka, ale cerę o barwie i gładkości alabastru. W świetle płomieni trudno było określić kolor jej wielkich i wyrazistych oczu.

Gabe poczuł, jak wzbiera w nim złość. Czy to możliwe, że Edwin zabił francuskiego żołnierza na oczach jego rodziny? Czy rzeczywiście chciał też zabić chłopca i zgwałcić jego matkę, jak twierdził chorąży Vernon? Co jej zrobili pozostali dwaj mężczyźni, zanim uciekli?

- *Papa! Papa! Réveillez!* - szlochał chłopiec.

- *Il est mort, Claude*.

Niski, miękki głos młodej wdowy wzbudził w Gabrielu wspomnienie matki, gdy uspokajała któregoś z jego braci lub sióstr.

Zaciskając pięści, podszedł do Edwina, gotowy skopać go na krwawą miazgę. Z trudem zatrzymał się krok przed nim. Pijany i ranny, leżał zwinięty w kłębek i cicho pochlipywał.

- To Edwin go zabił? - zwrócił się do Vernona, jednocześnie wskazując na ciało Francuza.

Chorąży bezradnie pokręcił głową.

- Nie widziałem.

- Co teraz z nią będzie? - spytał Gabe bardziej siebie niż swoich towarzyszy.

Kobieta przyciskała syna do piersi, starając się go pocieszyć, gdy w pobliżu znów rozległy się krzyki.

Gabe wyprostował się, błyskawicznie podejmując decyzję.

- Musimy ich stąd zabrać. Landon, odstaw Tranville'a do obozu. - Odwrócił się do Vernona. - Będę potrzebował pańskiej pomocy.

- Chyba jej nie wydasz? - Landon sprawiał wrażenie przerażonego.

- Oczywiście, że nie - odburknął Gabe. - Znajdę jakieś bezpieczne miejsce. Może w kościele. Albo gdzie indziej. - Spojrzał najpierw na Landona, a potem na chorążego. - Ani słowa o tym. Zgoda?

Landon ze złością wskazał na Edwina.

- Powinien za to wisieć.

Gabe całkowicie się z nim zgadzał, ale piętnaście lat służby wojskowej nauczyło go, że zawsze trzeba myśleć praktycznie. Wątpił, by brano takie rozwiązanie pod uwagę wobec któregokolwiek z żołnierzy. Wellington za bardzo ich potrzebował, a stary Tranville z całą pewnością nie chciałby ryzykować życia syna czy jego reputacji. Gabe i Landon musieli się zabezpieczyć na wypadek, gdyby generał chciał się zemścić.

Tym bardziej musieli zadbać o bezpieczeństwo nieszczęsnej Francuzki.

- Edwin jest synem generała - przypomniał Gabe tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Jeśli zawiadomimy o popełnionej przez niego zbrodni, generał dobierze się do nas, nie do niego. - Ruchem głowy wskazał na kobietę. - Może nawet zagrozić jej i chłopcu. - Popatrzył na człowieka, który był sprawcą całego nieszczęścia. - Drań jest tak pijany, że może nawet nie pamiętać, co zrobił. Nic nie powie.

- Pijaństwo niczego nie usprawiedliwia... - Landon urwał gwałtownie, po czym w zadumie pokiwał głową. - Dobrze. Zachowamy to dla siebie.

Kapitan zwrócił się do Vernona:

- Mogę trzymać pana za słowo?

- Tak jest - potwierdził skwapliwie chorąży.

Rozległ się głośny brzęk pękającego szkła, zaraz potem dach płonącego budynku runął, posyłając w niebo snopy iskieł.

- Musimy się śpieszyć. - Gabe podał Vernonowi rękę. - Kapitan Deane, a to porucznik Landon. - Odwrócił się do kobiety. - Jest tu w pobliżu jakiś kościół? - Podniósł

dłoń do czoła. - Do licha, jak jest kościół po francusku? *Glise*? To właściwe słowo? *glise*?

- *Non*. Nie ma kościoła, *capitaine* - odpowiedziała kobieta. - Mój... mój *maison*... mój dom. Chodźmy.

- Mówi pani po angielsku, madame?

- *Oui, un peu*... trochę.

Landon przerzucił Edwina przez ramię.

- Uważaj na siebie - pożegnał go Gabe.

Porucznik skinął głową, po czym ruszył w kierunku, z którego nadeszli.

- Chcę, żeby pan ze mną poszedł - poprosił Gabe Vernona, zerkając na ciało Francuza. - Będziemy musieli go tu zostawić.

- Tak, sir.

Kobieta popatrzyła na męża, jakby się z trudem powstrzymywała, by nie przypaść do niego. Objęła za ramiona syna, który opierał się, nie chcąc opuszczać ojca. Gabe obserwował ich ze współczuciem.

- Chodźmy - odezwała się w końcu, ponaglając ich gestem.

Ruszyli wąską uliczką, po czym wskazując na otwarte na oścież drewniane drzwi, kobieta powiedziała szeptem:

- *Ma maison*.

Gabe kazał im pozostać na miejscu i sam wszedł do środka.

Łuny pobliskich pożarów oświetlały wnętrze na tyle, że zobaczył pobojuwisko: polamane krzesła, stłuczoną porcelanę, rozrzucone papiery - przedmioty, które kiedyś należały do wygodnego, codziennego życia. Przeszukał największy pokój, żeby sprawdzić, czy nikt się tam nie ukrywa, a następnie zajrzał do niewielkiej kuchni i sypialni. Wszystkie pomieszczenia były gruntownie zdemolowane.

- Nikogo tam nie ma - oznajmił, stając z powrotem w drzwiach.

Vernon przeprowadził matkę i syna przez próg. Na widok spustoszenia kobieta przytknęła dłoń do ust, a Claude przytulił się do niej, chowając twarz w fałdach jej sukni. Trzymając go mocno przy sobie, ostrożnie przeszła do kuchni.

Gabe starał się zapewnić jej choć namiastkę wygody, na jaką pozwalały istniejące warunki. Przeszedł do sypialni i przeciągnął stamtąd resztki materaca do największego pokoju, oczyszczając kawałek miejsca w narożniku. Znalazł podarty koc i ułożył go na materacu.

Kobieta wyłoniła się z kuchni i podała mu wodę w wyszczerbionej filiżance. Syn cały czas kurczowo trzymał się jej spódnicy, niczym małe, przestraszone dziecko.

Gabe uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. Przyjmując filiżankę, na moment dotknął jej dłoni, na co jego zmysły odpowiedziały natychmiast. Miał wrażenie, że oblewa go fala gorąca.

- Ci... *Anglais* zrobili pani krzywdę? - Jak to mogło być po francusku? - *Violate? Moleste?*

Odebrała od niego naczynie.

- *Non. Ils m'ont pas molester.*

Pokiwał głową, że rozumie. Nie została zgwałcona. Dzięki Bogu.

- Może pan trzymać straż? - zwrócił się do chorążego Vernona. - Prześpię się z godzinkę i pana zmienię. - Nie zmrużył oka od czasu rozpoczęcia oblężenia, czyli od ponad doby.

- Dobrze, sir.

Zabezpieczyli drzwi, układając barykadę z połamanymi sprzętami. Vernonowi udało się znaleźć drewniane krzesło z nienaruszonym siedziskiem i wszystkimi czterema nogami. Ustawił je przy oknie i usiadł na nim, by pełnić straż.

Matka i syn wtuleni w siebie ułożyli się na materacu. Gabe spoczął na podłodze, oparty plecami o ścianę. Popatrzył na kobietę i ich spojrzenia się spotkały. Kontakt wzrokowy trwał tylko chwilę, ale miał siłę uścisku.

Gabe przeraził się własnych odczuć. Zamiast współczuć jej z powodu tych wszystkich potworności, które dopiero co przeżyła, myślał o tym, jaka jest piękna i jak bardzo mu się podoba.

Próbował sobie wmawiać, że być może po prostu go wzrusza swą troskliwością wobec syna, czułością, z jaką tuli dziecko. Często widywał takie gesty u matki, kiedy zajmowała się jego młodszymi siostrami.

A może jej oddanie synowi obudziło w nim jakieś ukryte tęsknoty? Po narodzinach Gabe'a na świat przychodziły same dziewczynki, jedna po drugiej, przez co często był pozostawiany w towarzystwie starszych braci, którym usiłował dotrzymać kroku.

Co się z nim, u diabła, działo? Skąd te niedorzeczne rozpamiętywania? Przecież nigdy nie potrzebował tak wiele uwagi co młodsze siostry. Przeciwnie, szorstka opieka braci tylko pomagała mu zmęźnieć.

Zmusił się do zamknięcia oczu. Rozpaczliwie potrzebował snu. Był przekonany, że po godzinnej drzemce znów zacznie myśleć jak żołnierz.

Z zewnątrz wciąż dobiegały odgłosy burd i rozbojów, ale miękki kobiecy głos wypowiadający słowa pociechy do syna w końcu na tyle ukoiły Gabe'a, że zasnął.

Rzeź trwała przez następne dwa dni. Chorąży Vernon, Gabe oraz matka z synem pozostawali we względnie bezpiecznym schronieniu, czyli w jej splądrowanym domu. Wymuszona bezczynność działała Gabe'owi na nerwy, ale miał świadomość, że w zaistniałej sytuacji jego odczucia nie mają znaczenia. Należało przed wszystkim chronić kobietę i dziecko.

Resztki jedzenia, które udało im się znaleźć w ogołoconym domu, oddali chłopcu, który wciąż był głodny. Vernon zabijał czas rysowaniem. Niektóre szkice zachowywał wyłącznie dla siebie, natomiast fantazyjne rysunki zwierząt i różnych innych stworów darował chłopcu, próbując choć trochę poprawić mu nastrój. Claude nic nie mówił, tylko oglądał je, nie okazując przy tym żadnych emocji. Większość czasu spędzał przy boku matki, obserwując Gabe'a i Vernona nieufnym spojrzeniem.

Żadne z nich właściwie się nie odzywało. Gabe mógł zliczyć na palcach jednej ręki słowa, które zdarzyło mu się wymienić z kobietą. Mimo to przez cały czas jego uwaga skupiona była właśnie na niej. Zauważał każdy, nawet najmniejszy jej gest czy zmianę w wyrazie twarzy. Puste godziny wyczekiwania w niczym nie osłabiły jego postanowienia, by zapewnić jej i jej synowi bezpieczeństwo.

Trzeciego dnia w mieście wreszcie przywrócono porządek. Gabe otworzył drzwi i wyszli na zewnątrz. Kobieta tylko raz obejrzała się za siebie, na budynek, który dotąd był jej domem. W powietrzu dało się wyczuć zapach dymu i palonego drewna, jednak za-



miast rozzierających krzyków słycać było jedynie wojskowe komendy i rytmiczny krok maszerujących oddziałów.

Udali się do centrum miasta, gdzie Gabe spodziewał się znaleźć główną kwaterę dowództwa. Dowiedział się tam, w którym budynku zgromadzono innych francuskich cywilów. Odnaleźli ten obiekt, ale Gabe zawahał się przed wprowadzeniem matki i syna do środka. Trudno mu było powierzyć ich los obcym ludziom. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego nagle ta nieznajoma kobieta stała się dla niego tak ważna, ważniejsza niż ktokolwiek inny na świecie. Jednak nie miał wyboru, musiał ją tam zostawić.

- Powinniśmy wejść do środka - powiedział.

- Ja tu zostanę, sir, jeśli pan pozwoli - odezwał się chorąży Vernon.

- Jak pan sobie życzy - odparł Gabe.

- Do widzenia, madame.

Kobieta odpowiedziała na pożegnanie Vernona szybkim skinieniem. Sprawiała wrażenie przestraszonej i jednocześnie zrezygnowanej.

Gabe odprowadził ją i jej syna do końca korytarza, gdzie pełnili straż dwaj żołnierze. W pilnowanym przez nich pomieszczeniu nie było mebli oprócz stołu i krzesła, na którym siedział brytyjski oficer. Poza nim znajdowało się tam około dwudziestu osób, głównie starszych mężczyzn, prawdopodobnie byłych urzędników miejskich, oraz inne kobiety i dzieci, które utraciły swoje rodziny.

Gabe zwrócił się do brytyjskiego oficera, wyjaśniając mu sytuację swoich podopiecznych.

- Co się z nimi stanie? - zapytał na koniec.

- Kobiety i dzieci zostaną odesłane do Francji, o ile mają pieniądze na podróż - odparł.

Gabe odszedł na bok i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni munduru sakiewkę pełną monet, które stanowiły prawie cały jego majątek. Rozejrzawszy się ukradkiem, by sprawdzić, czy nikt nie widzi, wcisnął kobiecie pieniądze do ręki.

- Będą pani potrzebne - rzekł cicho.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- *Capitaine...* - zaczęła tonem sprzeciwu.

- Żadnych protestów - przerwał, zaciskając palce na jej dłoni trzymającej sakiewkę. Dotknęła jego ręki i popatrzyła mu w oczy bez słowa. Nie potrafił wytłumaczyć dlaczego, ale żegnając się z nią, miał wrażenie, jakby tracił część samego siebie.

Nawet nie znał jej imienia.

- Gabriel Deane - przedstawił się, dotykając palcem swojej piersi.

Pomyślał, że przynajmniej będzie wiedziała, jak się nazywa, gdyby go potrzebowała.

- Gabriel - powtórzyła szeptem, a zabrzmiało to wyjątkowo melodyjnie, wypowiedziane z pięknym francuskim akcentem. - *Merci. Que Dieu vous bénisse.*

Gabe ściągnął brwi w wyrazie zakłopotania, ale cóż, zapomniał prawie wszystko, czego nauczył się w szkole.

Na widok jego miny spróbowała znaleźć odpowiednie angielskie słowa.

- *Dieu... Bóg...* - Zmarszczyła czoło w namyśle. - *Bénisse.*

- Błogosławi? - domyślił się Gabe.

Przytaknęła skinieniem.

Zrobił krok do tyłu, choć nie przyszło mu to łatwo.

- *Au revoir, madame.*

Zaciskając zęby, odwrócił się i ruszył do drzwi. Wiedział, że musi wyjść, zanim zrobi coś głupiego. Na przykład ją pocałuje. Albo wyjedzie z nią do Francji. Nie znał jej, był dla niej obcą osobą, tylko w sferze fantazji stała się dla niego kimś bliskim.

- Gabriel!

Przystanął. Podbiegła do niego.

Ujęła jego twarz i przyciągnęła do siebie, żeby go pocałować w usta.

- Nazywam się Emmaline Mableau - powiedziała z twarzą tuż przy jego twarzy.

Bał się odezwać, żeby nie zdradzić uczuć, jakie nagle wypełniły go bez reszty. Pragnął jej, tak jak mężczyzna pragnie kobiety. To było głupie i niestosowne. Wręcz niehonorowe, bo przecież dopiero co straciła męża z rąk jego towarzyszy broni, więc w pewnym sensie jakby jego własnych.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem odwrócił się i uciekł.

A w głowie kołatała mu uporczywie i bez końca tylko jedna myśl: Emmaline Mableau.

## Rozdział pierwszy

*Bruksela, Belgia, maj 1815 r.*

Emmaline Mableau!

Serce Gabe'a zabiło mocniej na widok kobiety, którą poznał i wkrótce potem pożegnał przed trzema laty. Przechodziła szybko wąską brukselską uliczką, niosąc w rękach paczkę.

Był przekonany, że to Emmaline Mableau.

Prawie przekonany...

Zawsze sobie wyobrażał, że wróciła do Francji i mieszka w jakimś małym miasteczku z rodzicami... albo nowym mężem.

Tymczasem była tutaj, w Belgii.

W Brukseli mieszkało wielu Francuzów, było więc całkiem prawdopodobne, że i ona tu osiadła. Dwadzieścia lat francuskich rządów dobiegło końca zaledwie przed rokiem, kiedy Napoleon został pokonany.

Pokonany po raz pierwszy, ponieważ cesarz uciekł z zesłania na Elbie, zebrał armię i właśnie zmierzał do odzyskania swego imperium. Regiment szkocki, w którym służył Gabe, stanowił część armii sprzymierzonych Wellingtona i wkrótce miał się ponownie zmierzyć z wojskami Bonapartego.

Po zawarciu traktatu pokojowego wielu angielskich arystokratów zjechało do Brukseli, uciekając przed wysokimi cenami w ojczyźnie. Chcieli niewielkim kosztem prowadzić wygodne, eleganckie życie. Mimo to Bruksela sprawiała wrażenie przygotowanej na francuskie rządy, jakby jej mieszkańcy oczekiwali, że Napoleon może w każdej chwili wkroczyć do miasta. Niemal wszyscy mówili po francusku, sklepowe szyldy także były w tym języku. Nawet hotel, w którym stacjonował Gabe miał francuską nazwę: Hôtel de Flandre.

Gabe wstał wcześniej, żeby rozprostować nogi w rześkim rannym powietrzu. Od jakiegoś czasu miał niewiele obowiązków służbowych, więc spędzał kolejne dni na zwiedzaniu terenów za Parc de Brussels i katedrą. Może jednak było w nim więcej z syna kupca bławatnego, niż przypuszczał, ponieważ najbardziej lubił się przechadzać wąskimi uliczkami pełnymi sklepów.

Dostrzegł Emmaline Mableau, kiedy schodził ze wzgórza, kierując się do centrum miasta. Szybko mijała sklepikarzy, którzy o tej porze podnosili żaluzje w witrynach i otwierali drzwi. Gabe przyśpieszył kroku, żeby mu nie umknęła, bo co i rusz tracił ją z oczu.

Mógł się mylić, brać jakąś obcą kobietę za Emmaline Mableau. Często o niej myślał i chętnie uwierzył, że to naprawdę ona. Wiedział jednak, że nie spocznie, dopóki się nie upewni.

Wyłaniając się zza rogu ulicy, dostrzegł, że śledzona przez niego kobieta wchodzi do drzwi ostatniego z rzędu sklepów. Serce zabiło mu mocniej.

Zwolnił, zbliżając się. Wiszący nad nimi szyld informował, że w środku mieści się Magasin de Dentelle. Okiennice były już otwarte i przez okno dało się zobaczyć zwoje koronki rozłożone na stołach.

Gabe nacisnął klamkę i przestąpił próg, zdejmując z głowy czako.

Zewsząd otaczała go biel. Koronkowe taśmy o różnej szerokości i rodzaju wzorów zwisały ze sznurów rozciągniętych przez całą długość sklepu. Na stołach piętrzyły się bele koronkowych materiałów, obrębianych koronką chusteczek i koronkowych czepków. Ścian nie było widać zza rozwieszonych wszędzie koronkowych firan. Wyraźny aromat lawendy połączony z zapachem tkanin przeniósł go w czasy, gdy dźwigał potężne bele płótna w sklepie ojca.

Poprzez zasłonę z koronkowych wstążek dostrzegł kobiecą postać wyłaniającą się z pomieszczenia na zapleczu. Głowę miała opuszczoną, więc nie widział jej twarzy. Odwrócona do niego plecami zaczęła składać duży prostokąt misternie wydzierganej koronki, której wykonanie musiało zająć niezliczoną ilość mozolnych godzin.

Gabe odetchnął głęboko i zbliżył się do kobiety.

- Madame Mableau?

Zaskoczona Emmaline odwróciła się gwałtownie.

- *Mon Dieu!*

Rozpoznała go natychmiast, to dzięki jego interwencji i opiece przeżyła w Badajoz i nie popadła w obłęd z rozpaczy. Choć starała się wymazać z pamięci to, co przeżyła po upadku tego hiszpańskiego miasta, postać kapitana Gabriela Deane'a wciąż żywo tkwiła w jej pamięci. Jego brązowe oczy, wówczas czujne, teraz miały w sobie wyraz niepewności, ale cała reszta - mocne rysy, ładnie wykrojone usta i niesforne ciemne włosy wyglądały tak samo jak wówczas.

- Madame. - Skłonił się uprzejmie. - Pamięta mnie pani? Zobaczyłem panią z daleka i nie byłem pewien, czy to pani.

Patrzyła na niego i nie była w stanie się odezwać. Jego czerwona kurtka stanowiła jaskrawą plamę na tle wszechobecnej bieli. Wydawał się nienaturalnie wielki i potężny w tym otoczeniu, jakby wypełniał sobą całą przestrzeń. W Badajoz też miał w sobie jakąś szczególną moc... a może tak jej się tylko wydawało, bo zapewniał im bezpieczeństwo i dawał nadzieję.

- *Pardon* - zmitygował się Gabe. - Zapomniałem, że mówi pani tylko troszkę po angielsku. *Un peu anglais.*

Uśmiechnęła się, słysząc słowa, które wypowiedziała do niego w Badajoz.

- Pamiętam pana, *naturellement*. - Nawet jej się nie śniło, że jeszcze kiedyś go spotka. - Ja... teraz mówię trochę więcej po angielsku. To konieczność. W Brukseli tak wielu Anglików. - Zamilkła, ganiąc się w duchu za niepotrzebne gadulstwo.

- Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa? - zapytał, przyglądając jej się uważnie spod ściągniętych brwi.

- Bardzo dobrze. - Wprawdzie w tym momencie trudno jej było oddychać, a nogi miała jak z waty, ale powodem było spotkanie z kapitanem Deane'em, nie choroba.

Odetchnął z ulgą.

- A pani syn?

Emmaline Mableau opuściła wzrok.

- Claude był zdrow, kiedy go ostatnio widziałam.

Gabe wyczuł, że w tej odpowiedzi ukryta jest prawda, której Emmaline Mableau nie ma ochoty mu wyjawić.

- Sądziłem, że będziecie we Francji - odezwał się po chwili zadumy.

- Moja ciotka tu mieszka. To jej sklep. - Rozłożyła ramiona. - Potrzebowała pomocy, a my domu. *Vraiment*, Belgia jest lepszym miejscem do... jak wy to mówicie... wychowywania Claude'a. - Wierzyła, że życie w Belgii uodporni syna na patriotyczną gorączkę, którą wzbudzał Napoleon, szczególnie u jej rodziny.

Była w błędzie.

Gabriel spojrzał jej w oczy.

- Rozumiem. - Na jego twarzy odmalował się wyraz troski. - Mam nadzieję, że podróż z Hiszpanii nie była dla państwa zbyt ciężka.

To było tak dawno, a jednak... Każdemu krokowi towarzyszył lęk, choć szczęśliwie nikt jej nie zaatakował, więc i Claude nie musiał ryzykować życia, stając w jej obronie. Mimo to na samo wspomnienie przebiegł ją dreszcz.

- Zabrano nas do Lizbony, stamtąd dostaliśmy się na statek do San Sebastian, a potem na drugi, do Francji.

Miała trochę pieniędzy zaszytych w ubraniu, ale bez sakiewki, którą dał jej kapitan Deane, nie miałaby na opłatę za przejazd i łapówki, bez których nie dało się niczego załatwić. Co by się z nimi stało bez tych pieniędzy?

Pieniądze.

Emmaline nagle zrozumiała, po co kapitan przyszedł za nią do sklepu.

- Zwrócę panu mój dług. Jeśli wróci pan tu jutro, to oddam panu całą kwotę. - Oznaczało to, że pozbędzie się wszystkich oszczędności, ale przecież nie tylko to była mu winna.

- Pieniądze w ogóle mnie nie obchodzą - oznajmił, dobitnie akcentując słowa.

Po wyrazie jego oczu zrozumiała, że poczuł się urażony.

- Przepraszam, Gabrielu - powiedziała cicho, rumieniąc się z zakłopotania.

- Zapamiętała pani moje imię. - Wyraźnie się rozpogodził.

Odwzajemniła uśmiech.

- A pan zapamiętał, jak ja się nazywam.

- Nie mógłbym pani zapomnieć, Emmaline Mableau.

Miała wrażenie, że jego dźwięczny, niski głos wpływa jej wprost do serca.

Wszystko w jej pamięci stało się niewyraźne, straciło kontury jedynie poza postacią brytyjskiego kapitana. Przez cały ten czas od spotkania w Badajoz oczyma duszy widziała go tak wyraźnie, że mogłaby zliczyć każdy włos zarostu na jego twarzy. Po kilku dniach czuwania w jej domu przez to, że się nie golił, wyglądał trochę jak pirat albo libertyn. Mimo rozpacz i strachu zastanawiała się, czy jego broda jest szorstka, czy miękka, i co by czuła, dotykając jej palcami... albo policzkiem. Mogła się usprawiedliwiać jedynie tym, że chwyciła się każdej myśli, która odrywała ją od tych wszystkich potworności, których doświadczyła, od śmierci męża i rozdzierającego żalu syna, który musiał patrzeć, jak jego ojciec pada martwy na bruk.

Gabe zamrugał i odwrócił wzrok.

- Może nie powinienem był tu wchodzić.

Odruchowo dotknęła jego ramienia.

- *Non, non*, Gabrielu. Cieszę się, że pana widzę. Ależ niespodzianka...

Drzwi się otwały i do środka weszły dwie kobiety.

- Och, cóż za wspaniały sklep - pochwaliła jedna z nich, zdradzając przy okazji swoją narodowość. - Jeszcze nigdy nie widziałam tylu koronek naraz!

Dla takich właśnie klientek Emmaline starała się poprawić swój angielski. Po zakończonej wojnie angielskie damy coraz liczniej przybywały do Brukseli, żeby tu wydawać swoje pieniądze.

Jeśli można było powiedzieć, że wojna się skończyła.

Angielscy żołnierze wciąż stacjonowali w mieście, ponieważ mówiło się, że zbliża się wielka bitwa z Napoleonem. Bez wątplenia Gabriel także tu przybył, żeby wziąć w niej udział.

Angielki zerkały ciekawie w kierunku wysokiego, przystojnego oficera, który bez wątplenia stanowił niecodzienny widok pośród delikatnych, białych koronek.

- Powinienem już iść - powiedział cicho Gabe.

Na dźwięk jego głosu znów zmiękły jej kolana. Nie chciała tracić go z oczu. W każdym razie nie tak szybko...

- Miło wiedzieć, że dobrze się pani miewa. - Skłonił się przed nią i zrobił krok do tyłu.

Miał zamiar odejść!

- *Un moment*, Gabrielu - odezwała się szybko. - Chciałabym... zaprosić pana, żeby pan zjadł ze mną kolację, ale mam tylko chleb i ser.

Kiedy zajął jej w oczy, odniosła wrażenie, że oddech uwiązał jej w piersi. Bała się odetchnąć, czekając na jego odpowiedź.

- Lubię chleb i ser.

Z radości niemal zakręciło jej się w głowie.

- Zamknę sklep o siódmej. Wróci pan, żeby zjeść ze mną chleb z serem?

Ciotka dostałaby zapewne apopleksji, gdyby wiedziała, że Emmaline zaprasza brytyjskiego żołnierza. Istniała jednak nadzieja, że *tante* Voletta o niczym się nie dowie.

- Przyjdzie pan, Gabrielu? - powtórzyła cicho.

- Wrócę tu o siódmej - oznajmił z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, po czym skłonił się i pośpiesznie opuścił sklep, odprowadzany zaciekawionymi spojrzeniami dwóch angielskich dam.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, natychmiast przeniosły wzrok na Emmaline, która z wymuszonym uśmiechem starała się zachowywać tak, jakby nic ważnego się nie stało.

- Dzień dobry, *mesdames*. Mogę czymś paniom służyć?

Pokiwały głowami, wciąż wyraźnie zaintrygowane niedawną sceną, po czym odwróciły się do niej tyłem i zaczęły do siebie szeptać, udając, że oglądają koronkowe czepki.

Emmaline dokończyła składanie koronki, które przerwało jej nadejście Gabriela.

Nie mogła się nadziwić, że zamienienie paru słów z mężczyzną wprawilo ją w stan tak wielkiego ożywienia. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzało. W istocie od śmierci męża bardzo uważała, by nie wzbudzać męskiej uwagi.

Ukryła twarz w miękkiej koronkowej tkaninie, przywołując w pamięci tamtą straszną noc. Wrzaski pijanych żołnierzy i ryk pożarów znów zabrzmiały jej w uszach. Dreszcz wstrząsnął jej ciałem na wspomnienie zapachu krwi, dymu i męskiego potu.



Powinna była wybaczyć swojemu mężowi, że zabrał ją i syna do Hiszpanii, ale nie potrafiła się zdobyć na taki akt wielkoduszności. Przez samolubną decyzję Remy'ego wyładowali w piekle, którym stało się Badajoz.

Emmaline pokręciła głową. Nie, to nie Remy'emu nie mogła wybaczyć, tylko sobie. Powinna była mu się sprzeciwić. Powinna była mu odmówić, kiedy zażądał, by mu towarzyszyli, ponieważ nie chciał się rozstawać z synem. Powinna była przetrzymać jego krzyki, złość i groźby. Gdyby odmówiła, Remy może nadal by żył, a dusza i serca Claude'a nie byłyby przepełnione nienawiścią.

Co by czuł Claude, wiedząc, że jego matka zaprasza na kolację brytyjskiego oficera? Już sama rozmowa z Gabrielem Deane'em byłaby w oczach syna zdradą. Jego nienawiść obejmowała wszystko, co angielskie, nie wyłączając człowieka, który stanął w ich obronie i zapewnił im bezpieczeństwo.

Jednak ani ciotka, ani Claude nie mieli się dowiedzieć o jej kolacji z Gabrielem Deane'em, więc postanowiła się tym nie martwić. Próbowала sobie wmawiać, że chce mu się jedynie zrewanżować za przysługę. To właśnie był powód, dla którego go zaprosiła. Jedyny powód.

Wieczór był przyjemny, pogodny i ciepły, jak przystało na koniec maja. Gabe napawał się świeżym powietrzem, maszerując tak samo szybko jak tego ranka, kiedy śledził Emmaline. Był podekscytowany i pełen oczekiwań, do których nie powinien rościć sobie prawa.

Miał w życiu do czynienia z wieloma kobietami, jak to żołnierz, ale były to tylko krótkie znajomości, wprawdzie przyjemne, lecz niewiele dla niego znaczące. Żadna z tych kobiet nie budziła w nim tego dziwnego zmysłowego napięcia, które odczuwał w obecności Emmaline Mableau.

Zmusił się do zwolnienia kroku, jednocześnie przywołując się do porządku. To ciekawość, jak Emmaline sobie radziła od czasu Badajoz, kazała mu przyjąć zaproszenie. Spędzony razem czas sprawił, że czuł się w pewien sposób przywiązany do niej i jej syna. Dlatego chciał się upewnić, że jest szczęśliwa. Uświadomił sobie w tym momencie, że nie powinien jej nazywać po imieniu, nawet w myślach, ponieważ wytwarzało to poczucie niestosownej intymności.

Tylko że ona także zwracała się do niego po imieniu. Kiedy mówiła „Gabrielu”, miał wrażenie, że słucha muzyki.

Znów przyspieszył.

Zbliżywszy się do drzwi sklepu, przystanął, starając się zapanować nad wzburzonymi emocjami. Dopiero kiedy uznał, że osiągnął całkowity spokój, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Emmaline stała z klientką przy koronkowych taśmach zawieszonych na sznurze. Spojrzała na niego, gdy stanął w progu.

Klientka była Angielką, podobnie jak dwie kobiety, które odwiedziły sklep tego ranka. Nosiła się jak osoba bardzo zamożna, a jednak głośno narzekała na wysoką cenę towaru. Różnica między ceną podaną przez Emmaline a sumą, którą chciała zapłacić klientka była doprawdy groszowa.

„Daj jej pełną kwotę”, miał ochotę powiedzieć Gabriel do Angielki. Domyślił się, że Emmaline potrzebuje tych pieniędzy znacznie bardziej niż ona.

- *Très bien, madame* - odezwała się z rezygnacją Emmaline, godząc się na obniżkę.

Gabe stanął w kącie, czekając, aż Emmaline zawinie koronkę w papier i obwiąże ją sznurkiem. Opuszczając sklep, angielska dama zmierzyła go wzrokiem, ściągając przy tym usta w wąską kreskę.

Czyżby chciała w ten sposób wyrazić swoją dezaprobatę? Przecież nie miała pojęcia, dlaczego pojawił się w sklepie. Czyżby żołnierz nie miał prawa wstępu do sklepu z kobiecymi akcesoriami?

Kiedy wyszedł na środek, Emmaline uśmiechnęła się do niego, ale zaraz uciekła wzrokiem.

- Będę gotowa za minutę. Muszę zamknąć sklep.

- Proszę powiedzieć, co trzeba zrobić, to pani pomogę. - Wolał już się czymś zająć, niż śledzić każdy jej ruch.

- W takim razie proszę zamknąć okiennice na witrynach. - Zaczęła porządkować rzeczy leżące na stołach.

Gdy zrobił, o co go prosiła, w sklepie zapanował półmrok rozjaśniony jedynie światłem niewielkiej lampy. Koronki, które w porannym słońcu wydawały się śnież-

nobiałe, teraz przybrały delikatne odcienie lawendy i szarości. Patrząc, jak Emmaline przechodzi od stołu do stołu, tu coś poprawiając, tam zwijając jakąś wstążkę, miał wrażenie, że to wszystko dzieje się we śnie.

W końcu zatrzymała się przy drzwiach, wyciągnęła z kieszeni klucz i przekreśliła go w zamku.

- *C'est fait!* - oznajmiła. - Gotowe. Proszę za mną. - Poprowadziła go na zaplecze, zabierając kasetkę z utargiem. Przed zgaszeniem lampy odpaliła od niej świeczkę. - Wyjdziemy tylnymi drzwiami.

Gabe wyjął jej z rąk kasetkę.

- Pozwoli pani, że ją poniosę.

Weszli do pomieszczenia oddzielonego zasłoną, równie schludnego jak cały lokal.

Emmaline uniosła świecę, żeby lepiej było widać schody.

- *Ma tante...* moja ciotka mieszka nad sklepem, ale wyjechała. Niektóre koronczarki mieszkają poza miastem, więc ciotka do nich jeździ i skupuje koronki.

Gabe miał nadzieję, że podróży jej ciotki nie zakłóci przemarsz wojsk zmierzających do Francji. Spodziewał się, że w każdej chwili może paść rozkaz wyruszenia armii sprzymierzonych przeciw Napoleonowi.

- Gdzie jest pani syn? - zapytał. - W szkole? - Jeśli dobrze zapamiętał, Claude mógł mieć najwyżej piętnaście lat, czyli był w wieku, kiedy powinien się uczyć.

- *Non* - odpowiedziała cicho, pochylając głowę.

Gabe zauważył, że na każdą wzmiankę o synu jej rysy ściągał wyraz cierpienia.

Za sklepem znajdował się niewielki placyk, do którego przylegały inne sklepy, a dalej piętrowy budynek z kamienia. Pod oknami wisały skrzynki pełne kolorowych kwiatów.

- *Ma maison* - powiedziała Emmaline, otwierając drzwi kluczem.

Kontrast pomiędzy tym miejscem a jej domem w Badajoz był wprost uderzający. Tam panował chaos i zniszczenie, podczas gdy brukselskie mieszkanie zapraszało przytulnością i nieskazitelnym porządkiem. Gabe wszedł do pomieszczenia, które pełniło rolę zarówno salonu, jak i jadalni, o czym świadczył sposób zaaranżowania przestrzeni. W ścianie przeciwległej do wejścia znajdowały się drzwi do niewielkiej kuchni.

Emmaline zapaliła najpierw jedną lampę, potem drugą, i pokój nagle jakby ożył. Wypolerowaną drewnianą podłogę pokrywał kolorowy dywan. Przed pomalowanym na biało kominkiem stała czerwona tapicerowana sofa i dwa małe stoliki z krzesłami. Stoliki przykryte były białymi koronkowymi obrusami i stały na nich wazony pełne barwnych kwiatów.

- Proszę wejść, Gabrielu - zachęciła. - Otworzę okna.

Gabe zamknął za sobą drzwi i zrobił kilka kroków.

Mieszkanko było jeszcze mniejsze niż chatka, w której mieszkał jego wuj Will, ale panowała w nim ta sama atmosfera ciepła i gościnności. Wuj, najslabiej prosperujący z całej rodziny Deanów, prowadził farmę w Lancashire. Gabe'owi zdarzało się czasami pracować u jego boku i zachował te chwile w pamięci jako jedne z najszcześniejszych w życiu. Ogarnęła go nagła tęsknota za tamtymi czasami. I poczucie winy, bo od lat nie pi-sywał do wuja.

Emmaline odwróciła się od okna. Widząc, że Gabe rozgląda się po wnętrzu, powiedziała tonem wyjaśnienia:

- Jest małe, ale nie potrzebujemy większego.

Wydawało się... bezpieczne. Po Badajoz Emmaline Mableau zasługiwała na bezpieczną przystań.

- Miło tu.

Uniosła lekko ramię, jakby uznała jego słowa za wyraz dezaprobaty.

Chciał jej wytłumaczyć, że mieszkanie podoba mu się aż za bardzo, ale to jeszcze trudniej było ubrać w odpowiednie słowa.

Wzięła od niego kasetkę i umieściła w zamykanej szafce.

- Bardzo żałuję, że nie mogę podać odpowiedniego posiłku, ale rzadko gotuję. Dla samej siebie nie zawsze się chce.

Wynikało z tego, że syn nie mieszka z nią na co dzień.

- Nie ma potrzeby przeproszać, madame. - Przecież przyjął zaproszenie nie na wystawną ucztę, ale z całkiem innego powodu.

- Zatem proszę usiąść, a ja przygotuję jedzenie.

Gabe zajął miejsce przy stole, twarzą do kuchni, żeby obserwować gospodynię.

Postawiła na stole kieliszki i butelkę.

- To francuskie wino. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

- Brytyjczycy płacą przemysłnikom duże pieniądze za taki luksus.

- *C'est vrai?* - Nie kryła zdumienia. - Nie wiedziałam. Moje wino może nie być aż takie dobre.

Napełniła oba kieliszki, po czym wróciła do kuchni po talerze, obszywane koronką serwetki i sztućce. Następnie przyniosła na drewnianej desce kilka gatunków sera, mi-sieczkę truskawek i jeszcze jedną deskę z bochenkiem chleba.

- Każdy będzie sobie kroił dla siebie, dobrze? - Gestem zachęciła go do spróbowania sera, a sama odkroiła dla siebie kromkę chleba.

Od miesiący nic mu nie smakowało tak bardzo jak ten niewyszukany posiłek. Wypytywał Emmaline o podróż z Badajoz i odczuł wielką ulgę, gdy usłyszał, że obyło się bez dramatycznych przeżyć, których wcześniej nie szczędził im los. Ona z kolei z wielkim zaciekawieniem wysłuchiwała opowieści Gabriela o bitwach, w których brał udział po opuszczeniu Badajoz, wypytała go też, co robił w czasie krótkiego pokoju.

Rozmowa toczyła się swobodnie, Gabe pilnował, by kieliszki nie pozostawały puste i wkrótce poczuł się tak, jakby od bardzo dawna razem jadal.

Po posiłku Emmaline zabrała talerze do kuchni, a Gabe zaniósł tam resztę naczyń. Kiedy umieszczał je w zlewie, Emmaline nagle się odwróciła, niechcący ocierając się o jego ramię.

- Dziękuję, Gabrielu.

Przypadkowy dotyk rozpałił mu zmysły. Poczł zapach jej włosów, które pachniały lawendą, podobnie jak koronki w sklepie. Odchyliła głowę do tyłu, żeby na niego popatrzeć... i wstrzymała oddech, a jej policzki zabarwiły się na różowo.

Czyżby poczuła to samo co on? Że są mężczyzną i kobietą... i że są sami?

Krew uderzyła mu do głowy. Miał przemożną ochotę posmakować jej rozchylo-nych ust.

Jednak odwróciła się do zlewu, żeby napełnić czajnik wodą.

- Zrobię kawy - oznajmiła zdecydowanie, dodając zaraz przepraszająco: - Przykro mi, ale nie mam herbaty.

- Kawa w zupełności wystarczy. - Gabe odsunął się sztywno, próbując ukryć podniecenie.

Przyglądał się, jak Emmaline rozpała ogień w małym piecyku i przygotowuje kawę do zaparzenia. Ustawwszy kafetierę na piecu, wskazała czerwoną sofę.

- Może usiadzimy?

Naprawdę zamierzała usiąść obok niego? Miał obawy, że jeśli tak się stanie, może nie oprzeć się pragnieniu wzięcia jej w ramiona.

Kawa w końcu się zaparzyła. Emmaline rozlała ją do filiżanek, które ustawiła na tacy i zaniósła aa stolik przed sofą. Nie usiadła jednak obok Gabe'a, tylko przysunęła sobie krzesło. Zapytała go, jaką lubi kawę. Nie bardzo potrafił sobie przypomnieć.

- Z mlekiem i odrobiną cukru - powiedział.

Po chwili podała mu filiżankę.

Przesuwając dłonią po koronkowym obrusie, natrafił na miniaturę leżącą obrazem do dołu. Odwróciwszy ją, ujrzał portret młodego człowieka o ciemnych włosach i niebieskich oczach.

- To pani syn? - Jeśli rzeczywiście to był on, wyrósł na urodziwego młodzieńca, sądząc po wyrazie twarzy posiadającego zdecydowany, buntowniczy charakter.

- Tak. To Claude. - Zamrugnęła gwałtownie, by ukryć, że oczy jej zwilgotniały.

- Co się z nim stało, Emmaline? - spytał cicho. - Gdzie teraz jest?

Nie patrząc na niego, przesunęła dłonią po policzku, jakby ocierała łzy.

- Nic się nie stało, ale wszystko... - Urwała bezradnie w pół zdania.

Przyglądał jej się w milczeniu.

W końcu zwróciła się do niego ze słabym uśmiechem:

- Claude był taki młody. Nie rozumiał... nie rozumie wojny, tego, że ludzie popełniają różne złe czyny tylko dlatego, że jest wojna. Żołnierze giną na wojnie, ale Claude nie pojmuje, że jego ojciec zginął dlatego, że był żołnierzem...

- Pani mąż zginął, ponieważ nasi ludzie zatracili wszelką przyzwoitość - przerwał jej Gabe.

Uniosła rękę, jakby go chciała uciszyć.

- Przez bitwę, czyż nie? To było ciężkie oblężenie dla Brytyjczyków, tak mówił mój mąż. Remy został zabity, ponieważ panowała wojna.

Gabe pochylił się ku niej.

- Muszę panią o to spytać. Ten człowiek, który próbował panią molestować... to on zabił pani męża?

- *Non*. Mojego męża zabili inni. On stał z boku, ale jego kompani namawiali go, żeby mnie zgwałcił.

Gabe poczuł się, jakby otrzymał cios w żołądek.

- Tak mi przykro, Emmaline. - Znow zapragnął wziąć ją w ramiona, tym razem po to, by pocieszyć.

Dotknął jej dłoni, lecz zaraz cofnął rękę.

- Uratował nas pan, Gabrielu - powiedziała Emmaline. - Dał nam pan pieniądze. Nie powinno być panu przykro. Nie myślę już o tym zbyt często, koszmary senne też już rzadziej mnie prześladują.

Gabe tylko pokręcił głową.

Emmaline wzięła do ręki miniaturowy portret syna i patrzyła nań ze smutkiem.

- Mówiłam Claude'owi, że to się stało przez wojnę, prosiłam, żeby próbował zapomnieć, ale w ogóle mnie nie słuchał. Obwinia Brytyjczyków. Nienawidzi ich wszystkich. Gdyby wiedział, że pan tu jest, chciałby pana zabić.

Gabe nie mógł mieć chłopcu tego za złe. Czułby to samo, gdyby tak samo jak on musiał patrzeć na nieszczęście swoich najbliższych.

- Gdzie jest Claude? - powtórzył pytanie.

Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku.

- Uciekł, żeby wstąpić do armii Napoleona. Nie ma jeszcze nawet szesnastu lat. - Spojrzała Gabe'owi prosto w twarz. - Znosi się na wielką bitwę, prawda? Będzie pan w niej walczył. - Ból ściągnął jej rysy. - Będzie pan walczył przeciwko mojemu synowi.

## Rozdział drugi

Emmaline ścisnęła w palcach portrecik syna, rozpaczliwie próbując powstrzymać łzy.

- Nie chciałam panu mówić tego wszystkiego. - Jej ból był zbyt wielki, zbyt osobisty.

- Emmaline... - ze szczerym współczuciem zaczął Gabriel.

- Po prostu się o niego boję... - przerwała, bojąc się jego troski. - To normalne, że matka się martwi. - Odłożyła miniaturę na stół i sięgnęła po filiżankę. - Proszę, niech pan pije, zanim kawa wystygnie. - Miała nadzieję, że zdoła przed nim ukryć, jak bardzo lęka się o Claude'a, bo inaczej mogłaby się całkiem rozkleić.

- Większość żołnierzy wychodzi cało z walki - powiedział, starając się zachować pewny ton. - A wielu nie zostaje nawet wysłanych na pole bitwy. W Badajoz pani syn pokazał, że jest inteligentnym i dzielnym chłopcem. Istnieje duża szansa, że nic mu się nie stanie.

Wzdrygnęła się na wspomnienie dramatycznych wydarzeń w Hiszpanii.

- W Badajoz pokazał, że jest niemądry. Powinien był się schować, tymczasem omal nie dał się zabić. - Mówiła z coraz większym przejęciem. - Wyślą go na pierwszą linię frontu. Kiedy żył mój mąż, słyszałam rozmowy na ten temat. Zawsze wystawiają młodych i niedoświadczonych na pierwszy ogień.

- Nie wiem, co powiedzieć, żeby dodać pani otuchy - wyznał bezradnie.

Już sama gotowość, żeby ją pocieszać, wzruszyła ją, znów doprowadzając do łez.

- Nie ma dla mnie pociechy. Pozostaje mi czekać, martwić się i modlić.

- Już późno, powinienem iść. - Podniósł się.

- Proszę jeszcze nie odchodzić! - zawołała i natychmiast zakryła dłonią usta, zaskoczona własnym zachowaniem.

Gabe skierował się do wyjścia.

- Być może stanę naprzeciw Claude'a podczas bitwy - powiedział cicho, przystając w progu. - Jak pani może znosić moje towarzystwo?

Podbiegła do niego i zagroziła mu drogę.



- Przepraszam, że mówiłam o synu. Nie miałam takiej... *intention*. To tylko mój ból... - Przerwała na moment. - Gabrielu... Proszę mnie nie zostawiać.

- Dlaczego pani chce, żebym został? - spytał, patrząc jej prosto w oczy.

Zawstydzona ukryła twarz w dłoniach.

- Bo nie chcę być sama!

Znalazła się w uścisku silnych ramion, otoczona ciepłem. Przyłgnęła do Gabe'a, wsłuchana w rytmiczne bicie jego serca. Długo powstrzymywane łzy spłynęły jej po policzkach.

Claude uciekł przed kilkoma miesiącami i od tamtej pory myśl o jego losie nie dawała jej spokoju, zwłaszcza że do Brukseli napływało coraz więcej brytyjskiego wojska. Ciotka Volerla, podobnie jak cała reszta z niewielkiego kręgu ich przyjaciół, była dumna z patriotycznej postawy Claude'a, jednak Emmaline dobrze wiedziała, że jej synem powodował nie tyle szlachetny, patriotyczny poryw, co pragnienie zemsty. Aż do tego momentu dusiła w sobie wszelkie obawy, nie wyjawiając ich przed nikim.

Jakież to było głupie, obarczać Gabriela swoimi lękami. Tylko że jego objęcia były takie kojące... Niczego od niej nie chciał, tylko przytulał ją do siebie, pozwalając się wypłakać.

Łzy w końcu ustały, a ona znalazła w sobie siłę, żeby się od niego oderwać. Otarła twarz chusteczką, którą Gabe wyciągnął z kieszeni i jej podał.

- Oddam panu wypraną - powiedziała już prawie normalnym tonem.

- Nie ma potrzeby.

Bała się spojrzeć mu w oczy, bo lękała się, że wyczyta w nich jedynie litość.

- Już mi lepiej. - Ponownie dotknęła chusteczką oczu, które nie wiedzieć czemu znów zwilgotniały. - Proszę się o mnie nie martwić.

Przez chwilę w milczeniu stał nieruchomo, wreszcie powiedział:

- Zostanę, jeśli pani chce.

Wstrzymała oddech.

Powinna powiedzieć nie. Powinna go odprawić, mówiąc, że nikogo nie potrzebuje.

Zamiast tego wyszeptała:

- Zostań, Gabrielu.

Jego twarz przyjęła dziwnie miękki, niemal czuły wyraz.

- Pomogę zmywać naczynia - powiedział.

Napięcie z niej opadło. Proponował jej to, czego w tym momencie najbardziej potrzebowała, czyli swoją obecność.

Zebrali naczynia po kawie i zanieśli do zlewu. Emmatine ponownie napełniła czajnik i postawiła na piecu. Czekając, aż woda się podgrzeje, ściągnęła obrus i zniosła do drzwi, żeby wytrzepać okruchy. Następnie wilgotną szmatką przetarła stół i blat w kuchni. Gdy woda zaczęła parować, Gabriel zdjął kurtkę i podwinął rękawy koszuli. On mył i spłukiwał, ona wycierała i odstawiała na miejsce.

Czy jakiś mężczyzna pomagał jej wcześniej myć naczynia? Mąż z pewnością nie, od Claude'a nawet tego nie wymagała. Tymczasem pomoc Gabriela wydawała się całkiem naturalna.

Kiedy skończyli, wytarł ręce w ścierkę i sięgnął po kurtkę.

- Zostaniesz trochę dłużej? - spytała, czując, że jej niepokój powraca.

- Dłużej? Jesteś pewna?

Nagle uświadomił sobie, o co tak naprawdę go prosi. Nie chodziło jedynie o ucieczkę od samotności.

- Jestem pewna - odparła z powagą.

Wzięła świecę, a potem chwyciła go za rękę i poprowadziła na schody. Na górze znajdowały się dwa małe pokoiki. Drzwi do pokoju Claude'a trzymała cały czas zamknięte, żeby nie odczuwać tak dotkliwie jego nieobecności. Wprowadziła Gabriela do drugiego z pokoi, do swojej sypialni. Zrzuciła z nóg buty, wspięła się na łóżko i uklękła na pościeli.

Gabe stał, patrząc na nią pytająco.

Czyżby potrzebował z jej strony dalszej zachęty? Po śmierci męża przysięgała sobie, że nie zwiąże się już z żadnym mężczyzną. Zamierzała się bez reszty poświęcić Claude'owi, pomóc mu odrzucić przeszłość i dopilnować, by szczęśliwie ułożył sobie życie.

Jeśli przez Napoleona nie polegnie na polu bitwy...

Do powrotu syna nic nie mogła zrobić, ale gdyby Bóg oszczędził go w boju, była gotowa wszystko podporządkować budowaniu jego przyszłości.

Jednak Claude był daleko, a Gabriel lada moment mógł opuścić Brukselę. Brytyjska armia szykowała się do wyruszenia naprzeciw wojskom Bonapartego, więc wkrótce i on zniknie z jej życia. Dlaczego nie miałyby zaczerpnąć odrobiny radości z jego towarzystwa? Czy pozwolenie sobie na chwilę bliskości było czymś nagannym? Wiele wdów miało romanse. Dlaczego nie miałyby zaznać przyjemności, które obiecywał jego rozogniony wzrok?

- Chodź, Gabrielu - poprosiła szeptem.

Podszedł do łóżka i delikatnie pogładził ją po policzku. Jego dotyk miał w sobie tyle czułości, że znów zachciało jej się płakać.

- Nie spodziewałem się tego - wymruczał.

- Ja też nie. Ale to chyba... nieuchronne.

- Nieuchronne. - Przesunął palcem po jej szyi, ostrożnie, jakby sprawdzał fakturę najwykwintniejszej koronki.

Emmaline rozpięła mu kamizelkę, położyła dłonie na jego piersi, a potem przesunęła je w górę.

- Ogoliłeś się do kolacji, *n'est-ce pas?* - Pogładziła go końcami palców po gładkiej skórze na brodzie.

Pochylił się do jej ust. Mąż całował ją natarczywie i zaborczo, natomiast Gabriel dawał jej swe usta jak podarunek, który mogła otworzyć, ale nie musiała. Tylko od niej zależało, co nastąpi.

Rozchyliła wargi zapraszająco i natychmiast doczekała się odzewu. Ta pieśczoła wprawiła ją w nastrój bliski uniesienia.

- *Mon Dieu* - westchnęła, kiedy się od niej oderwał dla zaczerpnięcia tchu.

- Chcesz, żebym przestał?

- Nie! Wręcz przeciwnie.

- *Très bien, madame* - odparł z uśmiechem.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Zacząłeś mówić po francusku?

- *Un peu.*

Roześmiała się serdecznie, co było bardzo przyjemne. Od tak dawna nie miała powodów do śmiechu...

- Będziemy się kochać, Gabrielu - powiedziała.

Odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.

- *Très bien.*

Rozpięła stanik sukni i ściągnęła przez głowę. Kiedy Gabriel zdejmował buty, szybko pozbyła się gorsetu, co było łatwe, ponieważ miał zapięcie z przodu. Już w samej koszuli zaczęła wyciągać spinki z włosów, pozwalając, by spłynęły na plecy swobodną falą.

Spojrzała na Gabriela, który stał przy łóżku nagi i podniecony. Miał ciało żołnierza, mocno umięśnione, zahartowane w bojach, poznaczone bliznami.

Wciąż klęcząc, wyciągnęła rękę i dotknęła szramy na jego brzuchu, powstałej zapewne po cięciu szablą.

- Wygląda gorzej, niż było - powiedział, przytrzymując jej dłoń.

- Masz ich tak wiele... - Niektóre były ledwie widoczne, inne całkiem wyraźne.

Wzruszył ramionami.

- Służę w wojsku od przeszło osiemnastu lat.

Jej mąż, gdyby żył, miałby jeszcze dłuższy staż. Zdobywał coraz wyższe stopnie i może byłby jednym z generałów Napoleona... gdyby żył.

Otrząsnęła się z rozmyślań o Remym, choć był jedynym mężczyzną, z którym dzieliła łóżko.

Aż do teraz.

- Chodź do mnie, Gabrielu - poprosiła zduszonym głosem.

Dołączył do niej, objął ją i znów przywarł do jej ust.

- Cudowne - wymruczał, wsuwając palce w jej rozpuszczone włosy.

Kiedy przesuwiał dłonie niżej, muskając skórę na szyi i ramionach i zmierzając do piersi, przebiegł ją przyjemny dreszcz. Koszula nagle zaczęła jej przeszkadzać, więc podciągnęła ją do pasa, zamierzając całkiem z siebie zdjąć przez głowę. Gabriel pomógł

jej, a potem długo wpatrywał się w nią z zachwytem spojrzeniem tak intensywnym jak dotyk.

- Jesteś piękna - odezwał się w końcu.

Podziękowała mu uśmiechem za komplement i ułożyła się przed nim na pościeli.

Jednak jeśli sądziła, że Gabriel natychmiast ją posiadzie, to się myliła. Patrzył na nią, jakby chciał na zawsze zapamiętać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół jej twarzy, podczas gdy jego dłonie delikatnie pieściły nabrzmiałe sutki. Kiedy zaczął gładzić wewnętrzną stronę jej uda, niespiesznie, jakby odwołując się do tego, co musiało nastąpić, westchnęła cicho ni to z podniecenia, ni to z rozczarowania.

W końcu dotknął tego szczególnego miejsca, gorącego i wilgotnego, w którym skupiło się całe jej pożądanie. Czując, że jest gotowa, ułożył się między jej nogami.

Emmaline wstrzymała oddech, ponieważ ten moment zawsze był dla niej bolesny, tymczasem Gabriel wchodził w nią stopniowo łagodnymi pchnięciami, dopóki całkowicie jej sobą nie wypełnił. Powodowana rosnącym napięciem, wysunęła biodra ku górze, pragnąc jeszcze mocniej się z nim zespolić.

Rozkołysali się w szaleńczym rytmie, zapominając o całym świecie, który nagle przestał dla nich istnieć. Doznania, które wzbudzał w niej Gabriel, przewyższały mocą wszystko, czego Emmaline dotąd w życiu doświadczyła. Czując, że zaraz całkowicie się zatraci, zacisnęła palce na jego ramionach, a on napał na nią z całych sił i razem dali się porwać rozkoszy.

Gabe powoli dochodził do siebie po spełnieniu. By nie przygniatać Emmaline, wysunął się z niej i spoczął obok na łóżku.

Ledwie to zrobił, uniosła ręce i zakryła nimi twarz. Widząc, że płacze, Gabe szczerze się przestraszył.

- Emmaline, sprawiłem ci ból? - Wydawało mu się to niemożliwie, ale pod koniec całkowicie dał się ponieść namiętności i być może poruszał się zbyt gwałtownie.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- *Non*. Nie mogę mówić...

- Wybacz. Nie chciałem... - Nie powinien był się z nią kochać. Wykorzystał jej żal i osamotnienie. - Nie wiedziałem...

Wytarła oczy i odwróciła się do niego twarzą.

- Nie sprawiłeś mi bólu. Ja... - Zawahała się, szukając właściwych słów. - Nigdy wcześniej tak się nie czułam.

Posmutniał.

- Nie podobało ci się.

Oczy znów zaszkliły jej się od łez. Delikatnie przyłożyła dłoń do policzka Gabriela.

- *Tu ne comprends pas.* Nic nie rozumiesz. Podobało mi się tak bardzo, że nie umiem tego wyrazić.

Ogarnęła go niewyobrażalna ulga.

- Myślałem, że zadałem ci ból. - Wziął ją w ramiona, układając sobie jej głowę na piersi.

Ogrzewali się nawzajem ciepłem swych ciał, a kiedy Emmaline zaczęła mówić, czuł miłe łaskotanie w miejscu, gdzie jej usta niemal dotykały jego skóry.

- Z moim mężem było inaczej. Nie tak... długo. I nie tak przyjemnie.

Gabe'owi stanęła przed oczyma scena z Badajoz: mężczyzna we francuskim mundurze leżący na bruku bez życia. Musieli go tam zostawić, a teraz on kochał się z jego żoną. Nagle wydało mu się, że jest w tym coś niestosownego.

- Twój mąż... od tamtego czasu... nie było w twoim życiu żadnego innego mężczyzny?

- Nie, Gabrielu. Tylko ty.

Starał się myśleć racjonalnie. Nie miał nic wspólnego ze śmiercią tamtego francuskiego oficera, poza tym minęły już trzy lata. Przez dłuższą chwilę milczał, wyszukując w myślach argumenty na usprawiedliwienie zaistniałej sytuacji. Nagle poczuł, że Emmaline tężeje w jego ramionach.

- Masz żonę? - zapytała nerwowo.

- Nie. - Nigdy nawet nie zastanawiał się nad ożenkiem.

Wyraźnie się odprężyła.

- *C'est très bien.* Nie podobałoby mi się, gdybyś miał żonę. Miałabym poczucie... *culpabilité.*

Cóż, wyglądało, że oboje mieli problem z poczuciem winy.

Przez dłuższą chwilę leżeli w milczeniu wtuleni w siebie. Gabe bezwiednie nawijał sobie na palec jedwabisty kosmyk jej włosów.

- Przyjemnie się tak z tobą leży - powiedziała wreszcie Emmaline.

Bardzo przyjemnie, zgodził się z nią w duchu. Jakby należało mu się miejsce w jej łóżku. Nagle o czymś sobie przypomniał.

- Musisz zająć się teraz sobą? - spytał z troską.

- *Pardon?* - Spojrzała na niego pytająco, wyraźnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Żeby nie zająć w ciążę - wyjaśnił nieco skrepowany.

Za nic nie chciałby dodatkowo rujnować jej życia niechcianym dzieckiem.

Przez twarz Emmaline przemknął wyraz bólu.

- Nie sądzę, żebym mogła mieć więcej dzieci. Byłam przy nadziei tylko raz, z Claude'em. I nigdy więcej.

Przytulił ją mocniej, żałując, że poruszył niewdzięczny temat.

- Chciałaś mieć więcej dzieci?

Z westchnieniem znów położyła głowę na jego piersi.

- Trudno by mi było towarzyszyć mężowi, gdybym miała więcej dzieci.

Jakim głupcem musiał być jej mąż, skoro zabierał rodzinę na wojnę. Gabe wiedział, jak ciężko było żonom żołnierzy, zwłaszcza brzemiennym, pokonywać duże odległości albo zajmować się maleńkimi dziećmi w sąsiedztwie pola bitwy.

- Zawsze podążałaś szlakiem bojowym? - zapytał.

- Szlakiem bojowym? Nie rozumiem. - Spojrzała na niego pytająco.

- Towarzyszyłaś swojemu mężowi podczas kampanii - wyjaśnił.

- Aha! Nie, nie zawsze. Dopiero odkąd Claude zaczął chodzić i mówić. Mój mąż nie chciał się rozstawać z synem.

- Z synem? - Nie z nią?!

Czyżby jej małżeństwo nie zostało zawarte z miłości? Gabe nie widział powodu do wiązania się sakramentem, jeśli dwojga ludzi nie łączyło szczere uczucie i zaufanie, które na przykład łączyło jego rodziców.

- Mój mąż był bardzo związany z synem - mówiła dalej. - Pewnie dlatego Claude tak bardzo cierpi i jest zły, że jego ojciec został zabity.
- Claude ma prawo cierpieć i być zły - powiedział z naciskiem Gabe.
- Ale to mu w niczym nie pomaga. - Emmaline zadrżała.
- Gabe przytulił ją mocniej.
- Każdy musi przewycięzać w życiu jakieś trudności. To człowieka wzmacnia.
- A jakie życiowe trudności ty musiałeś przewycięzać? - Delikatnie pogładziła bliznę na jego brzuchu. - Poza wojną?
- Żadnych - stwierdził krótko. - Ojcu dobrze się powodziło, wszyscy w rodzinie cieszyli się dobrym zdrowiem.
- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosiła, wtulając się w niego wygodnie.
- Niewiele było do opowiadania.
- Mój ojciec jest kupcem bławatnym, na tyle zamożnym, żeby wychować ośmioro dzieci.
- Ośmioro? To dużo. - Podniosła wzrok, żeby spojrzeć Gabe'owi w twarz. - Jesteś najstarszy? Czy może najmłodszy?
- Ze środka - odparł. - Najpierw było czterech chłopców, a potem cztery dziewczynki. Jestem ostatnim z chłopców i jedynym, który wyjechał z Manchesteru.
- Ja byłam jedynaczką, jak Claude. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak by to było mieć tylu braci i sióstr.
- Prawie już tego nie pamiętał.
- Na pewno hałaśliwie. Staralem się od nich uciekać, gdy tylko mogłem. Najbardziej lubiłem odwiedzać wujka, który prowadził farmę na wzgórzach. Wolałem bywać tam, niż w sklepie ojca. - Tak naprawdę ojciec go tam nie potrzebował, skoro miał do pomocy starszych synów.
- Farma na wzgórzach? - Widać było, że nie do końca rozumie.
- Hodował owce i trochę innych zwierząt - wyjaśnił jej Gabe.
- Podoba ci się hodowla owiec? - spytała z uśmiechem.



- Owszem. - Wrócił pamięcią do tamtych czasów, dni spędzanych na świeżym powietrzu. Lubił godzinami rozmyślać, obserwując pasące się stada, a jeszcze bardziej pomagać przy stryżeniu albo czuwać w stajni, kiedy rodziły się młode.

- W takim razie dlaczego nie zostałeś farmerem?

W tamtym okresie nawet rozległe pastwiska wydawały mu się za ciasne, miał wrażenie, że go ograniczają.

- Nelson właśnie pokonał flotę Napoleona w Egipcie, a w Lancashire nic się nie działo, było tak spokojnie. Za spokojnie. Poprosiłem ojca, żeby mi kupił stopień oficerski, na co się zgodził.

- I wyjechałeś z wojskiem do Egiptu? - Przytuliła się policzkiem do jego piersi i wsłuchiwała w mocny rytm serca.

- Nie, wysłali mnie do Indii Zachodnich. - Pamiętał zaskoczenie, jakim był przyjazd do tego piekielnego miejsca, gdzie ludzie masowo umierali na malarię. Sam także zachorował i omal nie pożegnał się z życiem. Jedynym zadaniem jego regimentu było pilnowanie, żeby niewolnicy nie podnieśli buntu. Przekłęci nieszczęśnicy pragnęli jedynie być wolni. - Potem przyjechaliśmy do Hiszpanii, żeby walczyć z armią Napoleona.

Wyczuł u Emmaline napięcie.

- Napoleon, no tak!

Przesunął się tak, by spojrzeć jej w twarz.

- Chyba nie jesteś wielbicielką cesarza?

- W żadnym razie. Pociągnął za sobą mężczyzn i chłopców, z których tak wielu zginęło. Zbyt wielu.

Widząc jej zdenerwowanie, Gabe zmienił temat.

- Opowiedziałem ci o swoim życiu. A jak wyglądało twoje?

- Dorastałam w czasie rewolucji. Wszyscy bez przerwy się bali, wiesz, chodziło o to, by przypadkiem nie znaleźć się po niewłaściwej stronie, bo można było trafić na *la guillotine*. - Wzdrygnęła się gwałtownie. - Widziałam kiedyś egzekucję pięknej kobiety...

- Widziałaś, jak ludziom obcinano głowy? - Nie krył przerażenia. - Musiałaś być wtedy jeszcze małą dziewczynką.

- *Oui*. Moja matka nienawidziła rojalistów, ale ta piękna kobieta wcale nie wydawała mi się zła. Przed śmiercią płakała za swoimi dziećmi.

- Mój Boże... - Po jej minie widział, że przeżywa tamte straszne chwile od nowa. Czuł gniew i żal do losu, że musiała znosić takie okropności.

- Tak dużo widziałaś... - powiedział miękko, gładząc ją po policzku. Gdy zadrżała pod jego dotykiem i zaczęła oddychać szybciej, dodał: - Emmaline, cieszę się, że jestem z tobą. - Zajrzał jej w oczy i to, co w nich wyczytał na nowo obudziło w nim zmysły. Mimo tych wszystkich potwornych doświadczeń pozostała dobra i czuła. Zapragnął ją chronić, żeby już nigdy nie zaznała bólu.

Całując ją, myślał o tym, że usta żadnej innej kobiety nie smakowały tak słodko. Wodził rękami po całym jej ciele, zachwycając się gładkością skóry, kragłą linią bioder, jędrnością pośladków. Na chwilę oderwał się od jej ust, żeby chłonąć widok pełnych piersi o nabrzmiałych różowych brodawkach. Kiedy dotknął jednej z nich wargami, Emmaline westchnęła i chwyciła go za głowę, zanurzając palce w jego włosach. Gabe czuł nie tylko pożądanie, ale też dumę, że Emmaline go pragnie, a także radość, że może się z nią kochać. Nawet jeśli mieli dla siebie tylko tę jedną noc, był wdzięczny losowi za to, że dane im było się spotkać.

Uniosła biodra, jakby wychodziła mu naprzeciw, na co odpowiedział natychmiast, wchodząc w nią zdecydowanym pchnięciem. To, co wcześniej było powolną, ostrożną wspinaczką na szczyt, tym razem przebiegało jak w gorączce. W rytm głośnych, urywanych oddechów zmierzali ku spełnieniu, które osiągnęli jednocześnie i które mocą przeszło ich najśmielsze oczekiwania.

Potem leżeli wtuleni w siebie bez słowa. Kiedy Emmaline w końcu zasnęła w ramionach Gabe'a, patrzył na nią aż do chwili, gdy świeca całkiem się wypaliła. Nie wiedział, co przyniesie ranek. Mógł się spodziewać, że Emmaline go odprawi, żalując, że uległa słabości, albo że zostanie wezwany do regimentu, by wyruszyć na spotkanie z siłami Napoleona.

Czy mogło się zdarzyć, że stanie do boju przeciw synowi Emmaline i odbierze jej to, co miała najdroższego?

## Rozdział trzeci

Następnego ranka Emmaline obudziła się w doskonałym nastroju. Gabriel obrócił się na bok i powitał ją uśmiechem, jakby i on czuł tę samą radość, która sprawiała, że miała ochotę śmiać się, śpiewać i tańczyć.

W istocie zaraz potem porwał ją do tego szczególnego zmysłowego tańca, który dał jej mnóstwo energii. Miała wrażenie, że gdyby tylko zechciała, mogłaby latać.

Oczy Gabriela swą barwą i bijącym z nich ciepłem przywodziły na myśl filiżankę czekolady. Emmaline patrzyła z czułością na jego rozwichrzone włosy, a potem, zaspokajając ciekawość, przesunęła palcem po świeżym zarostcie na jego policzku. W dotyku przypominał samodziałowe płótno.

- Nie mam dla ciebie brzytwy, Gabrielu.

- Później się ogolę.

Gdy zegar na kościelnej wieży skończył wybijać godzinę, Emmaline powiedziała:

- Już siódma. Zaspałam. - Wyśliznęła się z ciepłej pościeli i zaczęła zbierać swoje ubrania. - Przyniosę ci wody do mycia.

- Nie trzeba, skoro się śpieszysz. Sam mogę przynieść wodę, poradzę sobie.

- W takim razie ubiorę się i zacznę robić śniadanie.

Gabe usiadł na posłaniu i przejechał palcami po zmierzwionych włosach. Emmaline spojrzała ukradkiem na jego muskularną pierś dobrze widoczną w świetle padającym z okna. Przebudzenie u boku Gabriela wyglądało zupełnie inaczej niż poranki z Remy. Mąż miałby jej za złe, że zbyt długo spała i kazałby jej się śpieszyć, chcąc mieć świeżą wodę do mycia i golenia.

Wyszła z pokoju, uśmiechając się do siebie. Remy miał też zwyczaj się przechwalać, że Francuzi są o wiele zręczniejszymi kochankami od Anglików. Cóż, mogła zapewnić, że przynajmniej jeden Anglik zdecydowanie przewyższał pod tym względem jednego Francuza.

Przystanęła u szczytu schodów, trochę zawstydzona, że w taki sposób myśli o Remy. Nie był takim znów najgorszym mężem... w każdym razie z pewnością kochał Claude'a.

Na początku małżeństwa uważała się za kiepską żonę. Spontanicznie buntowała się w sobie, nawet kiedy próbowała spełniać życzenia znacznie starszego męża. Wierzyła, że jej nieposłuszeństwo bierze się z niedojrzałości, z tego, że wciąż jest bardziej dzieckiem niż dorosłą kobietą. Kiedy Remy zażądał, by wraz z Claude'em towarzyszyła mu na wojnie, wiedziała, że takie rozwiązanie nie jest dobre dla syna. Ten pomysł doprowadzał ją do wściekłości... której nie odważyła się głośno wyrazić. Może jej miłość do Remy'ego nie zwiędłaby jak kwiat pozbawiony słońca i wody, gdyby zrobiła to, co uważała za słuszne i zatrzymała Claude'a we Francji.

Otrząsając się z rozmyślań, szybko zeszła do kuchni i zabrała się do szykowania śniadania. Napaliła w piecu, żeby podgrzać czekoladę i usmażyć omlet z resztek sera pozostałego po kolacji i trzech jajek przechowywanych w spiżarni. Gabriel zszedł w samej koszuli, żeby nanieść wody, a wkrótce potem zasiedli do śniadania.

- Dobrze mnie karmisz, Emmaline - stwierdził Gabe tonem, w którym słycać było uznanie i wdzięczność.

Przyjęła pochwałę z uśmiechem.

- Przyjemnie jest gotować nie tylko dla siebie.

Przyjrzał jej się z troską.

- Czujesz się samotna?

- *Oui*, odkąd Claude wyjechał. Ale dzisiaj nie jestem samotna - dodała szybko, nie chcąc poruszać smutnych tematów, skoro obudziła się taka radosna.

Nagle jednak sobie uświadomiła, że Gabriel może zaraz wyjść z jej domu i nigdy więcej nie pojawić się w jej życiu. Obawa ścisnęła ją za gardło. Wyciągnęła rękę ponad stołem i dotknęła jego dłoni.

- Noc z tobą dała mi szczęście.

- Mnie także - odpowiedział cicho, jakby z nutą tęsknoty w głosie. Na moment uciekł wzrokiem, a następnie popatrzył na nią spod ściągniętych brwi. - Muszę się dziś stawić w regimencie, ale jeśli pozwolisz mi wrócić, to przyjdę po zamknięciu sklepu.

- *Oui!* - Zakryła usta dłonią. - Och, nie mogę, Gabrielu. Nie mam nic do jedzenia, a do tego zaspalam i nie mogłam pójść na rynek, by zrobić zakupy. - Spłonęła rumieńcem, przypomniawszy sobie, dlaczego obudziła się tak późno.

- Przyniosę jedzenie.

Serce zabiło jej mocniej.

- I znów ze mną zostaniesz?

Dostrzegła w jego oczach wspomnienie niedawnych uniesień.

- Zostanę.

Znów ogarnęła ją radość.

Gabe powrócił tego wieczoru, następnego i jeszcze następnego. Każdego ranka opuszczał łóżko Emmaline, by pojawić się znowu wieczorem z jedzeniem, winem i kwiatami. Podczas gdy ona pracowała w sklepie, on wypełniał swoje służbowe obowiązki, jednak bez większego zapału, jakby po prostu zabijał czas do kolejnego spotkania.

Nigdy nie mówili o przyszłości, choć w każdej chwili Gabe mógł otrzymać rozkaz wymarszu, oznaczający nieuchronne rozstanie. Rozmawiali jedynie o tym, co tu i teraz, oraz o przeszłości. Gabe zwierzał jej się z przeżyć, o których dotąd nikomu nawet nie wspomniał. Nigdy nie nudził się z Emmaline. Mógł w nieskończoność słuchać jej melodyjnego francuskiego akcentu i patrzeć na nią, gdy wdzięcznie ożywiona wypowiadała swoje kwestie.

Maj dobiegł końca i zaczął się czerwiec. Z każdym dniem słońce świeciło coraz dłużej i dawało coraz więcej ciepła. Czas mijał spokojnie, stwarzając iluzję bezpieczeństwa, której uległa cała Bruksela, choć było oczywiste, że musi dojść do wojny. Wojska pruskie były już w drodze, żeby przyłączyć się do sił sprzymierzonych pod wodzą Wellingtona. Rosjanie także już wyruszyli, żeby wziąć udział w walce, ale nikt nie oczekiwał, że zdążą dotrzeć do Francji przed pierwszym starciem z Napoleonem.

W Brukseli jednak nie czuło się napięcia przed burzą, przeciwnie, panowała w niej atmosfera radosnego pikniku. W Parc de Brussels roiło się od dżentelmenów w czerwonych kurtkach spacerujących z eleganckimi damami pośród posągów, fontann i kwiatów. Ustosunkowani oficerowie i arystokraci rezydujący w mieście mieli do wyboru niezliczoną ilość wydarzeń towarzyskich. Gabe, jako pochodzący z klasy średniej, nie był na nie zapraszany, co akurat bardzo mu odpowiadało, bo oznaczało, że może poświęcić cały swój wolny czas Emmaline.

W niedzielę, kiedy sklep był zamknięty, spacerowali po parku lub jeszcze chętniej wyjeżdżali na wieś, żeby oglądać ukryte w zieleni farmy i wzgórza, na których pasły się owce.

Tego dnia kilku oficerów rozprawiało o balu u księżnej Richmond, który miał się odbyć następnego wieczoru. Zaproszenia były łakomym kąskiem i wszyscy o nie zabiegali. Gabe cieszył się, że nie ma obowiązku brać w nim udziału, bo musiałby spędzić noc z dala od Emmaline.

Zakończywszy służbę, udał się na rynek, gdzie sprzedawano artykuły spożywcze. Codziennie robił zakupy, co pozwoliło mu zdobyć całkiem spore rozeznanie w belgijskim jedzeniu. Najbardziej lubił *frites*, które można było znaleźć dosłownie wszędzie. Były to grube plastry ziemniaków, z zewnątrz obsmażone na chrupko, a w środku smakowicie miękkie.

Nauczył się nawet całkiem niezłe targować po francusku. Udało mu się namówić na obniżenie ceny kobietę sprzedającą małże, bardzo lubiane przez Emmaline. Na najbliższą kolację zaplanował właśnie małże i miejscową specjalność - brukselkę. No i, ma się rozumieć, *frites*. Obszedł rynek dookoła, gromadząc w koszyku również inne produkty, z których Emmaline jego zdaniem powinna się ucieszyć: chleb, jajka, ser, śmietanę... i bukiet kwiatów. Przed opuszczeniem rynku zaspokoił pragnienie wielkim kuflem piwa, stanowiącym kolejną belgijską specjalność.

Następnego sprawunku planował dokonać w sklepie z winami, ponieważ Emmaline, jak przystało na rodowitą Francuzkę, wolała wino od piwa. Po wyjściu stamtąd przystanął przed witryną jubilera. Drzwi były otwarte, zapewne po to, by wpuścić do sklepu trochę ożywczego, chłodnego powietrza. W środku Gabe dostrzegł oficera w czerwonej kurtce, który trzymał błyszczącą bransoletkę.

- Doskonale się nada na prezent zaręczynowy.

W tym samym momencie, gdy usłyszał te słowa, rozpoznał barwy swojego regimentu. Żołnierz kupował prezent zaręczynowy?

Gabe poszedł dalej, ale słowa oficera nie dawały mu spokoju.

Prezent zaręczynowy.

Był ciekaw, z kim ten człowiek zamierza się ożenić. Z którąś z Angielek zamieszkałych w Brukseli? Z ukochaną pozostałą w kraju? Nie było sensu snuć tego rodzaju planów w przededniu bitwy. Nikt nie mógł wiedzieć, co się stanie. Nawet gdyby ten mężczyzna miał przeżyć, jego regiment mógł walczyć z Napoleonem przez następnych dziesięć lat. Co to za życie dla żony?

Na koniec doszedł do wniosku, że jeśli ten oficer chciał się żenić, powinien odstąpić swoją pozycję i przejść do cywila. Jeśli miał choć trochę rozumu, powinien był obłowić się po bitwie pod Vitorią, jak zrobiła większość jego towarzyszy. Miałby dość pieniędzy na wygodne życie.

Nagle stanął jak wryty.

Mógłby powiedzieć dokładnie to samo o sobie. Mógłby odstąpić swoją pozycję w armii. Miał na to dość pieniędzy.

Mógłby się ożenić.

Ruszył dalej, ale pomysł rozrastał się w jego głowie, wypierając wszystkie inne myśli. Mógłby się ożenić z Emmaline. Nie musiałby się z nią już nigdy rozstawać. Mógłby z nią spędzać wszystkie wieczory. I wszystkie noce.

Gdyby chciała pozostać w Brukseli, nie stanowiłoby to dla niego żadnego problemu, przecież polubił to miasto, a jeszcze bardziej okoliczne wiejskie tereny. Mógłby kupić farmę, taką jak ta, na której pracował jego wuj. Kiedy był młodym chłopcem, pociągało go jedynie wojsko, nie wyobrażał sobie bardziej ekscytującego życia niż to, które było udziałem żołnierza. A teraz nagle rajem wydało mu się prowadzenie farmy. Ciężka praca za dnia, noce pełne miłości, spokój. Z Emmaline.

Odwrócił się na pięcie i wszedł do jubilera.

W sklepie nie było poza nim żadnych innych klientów. Drobnym, siwowłosym mężczyzną stojącym za ladą powitał go spojrzeniem pełnym nadziei.

- *Monsieur?* - odezwał się uprzejmie.

- Prezent zaręczynowy - powiedział zwięźle Gabe. - Dla damy.

Bładoniebieskie oczy sprzedawcy rozblęły.

- *Les fiançailles?* - Podniósł dłoń pokazując dwa palce. - *Vous etes le deuxieme homme d'aujourd'hui.* - Gabe zrozumiał go bez trudu: był drugim tego dnia klientem kupującym prezent zaręczynowy.

Jubiler podsunął mu przed oczy bransoletkę lśniąca brylantami, podobną do tej, która oglądał wcześniej oficer z jego regimentu, jednak zupełnie nie pasowała do Emmaline. Gabe chciał jej kupić coś, co mogłaby nosić na co dzień.

- Nie bransoletka - powiedział zdecydowanie, wskazując na swój palec. - Pierścionek.

Jubiler energicznie pokiwał głową.

- *Oui! L'anneau.*

Gabe wybrał szeroką złotą obrączkę grawerowaną w kwiaty. Zdobił ją pojedynczy szafir przypominający barwą oczy Emmaline.

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie klejnot na jej palcu, dowód przyjęcia oświadczyn. Z rozmarzeniem pomyślał o chwili, kiedy stojąc przed ołtarzem wypowie do niej słowa: „Biorę sobie ciebie za żonę i ślubuję ci miłość...”.

Gabe zapłacił za pierścionek, który sprzedawca umieścił w czarnym aksamitnym pudełeczku, i ukrył go bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni kurtki, tuż przy sercu. Wychodząc od jubilera, był całkowicie przekonany, że najbardziej ze wszystkiego w życiu pragnie Emmaline.

Pośpieszył do niej z uśmiechem na ustach. Powziął plany, o jakich nawet by mu się nie śniło zaledwie kilka tygodni wcześniej. Nagle ogarnęło go poczucie wspólnoty z braćmi i siostrami, choć nigdy wcześniej niczego podobnego nie doświadczył. Pewnie brało się to stąd, że miał z Emmaline stworzyć rodzinę, jaką posiadało każde z jego rodzeństwa. Nie liczyło się dla niego, że Emmaline może nie móc urodzić więcej dzieci. Miała Claude'a, którego zamierzał traktować jak własnego syna.

Skrećając w uliczkę, na której znajdował się sklep z koronkami, Gabe zwolnił kroku. Miał przed sobą bitwę, śmiertelny bój między swoją i jej ojczyzną. Byłoby niehonorowo rezygnować ze służby w obliczu nadchodzącej walki, kiedy Wellington rozpaczliwie potrzebował każdego doświadczonego żołnierza.



Gdyby, uchowaj Boże, poległ w boju, wdowa odziedziczyłaby jego skromny majątek.

Nie, nie zamierzał rozmyślać o umieraniu. Jeśli Emmaline zgodzi się wyjść za niego jeszcze przed bitwą, będzie miał najlepszy z możliwych powodów, żeby wyjść z niej cało.

Z wyrazistą wizją swej przyszłości wszedł do sklepu. Natychmiast wyczuł napięcie, którego z pewnością nigdy wcześniej między nimi nie było. Emmaline stała w odległym kącie sklepu, pogrążona w rozmowie ze starszą kobietą, która odwróciła się i spojrzała na niego spod ściągniętych brwi. Nim Gabe się do nich zbliżył, zamieniły jeszcze szybko kilka słów po francusku.

- Emmaline?

Wyczytał w jej oczach cierpienie.

- Gabrielu, muszę cię przedstawić mojej ciotce. - Zwróciła się do niej: - *Tante Voletta, puis-je vous présenter le Capitaine Deane?* - Następnie popatrzyła na Gabe'a, jednocześnie gestem wskazując na swoją ciotkę. - Madame Laval.

Gabe skłonił się uprzejmie.

- Madame.

Voletta Laval miała ten sam kolor oczu co Emmaline, ale ich wyraz przywodził na myśl lśniąca stal sztyletów. W jej włosach częściowo zakrytych czepkiem widać było zaledwie kilka nitek siwizny. Szczupła, lecz nie krucha, miała sposób bycia, który kazał Gabe'owi przypuszczać, że nic nie uchodziło jej uwagi. W każdym razie bez wątpienia przejrzała go na wskroś, zanim znów odwróciła się do Emmaline, żeby dodać kilka zdań zbyt szybko i niewyraźnie, by Gabe mógł cokolwiek zrozumieć.

Emmaline coś jej odpowiedziała, po czym nastąpiła między nimi jeszcze chwila żywej rozmowy.

W końcu Emmaline zwróciła się do niego:

- Moja ciotka nie jest zadowolona z naszej... przyjaźni. Próbowałam jej wyjaśnić, jak bardzo nam pomogłeś w Badajoz. Że jesteś dobrym człowiekiem. Tylko że sam wiesz, jesteś Anglikiem... - Bezradnie wzruszyła ramionami.

Gabe postawił koszyk na ladzie. Miał wrażenie, że aksamitne pudełeczko z pierścionkiem nagle zaczęło go uwierać.

- Wolałabyś, żebym sobie poszedł?

- *Non, non.* - Chwyciła go za ramię. - Chcę, żebyś został.

Jej ciotka prychnęła, krzyżując ramiona na piersi. Jak mógł zostać, skoro widział wyraźnie, że jego obecność jest wielce niepożądana?

Podjął próbę ułagodzenia Voletty Laval:

- *Madame* dzisiaj przyjechała?

Emmaline przetłumaczyła jego pytanie. Ciotka machnęła ręką lekceważąco.

- *Pff. Oui.*

- Musi pani zjeść z nami kolację. - Popatrzył na Emmaline. - Zgadzasz się? Prawdopodobnie nie ma w domu nic do jedzenia.

Emmaline pokiwała głową i przetłumaczyła. Madame Laval skrzywiła się z niezadowolaniem, a potem odpowiedziała po francusku.

- Mówi, że jest zbyt zmęczona na towarzystwo - wyjaśniła Emmaline.

Gabe znów wziął koszyk do ręki.

- W takim razie musi sobie wybrać coś do jedzenia. Kupiłem mnóstwo rzeczy. - Zademontrował zawartość. - *Pour vous, madame.*

Oczy jej rozblęły zainteresowaniem, choć nadal miała gniewnie ściągnięte usta.

- Proszę wybrać, na co pani ma ochotę - zachęcił.

- Zamknę sklep - oznajmiła Emmaline, kierując się ku drzwiom.

Madame Laval znalazła mniejszy koszyk na zapleczu. Przełożyła do niego butelkę wina, śmietanę, kilka jajek, chleb, ser, cztery małe i wszystkie *frites*.

- *C'est assez* - wymruczała pod nosem. Następnie zawołała do Emmaline: - *Bonne nuit. Demain, nous parlerons plus.*

Gabe zrozumiał bez tłumaczenia, że ciotka nazajutrz będzie miała więcej do powiedzenia Emmaline.

- *Bonne nuit, madame.* - Gabe sięgnął po bukiet i podał go jej z ukłonem.

- Hm! - Wyrwała mu kwiaty z ręki i oddaliła się z połową ich jedzenia i wszystkimi *frites*.

Emmaline podeszła do niego i oparła mu głowę na piersi.

- Przykro mi, że ściągnąłem na ciebie kłopoty - powiedział, otaczając ją ramionami.

- Żałuję, że nie została tam dłużej - westchnęła Emmaline.

- W mieście jest bardziej bezpieczna.

- Dlaczego? - Z niepokojem spojrzała mu w twarz. - Słyszałeś niepokojące wieści?

Nie wypuszczał jej z objęć.

- Nie, nic nowego. Jutro wieczorem ma się odbyć bal. Nie byłoby żadnego balu, gdyby Wellington był gotów do wymarszu.

Opuścili sklep i przez placyk przeszli do jej domu. Gdy Gabe ściągnął kurtkę, poczuł w kieszeni pudełeczko z pierścionkiem, ale wiedział, że moment nie jest odpowiedni, by go zaprezentować. Pojawienie się madame Laval zwarzyło mu humor i nieco ostudziło gorące marzenia o przyszłości.

Emmaline zajęła się przygotowaniem kolacji. Rozmowa dotyczyła głównie tego, gdzie postawić jakie naczynie i co kto ma zanieść na stół.

Gdy już zasiedli do jedzenia, Emmaline pochwaliła:

- Cudowny posiłek, Gabrielu. Bardzo lubię małże.

- Wiem - odparł z uśmiechem.

Przy jedzeniu zaczęła mówić o ciotce:

- *Tante Voletta* przyjechała do Brukseli dawno temu. Po tym, jak jej mąż trafił na gilotynę...

Gabe odłożył widelec.

- Dobry Boże, wylądował na gilotynie?

- Wtedy każdy mógł tak skończyć. Był krawcem i świadczył usługi rojalistom. *Voilà!* To wystarczyło. Ciotka przyjechała tutaj, szukając bezpiecznego życia, i otworzyła sklep.

- Dlaczego mnie nie lubi? - spytał Gabe. - Anglicy potępiali rządy terroru.

Uśmiechnęła się słabo.

- No tak, ale są wrogami Napoleona, a moja ciotka go czci. To dzięki niemu Francja znów stała się wielka. - I dodała z wielką powagą: - Choć doprowadził do śmierci wielu ludzi, robiąc z nich żołnierzy.

Gabe dobrze wiedział, jak bardzo bała się o syna. Skierował rozmowę z powrotem na temat Voletty Laval.

- Nie podoba mi się, że przeze mnie wszedłeś w konflikt z ciotką. Co mogę zrobić?  
Wzruszyła ramionami.

- Nic.

- Wolałabyś, żebym nie zostawał na noc? - zapytał wprost.

- Zostań ze mną. I tak wkrótce się dowie, że jesteśmy kochankami. Wszyscy wkoło już to wiedzą i chętnie jej doniosą o twoich wieczornych wizytach i porannych wyjściach.

- To znaczy, że przeze mnie masz kłopot także z sąsiadami? - zmartwił się szczerze.

- *Non*, Gabrielu. Tutaj wdowy mogą mieć kochanków. Może nawet uważają, że postępuję rozsądnie, wpuszczając cię do łóżka - dodała z uśmiechem. - Większość moich sąsiadów docenia pieniądze przywożone przez Anglików. Moja ciotka także je lubi, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

Rozmawiali o różnych nieistotnych sprawach przez dalszą część kolacji i podczas wspólnego zmywania. Na zewnątrz wciąż jeszcze było jasno.

- Jestem zmęczona - powiedziała Emmaline, wycierając ręce w ścierkę. - Masz coś przeciwko temu, żebyśmy się wcześniej położyli?

- Jak sobie życzysz. - Nie zamierzał jej się w niczym sprzeciwiać, żeby dodatkowo nie utrudniać i tak już niełatwej sytuacji.

Tej nocy ich zbliżenie było spokojne, czule i podszyte smutkiem, jakby oboje sobie uświadamiali, jak kruche mogą być wzajemne uczucia.

Pieszcząc Emmaline, Gabe starał się zapamiętać w koniuszkach palców jej dotyk. Chłonec jej urodę, próbował utrwalić w pamięci wizerunek ukochanej. Próbował rozładować napięcie, które spowodował między nimi przyjazd ciotki, pragnął jej okazać, jaka jest dla niego ważna i jak bardzo jej potrzebuje.

Powoli dochodzili do spełnienia, a kiedy już nastąpiło, leżeli spleceni ciasno ze sobą i zgodnie milczeli. Gabe miał nadzieję, że może rano znów będzie się z nią kochał i wtedy otworzy przed nią duszę.

Zapadł w niespokojny sen, w którym znowu był dzieckiem. Błądził samotnie podczas burzy, daleko od domu, nikt nie słyszał jego wołania, nie miał się gdzie schronić. W jego śnie raz po raz uderzał grom i w końcu od tego huku obudził się z głośno walącym sercem.

Huk się powtórzył, ale już na jawie.

Emmaline usiadła na łóżku. Znowu rozległ się łomot. To nie był piorun, tylko coś uderzało w lekko uchylone okno.

- Ktoś jest na dole - stwierdziła Emmaline.

Wstała owijając się prześcieradłem. Następnie otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz.

- *Maman!* - rozległo się wyszeptane wołanie. - *Maman!*

- *Mon Dieu!* - zawołała Emmaline. - To Claude! - Szybko narzuciła na siebie koszulę. - Mój syn jest tutaj.

## Rozdział czwarty

Emmaline zbiegła po schodach, otworzyła drzwi i zagarnęła w ramiona swe jedyne dziecko, które obecnie przerastało ją o głowę.

- *Maman!* - Claude poderwał ją z ziemi w uścisku i przeniósł przez próg. - Jestem.

Kiedy znów odzyskała grunt pod nogami, zrobiła krok do tyłu, żeby się dobrze przyjrzeć synowi. W słabo oświetlonym holu widziała jedynie zarys postaci... który tak bardzo przypominał jej zmarłego męża, że z wrażenia aż wstrzymała oddech.

- Pozwól, że zapalę świece, żeby cię lepiej widzieć. - Pociągnęła go w głąb domu. - Skąd się tu wziąłeś? Wróciłeś do mnie?

- Nie, *maman*. - Głos mu się zmienił, nabrał niskich tonów przez tych kilka miesięcy, odkąd wyjechał. - Nie możesz nikomu tego mówić, ale wojska są już niedaleko. Na tyle blisko miasta, że mogłem cię odwiedzić. Nie zostanę długo, muszę wrócić przed świtem.

Odpaliła drzazgę od dogasającego żaru z kuchennego pieca i obeszła z nią pokój, zapalając świece.

- Jesteś głodny? Może chcesz się czegoś napić?

- Chętnie zjem, jeśli możesz coś szybko przygotować. - Opadł na sofę.

W świetle zobaczyła jego włosy, tak samo ciemne jak jej, sczesane do tyłu i zaplecione w warkoczyk. Rysy mu się lekko wyostrzyły, a górną wargę ocieniał rzadki wąsik. Tak musiał wyglądać Remy za młodu. Claude miał na sobie mundur składający się z niebieskiej kurtki i białych spodni, a na wierzchu szary owerol chroniący spodnie przed zabrudzeniem. Bez trudu mógł się niepostrzeżenie przemknąć ulicami miasta.

- Nie zapalaj zbyt wielu świec - upomniał matkę. - Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem.

Zdmuchnęła ostatnią, którą zapaliła.

- Przyniosę ci wina. - Zostało trochę w butelce po jej wspólnej kolacji z Gabrielem. Przeląła wino do kieliszka i przyniosła synowi.

Gabriel! Zupełnie o nim zapomniała. Miała nadzieję, że się nie pokaże.

Claude jednym haustem opróżnił kieliszek do połowy.

- Dzięki, *maman*.

Usiadła naprzeciw niego i dotknęła czule jego twarzy.

- Zaraz ci zrobię coś do jedzenia, ale proszę, powiedz mi najpierw, czy dobrze się miewasz. Dlaczego armia jest tak blisko?

Pociągnął kolejny łyk.

- Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego stoimy tak blisko, ale miewam się doskonale. Pozwolili mi wstąpić do kawalerii. Jestem kirasjerem. To wielki przywilej.

Claude uwielbiał konie od czasu, gdy tylko zaczął stawiać pierwsze kroki. Odkąd zaczęli podróżować z Remym, był najszczęśliwszy, mogąc siedzieć na koniu z ojcem. Po Badajoz stracili klacz Coco, co było dla niego kolejnym ciosem.

Emmaline nie mogła sobie pozwolić na trzymanie wierzchowca w Brukseli, ale Claude zaprzyjaźnił się z panem Engelsem, który miał stajnię niedaleko od miasta. Claude wykonywał tam różne prace, byle tylko być w pobliżu ulubionych zwierząt. Po jakimś czasie pan Engels w końcu zaczął mu płacić, a Claude odkładał każdego zarobionego franka, aż wreszcie kupił sobie konia. Oczywiście nazwał go Coco i odjechał na nim do napoleońskiego wojska. Najprawdopodobniej właśnie dlatego, że posiadał własnego wierzchowca, pozwolono mu wstąpić do kirasjerów.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Uśmiechnęła się ciepło do syna. - Pewnie jeździsz lepiej niż większość z nich.

Czy na pewno w oddziale kawalerii był bardziej bezpieczny niż w piechocie? Modliła się, żeby tak było. Dopił resztkę wina.

- Oni są weteranami i wiele się od nich nauczyłem.

Nauczył się, jak walczyć i zabijać, pomyślała ze smutkiem. Ale czy nauczono go też, jak stawiać czoło ludziom, którzy jego chcą zabić?

Wzięła od niego kieliszek i wstała.

- Przyniosę ci więcej. I coś do jedzenia.

Podniósł się z miejsca i podążył za nią do kuchni. Nagle znieruchomiał w pół kroku.

- Mamo, co to jest?

- Co? - Obejrząwszy się przez ramię, zobaczyła, że wskazuje na czerwoną kurtkę Gabriela wiszącą na oparciu krzesła.

- Mundur angielskiego żołnierza? - Głos mu się załamał. Przez chwilę patrzył na matkę z niedowierzaniem, a potem twarz mu poczerwieniała. - Masz tu angielskiego żołnierza? - Rozejrzał się, jakby oczekiwał, że intruz wyłoni się zza firanki.

- Claude, mogę ci to wytłumaczyć...

- Gdzie on jest? W twoim łóżku?! - zawołał nienaturalnie piskliwym głosem.

Nim Emmaline zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wpadł na schody, biorąc po cztery stopnie naraz.

- Claude, zaczekaj! - Pobiegła za nim.

- Pokaż się! - krzyczał Claude po francusku. - Pokaż mi się, psie.

Emmaline z dołu dostrzegła Gabriela ubranego w spodnie i koszulę. Stał w progu jej sypialni. Zaraz potem obaj zniknęli w środku. Biegając na górę, usłyszała, jak coś rozbija się o podłogę.

- Zabiję cię! - krzyczał Claude.

Kiedy wpadła do sypialni, Gabriel, większy i silniejszy, odpychał od siebie Claude'a, który rozpaczliwie machał rękami, próbując go dosięgnąć pięścią.

- Zabiję cię! - Głos chłopca zabrzmiał jak szloch skrzywdzonego dziecka.

- Przestań, Claude. - Emmaline starała się odciągnąć syna. - Ktoś cię usłyszy. Odkryją, że tu jesteś.

Znieruchomiał, rzucając jej nienawistne spojrzenie. Drżenie podbródka zdradzało, jak bardzo jest wzburzony.

- On wie, że tu jestem. To on jest wrogiem.

- *Non, non*, Claude. - Emmaline stanęła naprzeciw syna. - Wiesz, kto to jest? Wiesz?

- Anglik w twoim łóżku - wycedził przez zęby. - Jak mogłaś zrobić coś takiego? - Odetchnął głęboko, starając się nad sobą zapanować. - Zmusiłeś ją? - Ponownie zamierzał zaatakować Gabriela, który i tym razem bez trudu go powstrzymał.

Emmaline wkroczyła pomiędzy nich.

- Do niczego mnie nie zmuszał, Claude. To nasz wybawca. Nie pamiętasz go?



- Co?! - Oszłupiały Claude cofnął się.

- To kapitan, który zapewnił nam bezpieczeństwo w Badajoz. - Starła się mówić spokojnym tonem.

- Claude... - zaczął ugodowo Gabriel.

- Ani słowa! - Cały przepełniony wstrętem i nienawiścią, wycelował w Gabriela palcem. - Nie masz mi nic do powiedzenia, angielski psie!

Emmaline odepchnęła go zdecydowanie.

- Uspokój się, Claude. Zejdziemy na dół i porozmawiamy.

Chłopiec wyglądał, jakby się zaraz miał rozpłakać.

- To przecież zdrada, *maman*.

- Nie mogę zdradzić Napoleona, bo nie jestem w jego armii. Ty jesteś. - Chwyliła go za ramię i pociągnęła w stronę drzwi. - Idziemy na dół. - Obejrzawszy się, spytała Gabriela po angielsku: - Dołączysz do nas?

Gabriel przytaknął skinieniem. Nie zszedł jednak od razu, co Emmaline wykorzystała, żeby porozmawiać z synem w cztery oczy.

- Musisz zachować spokój - oświadczyła stanowczo. - Jeśli będziesz krzyczał i się miotał, ktoś może cię usłyszeć i zostaniesz zdemaskowany.

- Nie bądź głupia, *maman*. Przecież on mnie wyda. Już jestem stracony.

- To Gabriel Deane, dobry człowiek, który postąpi właściwie.

W głębi duszy chciała, by Gabriel aresztował jej syna, bo to gwarantowało, że zachowa życie. Jednak zbyt długo była żoną żołnierza, by nie rozumieć, że dla Claude'a aresztowanie jest gorsze od śmierci.

Usiedli obok siebie na sofie, zostawiając wolne krzesło naprzeciwko dla Gabriela.

- Mam nalać wina? - zapytał, wchodząc.

- *Oui*, Gabrielu. *Merci*. - Z emocji zapomniała przejść na angielski.

Przyniósł kieliszki oraz wino i postawił na stole, następnie napełnił pierwszy kieliszek i wyciągnął w stronę Claude'a.

Chłopak siedział nieporuszony z rękami założonymi na piersi.

- Weź - poleciła mu matka po francusku.

Wywrócił oczami, ale usłuchał. Gabriel podał następny kieliszek Emmaline, a na koniec nalał wina dla siebie.

- Powiedz Claude'owi, że nie mam zamiaru wyrządzić ci żadnej krzywdy. Że... że bardzo cię szanuję - powiedział.

Emmaline przetłumaczyła.

Claude zamknął oczy, jakby dawał do zrozumienia, że nie chce tego słuchać.

- Nie mogę z nim rozmawiać o tobie, *maman*. Zapytaj go, co robi ze mną.

- Claude sądzi, że go aresztujesz, ale ja cię proszę, żebyś go puścił wolno - zwróciła się do Gabriela.

- Wiele ode mnie wymagasz, Emmaline - zaczął poważnie. - Moim obowiązkiem...

- Proszę cię, Gabrielu - przerwała mu, czując ściskanie w gardle. - Proszę, pozwól mu odejść.

Gabriel spojrzał w bok, jakby się namyślał.

- Co do niego mówiłaś? - spytał Claude po francusku.

Uciszyła go gestem, nie odrywając wzroku od Gabriela.

- Zrobię to dla ciebie, Emmaline, ale tylko jeśli Claude przysięgnie, że nie zbiera informacji dla Napoleona.

- Miałaś jeszcze jakiś inny powód, żeby się pojawić w Brukseli poza odwiedzinami u mnie? - zwróciła się do syna.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- *Non, maman*. A jaki mógłbym mieć inny powód?

- Szpiegowanie Anglików?

Popatrzył na nią z politowaniem.

- Trudno cokolwiek zobaczyć po ciemku, a muszę wrócić przed świtem, bo inaczej uznają mnie za dezertera. - Zrobił minę, którą zapamiętała z czasów, gdy miał pięć lat. - Chciałem cię zobaczyć... przed bitwą.

Umknął wzrokiem, kiedy chwyciła go za rękę.

- Przyjechał do Brukseli tylko po to, żeby mnie zobaczyć - wyjaśniła Gabrielowi.

- Bardzo dobrze. Zatem zrobię, jak sobie życzysz.

- Gabriel pozwoli ci odejść - przekazała synowi, ściskając jego dłoń.

Claude zamrugał, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

- W takim razie muszę się jak najszybciej zbierać.

- Spakuję ci trochę jedzenia. - Zadrżała na myśl, że wkrótce będzie się musiała pożegnać z synem, nie wiedząc, czy jeszcze kiedyś go zobaczy.

Zawinęła chleb i ser w kawałek płótna i podała Claude'owi, starając się powstrzymać łzy.

- Musimy pogasić świece - powiedział Claude, biorąc od niej zawiniątko.

Emmaline zdmuchnęła najbliższą i zamierzała zrobić to samo z pozostałymi, ale Gabriel ją powstrzymał, mówiąc:

- Ja to zrobię.

- Wróć do mnie - wydusiła Emmaline przez ściśnięte gardło, kiedy Claude przytulił ją na pożegnanie. - Uważaj na siebie.

- Wróć, *maman* - obiecał wzruszony. - Nie martw się. - Przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej.

Chwilę później już go nie było, rozpląnął się w ciemności niczym smuga dymu.

Emmaline zakryła twarz dłońmi.

Znów znalazła się w objęciach, tym razem Gabriela.

- Tak się o niego boję. Tak bardzo się boję, że go stracę - załkała.

- Wiem - powiedział cicho. - Wiem.

Wziął ją na ręce i zaniósł na górę. Leżeli objęci na łóżku, dopóki się nie uspokoiła.

- Boję się, że już nigdy go nie zobaczę - wyznała z rozpaczą.

- Wiem - powtórzył jeszcze raz.

Gabe wstał o świcie, ale i tak prawie nie zmrużył oka tej nocy.

Pierścionek pozostał schowany w kieszeni munduru razem ze wszystkimi nadziejami i marzeniami o przyszłości. Leżąc bezsennie, zastanawiał się, czy rano poprosić Emmaline o rękę. Czy istniała jakakolwiek szansa, że przyjmie jego oświadczenia?

Bronił go przed swoim synem i przed ciotką. To chwyciło za serce. Wierzył, że udałoby mu się przekonać Volettę Laval do tego mariażu, udowodnić, że Anglik będzie dla jej siostrzenicy równie dobry jak Francuz. A Claude'owi mógłby pokazać, że w niczym nie przypomina ludzi, którzy zabili mu ojca i omal nie zgwałcili matki.

Gdyby miał dość czasu.

Tylko że czas był luksusem, na który już nie powinien liczyć. Pojawienie się Claude'a oznaczało, że Francuzi są blisko i nie będą czekać, aż armie sprzymierzonych i wojska pruskie spotkają się z nimi na francuskiej ziemi. Skoro armia napoleońska maszerowała do Belgii, bitwa była nieuchronna.

Ubrał się i spojrzał na Emmaline. We śnie wyglądała tak pięknie, że jej widok aż zaparł mu dech.

Rozumiał, dlaczego żołnierze żenili się w przededniu bitwy. Już samo patrzenie na Emmaline budziło w nim pragnienie dozgonnej wierności. Po raz pierwszy naprawdę mu zależało na wyniesieniu głowy z walki. Chciał ocaleć, żeby spędzić resztę życia z tą kobietą. A jeśli pisane mu było polec w boju, jako jego żona weszłaby w posiadanie wszystkich jego ziemskich dóbr. Tak czy inaczej, małżeństwo zapewniłoby jej bezpieczną egzystencję.

Zszedł po schodach, niosąc buty w rękę, żeby nie obudzić Emmaline. W kuchni rozpałił w piecu i nastawił czajnik z wodą. Zaparzył trochę belgijskiej kawy, do której zdążył się już przyzwyczać, przeniósł dzbanek z kawą na stół i napełnił filiżankę. Następnie sięgnął do kieszeni kurtki wciąż wiszącej na krześle i wyjął z kieszeni małe aksamitne pudełeczko. Otworzył je i patrząc na pierścionek, wyobrażał go sobie na palcu Emmaline.

Wiedział, że jeśli nie oświadczy się jej tego ranka, może nie mieć już drugiej szansy.

Słyszając ją na schodach, szybko wsunął pudełeczko do kieszeni.

- Wczesnie wstałaś. - Głos miała napięty, zmęczony. - Zrobię ci śniadanie.

- Nie, usiądź. - Odsunął dla niej krzesło. - Dzisiaj ja ci podam.

- *Non*, Gabrielu, to kobieca rola. - Przytrzymała go za ramię, jakby nie chciała go wpuścić do kuchni.

Chwycił ją w pasie, przyciągnął do siebie i opuścił głowę, tak że zetknęli się czołami. Przez chwilę stali w milczeniu. Gabriel napawał się jej zapachem, ciepłem, miękkością skóry.

- Dzisiaj ja będę dla ciebie gotował - powiedział stanowczo, sadzając ją na krześle i odgarniając jej z czoła opadający kosmyk.

Wszedł do kuchni i zaczął rozbijać jajka na patelnię.

Emmaline siedziała oparta łokciami o blat stołu, zasłaniając dłońmi twarz. Gabe wiedział, że myśli o synu. Martwi się o niego. Tęskni.

Gdy będąc chłopcem, wracał z odwiedzin u wuja na farmie, Gabe czasami się zastanawiał, czy rodzina w ogóle zauważyła, że nie było go w domu. Często miał wrażenie, że witają go tak, jakby ich opuścił zaledwie na godzinę. Pokręcił głową, skupiając się na jajkach, świadomy, że powinien myśleć o Emmaline, nie o sobie.

Nalał jej kawy i podsunął przed nią talerz z jajkami, a do tego chleb, masło i dżem. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się, choć przyszło jej to z pewnym trudem. Siadając naprzeciw niej, Gabe poczuł w kieszeni pudełko z pierścionkiem, co przypomniało mu o podjętej decyzji.

Postanowił poprosić ją o rękę później, kiedy skończy jeść.

- Bardzo dobre - pochwaliła, starając się być miła i uprzejma.

Rozmowa się urywała, swoboda, która panowała między nimi przez ostatnie tygodnie, gdzieś się ulotniła. Mówili głównie o jedzeniu, jakby byli obcymi sobie ludźmi, przypadkiem usadzonymi na sąsiednich krzesłach podczas przyjęcia. Po skończonym posiłku Gabe zebrał naczynia i odniósł do kuchni.

Emmaline poszła za nim i położyła mu rękę na plecach.

- Ja pozmywam, ty już dosyć zrobiłeś. - Wyjrzała przez okno wychodzące na wąską uliczkę. - Już całkiem jasno. Będę musiała otworzyć sklep.

Gabe wsunął rękę do kieszeni i na moment zacisnął palce na aksamitnym pudełku.

- Pozwól na chwilę. - Zaprowadził ją na sofę, usiadł obok niej i wziął ją za rękę. - Chcę cię o coś zapytać.

Spojrzała na niego z ciekawością, ale tylko trochę, jakby się spodziewała, że spyta ją, co powinien kupić na obiad.

- Dane nam było spędzić razem niewiele czasu... - zaczął.

Przytaknęła. W jej oczach pojawiły się raptem czujność i lęk.

- Chcesz się ze mną pożegnać?

Uściskał lekko jej dłoń.

- Chcę zaproponować... żebym już nigdy nie musiał się z tobą żegnać. - Widząc jej uniesione brwi, wyjaśnił: - Emmaline, proszę cię, żebyś za mnie wyszła. Chcę, żebyś... chcę być z tobą na zawsze.

- Chcesz się ze mną ożenić? - Wyraźnie pobladła.

- Wiem, że moment nie jest odpowiedni. Napoleon stoi u bram, więc wkrótce musi dojść do bitwy, ale może udałoby nam się szybko wziąć ślub. Dowiem się, co trzeba załatwić, czy to możliwe...

Wyswobodziła dłoń z jego uścisku.

- Nie możemy się pobrać!

- Jeśli nie przed bitwą, to może po...

Poderwała się na nogi.

- *Non*, Gabrielu. Jak mogłabym za ciebie wyjść? Jesteś brytyjskim żołnierzem.

- Mogę wystąpić z wojska, oczywiście po bitwie.

- Po bitwie? Myślisz, że to jakaś różnica?

Twarz go piekła, jakby został spoliczkowany.

- Czyż nie pokazałem ci w każdy możliwy sposób, jakim jestem człowiekiem? Czy nie było nam razem dobrze?

Odwróciła wzrok.

- To, co nas łączyło, nie może trwać... na zawsze.

- Naprawdę tak uważasz, Emmaline? - Dotknął pudełka przez materiał spodni. - Zdarzały mi się w życiu przelotne związki. Umiem rozpoznać różnicę. Nie możesz udawać, że dla ciebie to była wyłącznie rozrywka.

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Oczywiście, było mi z tobą dobrze, ale nie chcę za ciebie wychodzić.

- Dlaczego? - Pochylił się ku niej, wyczekując odpowiedzi.

Odetchnęła głęboko.

- Mój syn tobą pogardza...

- Bo mnie nie zna. Po wojnie będzie czas...

Uciszyła go gestem.

- Dla Claude'a wojna nigdy się nie skończy. Nie rozumiesz tego? Nigdy nie zazna spokoju. Próbowałam... - Urwała, głos jej się załamał. Popatrzyła Gabe'owi w oczy. - Claude ma tylko mnie. Zbyt wiele już stracił. Za dużo musiał przejść. Nie mogę go opuścić.

- Nie chcę, żebyś go opuszczała. Jest częścią ciebie. Zależy mi na obojgu z was. - Miał wrażenie, że w środku zamienia się w kamień. Wypowiadając ostatnie słowa, wiedział już, że ją stracił. Skoro uważała, że powinna wybierać między nimi, musiała wybrać syna.

Opuściła wzrok, długie rzęsy rzucały cień na jej policzki.

- Nie, Gabrielu. Nie mogę się odwrócić od mojego syna. Nawet dla ciebie.

Miał wrażenie, że zabrakło mu powietrza. Jego plany i marzenia w jednej chwili rozwiały się jak dym, pozostawiając po sobie nieznośną pustkę.

Odwrócił się i sięgnął po kurtkę.

Emmaline ze ściśniętym sercem patrzyła, jak odwrócony do niej plecami Gabe wkłada kurtkę. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może chcieć się z nią ożenić. Jak mógł uważać ich znajomość za coś innego niż przelotny romans? Żołnierze zawsze mieli niezobowiązujące związki z kobietami w miejscach stacjonowania oddziałów. Widziała to na własne oczy, poza tym Remy próbował ją czymś takim straszyć, kiedy się opierała przed wyjechaniem z nim do Hiszpanii.

Jednak kiedy Gabriel mówił o małżeństwie, ona miała w pamięci oczy Claude'a, w których było poczucie krzywdy, złość i żal.

Nade wszystko pragnęła, żeby wspólne noce i dni z Gabrielem mogły trwać tak pełne napiętności i porozumienia jak dotąd. Nie potrafiła się jednak łudzić. Mógł jej obiecać wszystko, ale nie to, że uleczy rany Claude'a. Kiedyś, dawno temu, postąpiła zgodnie z życzeniem męża, zamiast wybrać to, co uważała za najlepsze dla syna. Nie zamierzała już nigdy powtórzyć tego błędu.

Żeby nie stracić Claude'a na zawsze.

Gabriel, wciąż obrócony do niej tyłem, zapinał guziki czerwonej kurtki od munduru, w którym miał walczyć w szeregach armii sprzymierzonych przeciwko wojskom Napoleona. Mężczyzna, który dał jej tyle szczęścia, niedługo stanie przeciwko jej synowi,

chłopcu niemającemu pojęcia o tym, jak wygląda prawdziwa walka. Na polu bitwy ginęli ludzie.

Po raz kolejny wzniosła do Boga niemą modlitwę, żeby oszczędził Claude'a. Za Gabriela też się modliła.

Choć miała go już nigdy więcej nie zobaczyć.

Ruszył do wyjścia, nie oglądając się za siebie. Otworzył drzwi i dopiero wtedy się odwrócił.

- Żegnaj, Emmaline - powiedział tak cicho, że ledwie go słyszała.

I już go nie było.

Miała ochotę zwinąć się w kłębek na podłodze i płakać z żalu, lecz zamiast tego wyprostowała ramiona i zmusiła się do wykonania niezbędnych prac domowych przed otwarciem sklepu. Kiedy szła do kuchni, żeby pozmywać naczynia, jej uwagę zwrócił niewielki przedmiot leżący na stole.

Czarne aksamitne pudełeczko.



## Rozdział piąty

Wracając do hotelu, Gabe nie zauważał nikogo i niczego, nawet panującej aury, jakby miał klapy na oczach. A poprzedniego ranka, gdy szedł tą samą trasą, chłonał widoki i dźwięki, ciesząc się rześkim, świeżym powietrzem. Teraz parł tępo przed siebie, myśląc tylko o tym, że na zawsze utracił Emmaline.

W Hôtel de Flandre ogolił się i przebrał. Powtarzał sobie, że musi się opamiętać, że na świecie jest mnóstwo innych kobiet, z którymi może przyjemnie spędzić czas. To mu wystarczy, nie miał bowiem zamiaru nigdy więcej pozwalać sobie na marzenia o domu, żonie i rodzinie. Planował pozostać w wojsku, bo tam było jego miejsce.

Jako żołnierz miał do spełnienia ważny obowiązek. Dla Emmaline złamał obowiązujące go przepisy i opóźnił przekazanie wiadomości, że Francuzi są blisko. Nie zamierzał dłużej z tym zwlekać. Udał się prosto do kwatery głównej armii sprzymierzonych.

Kiedy wchodził do budynku z białego kamienia, napotkał ludzi, których wolałby nigdy w życiu więcej nie oglądać: Edwina Tranville'a, który próbował zgwałcić Emmaline, i jego ojca, generała lorda Tranville'a. Generał zdążył odziedziczyć lordowski tytuł od czasu, kiedy Gabe ostatnio go widział.

- Co tu robisz, Deane? - powitał go generał, powszechnie znany z szorstkiego odnoszenia się do podwładnych. Jego syn, z blizną od noża Emmaline sięgającą od ust do skroni, w ogóle się nie odezwał.

- Sir. - Gabe skłonił się z szacunkiem, na który Tranville z pewnością nie zasługiwał. - Muszę się widzieć z Wellingtonem albo którymś z jego adiutantów.

- Ty? - Tranville uniósł brwi. - Jakiż to możesz mieć powód, żeby się widzieć z księciem albo jego adiutantami?

Gabe nie siliłby się na odpowiedź, gdyby generał nie był jego zwierzchnikiem.

- Francuskie wojska zbliżają się do Brukseli.

- Skąd wiesz? Jakie masz na to dowody?

- Spotkałem w mieście francuskiego żołnierza wczoraj wieczorem. - Gabe miał poczucie, że marnuje czas.

- Spotkałeś? Gdzie? - Tranville zmrużył oczy podejrzliwie.

Gabe przeniósł wzrok z generała na jego syna, który stał oparty o ścianę, jakby miał trudność z zachowaniem pionowej pozycji. Gabe był ciekaw, ile Edwin zapamiętał z tamtej nocy w Badajoz. I czy opowiedział o niej ojcu.

Tak czy inaczej, nie miał zamiaru prowadzić ich do Emmaline.

- Widziałem go na ulicy.

Tranville parsknął śmiechem.

- Na ulicy? A nie na spacerze w parku? Nie opowiadaj głupstw. Jeśli w ogóle coś widziałeś, to prawdopodobnie był to holenderski żołnierz piechoty.

- Rozpoznaję mundury. Ten człowiek nie chciał być widziany, a holenderski piechur nie miałby żadnego powodu się ukrywać.

Właściwie czemu usiłował przekonać Tranville'a? Było mu obojętne, czy generał mu uwierzy, czy nie.

- Tak czy inaczej, uważam za swój obowiązek złożenie raportu o tym wydarzeniu.

Tranville'owi nozdrza zadrgały z gniewu.

- Nie wspominaj o tym Wellingtonowi. Nie marnuj czasu Jego Książęcej Mości.

- Mogę porozmawiać z którymś z jego adiutantów.

- Z nikim nie będziesz rozmawiał! - huknął generał. - Wyrażam się jasno? Wypełniłeś swój obowiązek, składając raport mnie.

- A pan przekaże tę wiadomość dalej? - nie ustępował Gabe.

Generał podniósł głos.

- Jestem twoim zwierzchnikiem i nie będę się przed tobą tłumaczył z tego, co robię i czego nie robię. Księżna Richmond wydaje wieczorem bal, na wypadek gdybyś nie wiedział, i nie mam zamiaru niepokoić Jego Książęcej Mości i innych dżentelmenów - mocno zaakcentował to ostatnie słowo - jakimiś bzdurami.

Kiedy generał Tranville został jego zwierzchnikiem, osobiście dopilnował, żeby Gabe nie awansował wyżej niż na kapitana. Generał nie uznawał awansów za zasługi na polu bitwy czy wybitne umiejętności. Gabe pochodził z rodziny kupieckiej, a tylko urodzeni dżentelmeni mogli robić prawdziwą karierę, nabywając za pieniądze wyższe stop-

nie. Gabe postawił sobie za punkt honoru nie korzystać z tej drogi awansu, choć jego rodzina, a obecnie także i on, miała na to dość środków.

Tranville odprawił go niedbałym machnięciem ręki.

- Idź do swoich ludzi albo zajmij się innymi głupstwami. Nie masz tu czego więcej szukać.

Gabe miał na końcu języka wiązanek soczystych przekleństw, ale powstrzymał je, zaciskając zęby.

- Tak jest, sir - odpowiedział, robiąc przepisowy w tył zwrot.

Odchodząc, specjalnie zwolnił kroku, by Tranville się nie domyślił, że wyprowadził go z równowagi. Już przy wyjściu usłyszał zblazowany głos Edwina:

- Jakież to męczące.

Wieczorem Gabe dowiedział się, że wiadomość zawarta w jego raporcie znalazła potwierdzenie, jednak generał Tranville nie przekazał jej dalej. Wellington usłyszał o marszu Francuzów na Brukselę dopiero na balu u księżnej Richmond, dobrych dwanaście godzin po tym, jak Gabe złożył raport Tranville'owi. Mówiono, że Wellington wygłosił wówczas uwagę:

- Na Boga, Napoleon mnie podszedł. Zbliżył się o dwadzieścia cztery godziny marszu.

Gabe miał świadomość, że mógł Wellingtonowi oszczędzić połowę tego czasu.

Następnego dnia szkocki regiment Gabe'a dołączył do sił sprzymierzonych pod Quatre Bras, gdzie doszło do starcia z Francuzami. Jakże szybko wróciło to wszystko: huk dział, tętent końskich kopyt, okrzyki bojowe i jęki rannych, straszny, dobrze znany świat, bardziej rzeczywisty dla Gabe'a niż niedawna idylla w Brukseli.

Gabe'a i jego ludzi nękały salwy z muszkietów, kirasjerzy w stalowych hełmach sześciokrotnie przypuścili szturm. Krzycząc do swoich żołnierzy, żeby trzymali pozycje, Gabe próbował dostrzec twarze zbliżających się ku nim francuskich kawalerzystów. Czy był między nimi Claude? Czy miał zobaczyć, jak chłopiec spada z konia, by zginąć? A może Gabe miał dokonać strasznego dzieła własną szablą?

Pogoda się popsuła, napłynęły ciemne burzowe chmury, huk piorunów zaczął konkurować z artyleryjską kanonadą. Pod koniec bitwy Gabe zobaczył, jak kirasjerzy atakują

sześćdziesiąty dziewiąty regiment i zdobywają jego sztandar. Odetchnął z ulgą, czując się przy tym jak zdrajca. Gdyby francuski oddział został rozbity, Claude mógłby być jedną z ofiar. Gabe modlił się, by chłopiec przeżył. Ze względu na Emmaline.

Bitwa zakończyła się we wszechobecnym błocie. Żadna ze stron nie odniosła zwycięstwa, zarówno wojska sprzymierzonych, jak i Francuzi dokonali odwrotu.

Następnego dnia regiment Gabriela pomaszerował w stronę miejscowości Waterloo, gdzie Wellington wyznaczył następne starcie z siłami Napoleona.

Ulewa trwała całą noc, gęste strugi deszczu zamieniały ziemię w grzęzawisko. Gabe i Allan Landon, obecnie również w stopniu kapitana, mieli szczęście dzielić względnie suchą kwaterę z jeszcze jednym oficerem. Po Badajoz Gabe i Landon zaprzyjaźnili się mimo znaczących różnic w temperamencie i pochodzeniu. Landon, posiadający bardzo sztywne zasady, pochodził z arystokratycznej rodziny i żywił pewne ambicje polityczne, natomiast Gabe wolałby się nadziać na własną szablę, niż mieć coś wspólnego z polityką.

Na szczęście nigdy nie powiedział Landonowi o swoim udziale w łupach wojennych. Pod Vitorrią w Hiszpanii brat Napoleona, Józef Bonaparte, uciekając w panice, porzucił tabory, które rozproszone na polu bitwy skusiły nawet najuczciwszych żołnierzy. Gabe, podobnie jak większość jego ludzi, także napchał sobie kieszenie, w przeciwieństwie do Landona, który pogardzał takimi postępami.

Deszcz jednostajnie walił o dach szopy. Gabe z Landonem kulili się w pobliżu ognia, który tylko trochę chronił przed wilgotnym chłodem.

W progu ukazał się jeden z młodszych oficerów, cały ociekając wodą.

- Generał Tranville chce panów widzieć - zameldował.

- Założę się, że znów chodzi o jakieś bzdury - skomentował Gabe.

Landon klepnął go w plecy.

- Wiesz, że nie uznaję zakładów.

Owinięci pelerynami ruszyli biegiem do chłopskiej chaty zajętej przez Tranville'a.

- Buty! Uwaga na buty! - zawołał na ich wejście Tranville.

Edwin z kwaśną miną stał przy drzwiach.

Usunęli tyle błota z nóg, ile się dało, czując przy tym strużki wody wciskające się za kołnierz. Edwin wpuścił ich do środka, zamknął za nimi drzwi i pociągnął łyk z trzymanej w ręku piersiówki. Gabe rozpoznał zapach mocnego alkoholu.

Generał zmierzył ich spojrzeniem, które zapewne uważał za stalowe.

- Nie będę tolerował opieszałości, rozumiano? Powiedzcie swoim ludziom, że mają się ruszać, bo inaczej będą mieli ze mną do czynienia.

- Tak jest, sir! - powiedział młody porucznik.

Gabe zachował kamienną twarz. Był w stanie znieść Tranville'a tylko dlatego, że w chacie było sucho i ciepło.

- Landon - kontynuował generał - chcę, żebyś jeszcze dziś znalazł Pictona. Sprawdź, czy ma dla mnie jakąś wiadomość.

Generał Picton dowodził Piątą Dywizją, której część stanowił szkocki regiment. Zadaniem Landona było przekazywanie wiadomości Pictonowi i Tranville'owi podczas bitwy, ale niedorzecznością było wysyłać go w taką pogodę z założeniem, że Picton może akurat mieć przypadkiem jakąś wiadomość.

Landon musiał pomyśleć dokładnie to samo, bo odruchowo spojrzął w stronę okna, którego drewniane okiennice łomotały targane wiatrem i ulewą.

- Tak jest, sir.

- A jutro masz pozostawać do mojej dyspozycji. Mogę cię potrzebować podczas bitwy.

Landon oczywiście dobrze o tym wiedział.

- Tak jest, sir - powtórzył.

Generał z zadowoleniem pokiwał głową. W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Tranville gestem nakazał Edwinowi otworzyć, który spełnił polecenie z wyraźnym ociąganiem.

W progu stanął Jack Vernon, obecnie porucznik, który był z nimi w Badajoz. Popatrzył z ukosa na Gabe'a i Landona, zanim podał list Tranville'owi.

Generał wyrwał mu papier z rąk, rzucając szczekliwie:

- Zaczekasz na moją odpowiedź.

Gabe wymienił spojrzenie z Landonem. Było jasne, że Vernon i Tranville spotykają się nie po raz pierwszy i że z jakiegoś powodu są do siebie wrogo nastawieni.

Generał specjalnie przeciągał pisanie, bez wątpienia chcąc w ten sposób zrobić na złość porucznikowi.

- Możesz iść - powiedział w końcu.

- Za pozwoleniem, ja także już pójdę - odezwał się Landon.

Vernon opuścił chatę jako pierwszy, Landon tuż za nim.

- Jestem panu jeszcze potrzebny? - zapytał Gabe.

- Oczywiście, że nie - odburknął Tranville. - Wynoście się wszyscy.

Na zewnątrz Gabe z Landonem odciągnęli porucznika na bok.

- Masz czas, żeby się napić herbaty? - spytał Landon.

Vernon przytaknął z wdzięcznością. Zaprowadzili go do szopy i nastavili wodę. Trzeci oficer, ich współlokator, chrapał w kącie.

Kiedy w końcu ogrzali ręce o blaszane kubki z herbatą,

Vernon zerknął na oficera i przekonawszy się, że śpi w najlepsze, oznajmił:

- Muszę wam to powiedzieć. Nie dotrzymałem słowa w sprawie Badajoz, nie dochowałem milczenia. Byłem zmuszony powiedzieć generałowi Tranville'owi.

Gabe wyprostował się gwałtownie.

- Tranville'owi!

Vernon poniósł rękę w obronnym geście.

- Nie chciałem tego robić, ale nie miałem wyboru. Pokazałem mu moje szkice przedstawiające tamto wydarzenie. Tranville groził mojej rodzinie, jedynym sposobem, żeby go uciszyć, była groźba, że wydam Edwina. Jesteście bezpieczni - zapewnił. - Z moich rysunków nie da się was zidentyfikować nawet po mundurach.

- A widać twarz kobiety? Albo jej syna? - spytał Gabe, czując ściskanie w piersi.

Vernon pokręcił głową przecząco. Gabe odetchnął z ulgą.

- Cholerny Tranville - mruknął. - Mam nadzieję że jakiś Francuz palnie mu w łeb.

- Uważaj, co mówisz, Gabe - ostrzegł Landon, wskazując na śpiącego oficera.

- Lepiej już pójdę dostarczyć tę wiadomość. - Vernon podniósł się z miejsca. - A co z tą kobietą, kapitanie? Myślisz, że znalazła bezpieczne schronienie dla siebie i syna?

- Owszem - odparł Gabe. - Mieszka w Brukseli. Widziałem się tam z nią.

- Nie mówiłeś mi o tym - stwierdził Landon z ożywieniem.

Gabe wzruszył ramionami. Nie miał ochoty ciągnąć tego tematu.

- A chłopiec? - spytał Vernon.

Gabe popatrzył najpierw na jednego, potem na drugiego z przyjaciół.

- Jest w wojsku. - Nie dodawał nic więcej, pozwalając im zakładać, że wstąpił do belgijskiego regimentu.

Po wyjściu Vernona Landon zwrócił się do Gabe'a:

- Skąd wiedziałeś, że ta kobieta jest w Brukseli?

- Spotkałem ją przypadkiem. - Właściwie było to prawdą, tyle że specjalnie szedł za nią aż do sklepu.

- Sądziłem, że jest Francuzką - powiedział Landon.

- Przyjechała do Belgii, żeby zamieszkać u swojej krewnej, jak mi powiedziała. - Nie miał ochoty mówić o Emmaline. - Nic więcej nie wiem.

Poza tym, o czym rozmawiali spleceni ze sobą w objęciach po zbliżeniu. Poza tym, że od jej uśmiechu świat nabierał kolorów. Poza tym, że miała gładką, ciepłą skórę, której uwielbiał dotykać. Poza tym, że był z nią szczęśliwy...

Landon nie drażył tematu, zaraz zresztą wyszedł, żeby odszukać Pictona. Przez resztę nocy Gabe starał się nie zwracać uwagi na wodę kapiącą z sufitu i wiatr wpadający przez szpary w ścianach. A przede wszystkim próbował nie myśleć o Emmaline, o tym, jak cudownie było się przy niej budzić i jak strasznie bolała świadomość, że ją utracił.

Potrzebował snu, zanim stawi czoło kanonadzie, szarżującej kawalerii i tysiącom żołnierzy nacierających na nich przy dźwiękach werbli.

Następnego dnia ulewa przeszła w lekką mżawkę, ale ustała dopiero około południa, gdy wreszcie pokazało się słońce. Wszyscy przygotowywali się do bitwy, która - jak czuli - miała być ostateczna.

Gabe naradzał się z porucznikami i sprawdzał gotowość bojową oddziału, upewniając się, czy starczy im prochu i amunicji. Mundur miał wilgotny od ciągłych opadów, a podkomendni byli przemoczeni do suchej nitki. Kiedy zrobiło się cieplej od słońca, z

ich okryć i z ziemi zaczęły się unosić kłęby pary, nadające całej scenerii dziwnie nierzezywisty wygląd.

Armie starły się na łagodnie opadającym zboczu po prawej stronie drogi prowadzącej do Brukseli. Po jednej stronie doliny znajdowała się farma La Haye Sainte obsadzona przez Królewski Legion Niemiecki, po drugiej zameczek Hougoumont broniony przez oddziały dowodzone przez kapitana MacDonella. Szkocki regiment Gabe'a wraz z innymi oddziałami, w których służyli żołnierze brytyjscy, holenderscy, niemieccy i belgijscy, zajął pozycje na linii łączącej te dwa obiekty. Za plecami mieli las Soignes zwany Paryskim. Wellington rozkazał im pozostać po tylnej stronie wzniesienia, więc większość słyszała odgłosy walki, choć nie widziała samych zmagañ. Gabe miał nieco większe pole widzenia, ponieważ siedział na koniu i mógł obserwować pierwszy atak na Hougoumont, który się odbył przed południem i stanowił niejako wstęp do głównej bitwy. Dwie godziny później przyszła kolej na jego szkocki regiment, gdy do doliny weszła kolumna doborowej francuskiej piechoty. Ziemia drżała pod marszowym krokiem, werble dudniły ogłuszająco.

Regiment szkocki, podobnie jak reszta oddziałów, był gotowy do walki. Gabe trzymał swoich ludzi ukrytych za grzbietem wzniesienia, dopóki Picton nie wydał rozkazu. Wtedy wszyscy Brytyjczycy stanęli przed Francuzami i dali ognia. Żołnierze z pierwszego rzędu, stojący ramię przy ramieniu, strzelili na rozkaz, po czym padli na ziemię, żeby przeładować muszkiety. Wtedy wysunął się przed nich drugi rząd, by oddać strzał. I znów nastąpiła zmiana. Salwa po salwie trafiała we Francuzów, wielu z nich padało i było tratowanych przez towarzyszy broni nacierających za nimi.

Gabe jeździł wzdłuż linii strzelców, zagrzewając do walki, lecz mimo wielkiej siły rażenia muszkietów nacierające jednostki wroga były zbyt liczne, by je powstrzymać. Wyglądało na to, że za chwilę zostaną pokonani.

Jednak nie wszystko było jeszcze stracone, bowiem nagle zjawiała się brytyjska kawaleria. Pędząc ze wzgórza, siała spustoszenie pośród francuskiej piechoty. Gabe z radością patrzył na gorączkowy odwrót Francuzów, bezlitośnie sieczonych szablami przez atakujących kawalerzystów.



Ten widok najpierw przyniósł Gabe'owi ulgę, choć nie sprawił mu przyjemności, a wkrótce potem wzbudził przerażenie, nagle bowiem brytyjscy kawalerzyści zostali odcięci przez francuskich kirasjerów i role się odwróciły - teraz to Brytyjczycy uciekali, a Francuzi robili wszystko, żeby ich dopaść i zabić.

Czy syn Emmaline był pośród nich? - zastanawiał się Gabe. Zaspokajał swą żądzę zemsty? A może padł już w boju? Claude był zbyt młody i nieobeznany z walką, by wytworzyć w sobie instynkt przetrwania, który staje się drugą naturą doświadczonych żołnierzy, instynkt, który dotąd pomagał Gabe'owi wychodzić cało ze wszystkich bitw.

O czwartej walki wokół Hougoumont i La Haye Sainte wciąż trwały. Gabe przygotowywał się do kolejnego ataku piechoty. Ponownie wycofał swoich ludzi na drugą stronę wzgórza, a sam wjechał na jego szczyt, żeby się rozejrzeć i sprawdzić, co ich czeka. Ziemia znów się zatrzęsała, lecz tym razem pod końskimi kopytami. Tysiące francuskich kawalerzystów jak niczym niepowstrzymana fala zmierzały prosto na nich.

Wellington wydał rozkaz uformowania kwadratu, formacji bojowej, w której żołnierze tworzą trzy rzędy: pierwsza linia wystawia bagnety, druga strzela, trzecia przeladuje muszkiety. Bagnety zatrzymywały konie, więc muszkietrzy mogli swobodnie oddawać strzały. Pośrodku kwadratu znajdowali osłonę ranni, artylerzyści i oficerowie, których zadaniem było pilnowanie, by w rzędach nie tworzyły się wyłomy i by ostrzał przebiegał sprawnie.

- Strzelajcie do koni! - zawołał Gabe, jako że bez konia kawalerzysta stawał się bezradny.

Gabe trafił do tego samego kwadratu co Landon, który, dzięki Bogu, był cały i zdrowy. Istniała natomiast możliwość, że spełniło się to, czego Gabe życzył generałowi Tranville'owi, widziano bowiem, jak spadał z konia i od tamtej pory nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Jego syn Edwin, znany z tchórzostwa, zniknął gdzieś już na początku bitwy. Gabe podejrzewał, że ukrywał się tam, gdzie nie sięgał ogień artyleryjski i kule z muszkietów.

- Strzelajcie do koni! - zawołał ponownie Gabe. - Trzymać pozycje!

Formacja Gabe'a nie gubiła szyku mimo wielokrotnych ataków wroga. Pozostałym brytyjskim kwadratom także udawało się jako tako zachować pierwotny kształt. Pomie-

dzy kolejnymi natarciami Francuzów Landon pojechał na pomoc do Hougoumont, które stało w ogniu. Gabe został ze swoim oddziałem, który z każdym atakiem wroga stawał się coraz mniej liczebny.

Ziemia wokół zasłana była martwymi i dogorywającymi końmi i ludźmi; ich krzyki ginęły w huku dział i salwach muszkietów. Dym unoszący się w powietrzu nie pozwalał widzieć dalej niż na jakieś trzy do czterech metrów.

Pomiędzy najazdami kawalerii Gabe martwił się, że Francuzi skierują na ich kwadraty ogień artyleryjski albo że do nacierających dołączą następne kolumny piechoty. Nic takiego się jednak nie stało, zwiększyła się jedynie liczba atakujących kawalerzystów. Przed ostatnim starciem w jednym z boków kwadratu utworzyła się szczelina.

- Zewrzeć szyki! - rozkazał Gabe, podjeżdżając w tamtą stronę.

Jeden z kirasjerów, siedzący na ciemnogniadym koniu, skierował się w to właśnie miejsce, lecz ludzie Gabe'a zdążyli do niego strzelić, nim zdążył się zbliżyć. Trafiony kilkoma kulami wyprostował się nienaturalnie, a potem spadł z siodła. Koń pobiegł dalej. Był wyjątkowo pięknym zwierzęciem i Gabe cieszył się, że kule go ominęły. Jeździec przetoczył się bezwładnie po ziemi i wylądował niecałe dwa metry od Gabe'a. Hełm spadł mu przy tym z głowy.

W tym momencie Gabe zorientował się, że ma przed sobą Claude'a Mableau. Jeden z jego ludzi wymierzył z muszkietu w chłopca, który niezdarnie próbował się podnieść z ziemi.

- Nie strzelać! - zawołał Gabe, zeskakując z konia. - Nie stanowi żadnego zagrożenia. - Chwycił Claude'a za kołnierz i wciągnął do środka kwadratu między swoich rannych.

- To Francuz, kapitanie? - spytał jeden z żołnierzy.

- Oszczędźcie go - rozkazał Gabe, nie dbając o to, że mogą go uznać za zbyt pobłażliwego dla wroga. - To jeszcze dziecko.

Dziecko Emmaline.

## Rozdział szósty

Przez cały dzień słyszała odgłosy wystrzałów i dudnienie artylerii, przypominające niedawne burzowe grzmoty, tyle że bez deszczu.

Wszyscy mówili, że trwa wielka bitwa, nie taka jak ta sprzed dwóch dni, kiedy też słyszała kanonadę. Z tego, co zdołała zobaczyć, do Brukseli przybyło wówczas mnóstwo rannych żołnierzy. Jeśli ta bitwa była większa, zapewne będzie jeszcze gorzej.

Ciotka Voletta uparła się, żeby zamknąć sklep, a wszystkie koronki spakować i ukryć na strychu.

- Inaczej Anglicy użyją ich jako bandaży - twierdziła madame Laval. - To nie-okrzesane typy.

Przez dwa dni pakowały zwoje koronek. Zajęcie pomagało nie myśleć o upływającym czasie, jednak teraz, kiedy zadanie zostało wykonane, Emmaline nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Każdy odgłos walki powodował, że serce ścisnął jej lodowaty strach. Czy ta kula trafiła Claude'a? Znajdował się gdzieś w pobliżu? Czy do niej wróci? Czy może poległ już w tej pierwszej bitwie? Czy został umieszczony na pierwszej linii? Czy wystawiono go na kule muszkietów?

Starła się pamiętać, że Claude jest synem oficera, mógł więc mieć wrodzony żołnierski instynkt przetrwania. Poza tym wiedziałaby, gdyby zginął. Była pewna, że wyraziście by odczuła ten moment, gdyby jego dusza opuściła ciało, tak jak wyraziście czuła, gdy wydawała go na świat.

Ciotka Voletta wysłała ją na zakupy spożywcze. Wielu Anglików uciekło do Antwerpii, a w sklepach, które pozostały otwarte, niewiele można było dostać. Mogło to oznaczać, że inni sklepikarze, podobnie jak ona i ciotka, też ukryli swój towar.

Na ulicach panował duży ruch. Przejeżdżały wozy z zaopatrzeniem, wystraszeni mieszkańcy uciekali z miasta, przybywali ranni. No i oczywiście aż huczało od plotek i pogłosek. Na jednym rogu ulicy uważano, że Napoleon stoi już u bram, na innym, że wojska sprzymierzone zmusiły go do odwrotu. I jedno, i drugie przyprawiały Emmaline o niepokój. Dla niej ta bitwa, nieważne, jak się zakończy, nigdy nie mogła przynieść prawdziwego zwycięstwa, wyłonić zwycięzcy.

- Jakie wieści z pola bitwy? - zapytała, podbiegając do wozu z rannymi Anglikami.
- Ciężko jak diabli - odpowiedział jeden z żołnierzy.

Czerwone kurtki mundurów przypominały jej o Gabrielu. Może coś o nim wiedzie-  
li?

- Jesteście z regimentu szkockiego?
- Nie, madame. Wóz pojechał dalej.

Odruchowo podniosła dłoń do piersi, wymacując pod ubraniem pierścioneł, przez który przepłotła łańcuszek i nosiła zawieszony na szyi. Coś nie pozwalało jej wierzyć, że Gabriel Deane zginie w zwyczajnej bitwie. Był na to zbyt mądrym, zbyt silnym i zbyt dobrym człowiekiem. Żałowała, że zamiast czule się z nim pożegnać, nie dość, że odrzuciła jego oświadczenia, to jeszcze z jej ust padły szorstkie słowa.

Kiedy zamykała oczy, wciąż widziała nieszczęśliwy wyraz jego twarzy. Dlaczego jej nie rozumiał? Nie mogła poślubić Gabriela, brytyjskiego żołnierza, skoro jej syn tak bardzo go nienawidził. Powinien był to wiedzieć.

Nagle rozległ się tętent setek kopyt. Emmaline aż upuściła koszyk z wrażenia, kiedy mijał ją galopem cały regiment hanowerskiej kawalerii. Skamieniała, oczekując, że zaraz ujrzy samego Napoleona jadącego w ślad za niemieckimi jeźdźcami.

Nikt jednak się nie pokazał.

Schyliła się po koszyk, nagle zdjęta niepokojem tak silnym, że czuła go niemal fizycznie. Dość chodzenia po sklepach, pomyślała. Pragnęła znaleźć się w domu i samotnie czekać na wiadomość o ostatecznym wyniku bitwy. Kto wygrał, a kto przegrał, kto przeżył, a kto poległ. I czy Claude do niej wróci.

Właśnie znajdowała się w cieniu katedry świętego Michała. Zadarła głowę, spoglądając na wieże, i szeptem poprosiła Najwyższego, żeby syn wrócił do niej żywy. Zaraz potem dołączyła modlitwę za Gabriela, ale nie prosiła o jego powrót, tylko o ocalenie.

Przeżegnawszy się, ruszyła pośpiesznie do sklepu z koronkami. Nie weszła od frontu, tylko przez bramę i placzyk dotarła do tylnych drzwi, a potem weszła na górę do mieszkania ciotki.

- Tylko tyle udało ci się zdobyć? - Voletta Laval wzięła od niej koszyk i zajrzała do środka.

Emmaline obronnym gestem skrzyżowała ramiona na piersi.

- Niewiele mają do sprzedania.

Kiedy rozległ się wystrzał armatni, jednocześnie obróciły głowy w stronę, skąd dobiegał.

- Jestem już tym zmęczona - narzekała ciotka, uważnie oglądając każdy produkt wyciągnięty z koszyka. - Słyszałaś jakieś wieści z pola walki?

Emmaline pokręciła przecząco głową, po czym powiedziała:

- Nikt nie wie, kto jest górą.

- Phi! - Ciotka machnęła lekceważąco dłonią. - Napoleon wygra.

Emmaline zachowała milczenie. Nie chciała zwycięstwa Francuzów. Gdyby wygrali, Claude nigdy by nie wystąpił z wojska.

- Potrzebujesz mojego towarzystwa? Bo jeśli nie, to wołałabym pójść do siebie.

- Idź - zgodziła się ciotka. - Ale przyjdź do mnie, jak się dowiesz o zwycięstwie.

Emmaline nie poszła jednak zasięgać języka o wyniku bitwy.

Spędziła wieczór na sofie. Skulona, z kolanami podciągniętymi pod brodę, w kółko powtarzała modlitwy. W końcu położyła się i dotykając pierścionka ukrytego pod suknią, wpatrywała się w płomień pojedynczej świecy. Kanonada ucichła i wraz z zapadnięciem ciemności zaczął dobiegać ją turkot wozów jadących ulicami. Ogarek świecy stawał się coraz mniejszy, powieki coraz bardziej ciężły, choć z całych sił starała się nie zasnąć. Jak mogła spać, kiedy los jej syna był niepewny?

Rytmiczny hałas dobiegający z dołu sprawił, że w końcu zamknęła oczy.

I prawie natychmiast znów je otworzyła, przestraszona głośnym dobijaniem się do drzwi. Z dziko walącym sercem usiadła na sofie. A potem usłyszała:

- Emmaline! Wpuść mnie!

To był Gabriel!

Podbiegła do drzwi i szybko je otworzyła.

Najpierw dostrzegła tylko cień za progiem, ale kiedy Gabe wszedł do domu, zobaczyła, że niesie coś na ramieniu.

- Przyniosłem twojego syna.
- Claude! - Zakryła usta rękami. Nie żył? - Claude!
- Jest ranny. - Nie mówiąc nic więcej, zaniósł chłopca na górę.

Emmaline chwyciła świecę i podążyła za nim. Głowa Claude'a kołysała się bezwładnie na boki przy każdym kroku Gabriela.

Wniósł Claude'a do pokoju, położył na łóżku i natychmiast zaczął rozbierać.

Emmaline drżącymi rękami zapaliła więcej świec.

- W co jest ranny?
- W głowę. - Zerwał z chłopca zakrwawiona koszulę. - W szyję. I w nogę.

Stała przy łóżku, wreszcie mogąc dotknąć syna. Pomogła zdjąć z niego spodnie poplamione krwią. Został postrzelony w udo, ale było oczywiste, że kula przeszła na wyłot. Na szyi, powyżej obojczyka, widniała kolejna rana. Emmaline dotknęła palcem miejsca tuż obok.

Claude wzdrygnął się, wydając z siebie jęk bólu... co przynajmniej oznaczało, że żyje.

- Wody - rzucił napiętym głosem Gabriel. - Trzeba obmyć rany, żeby je lepiej obejrzeć.
- Zaraz przyniosę. - I już jej nie było.

Po chwili wróciła ze stertą ręczników, dzbankiem wody, miednicą i kubkiem. Kiedy umieszczała to wszystko na nocnym stoliku, Gabriel zachwiał się, jakby miał paść na ziemię.

Podskoczyła ku niemu, żeby pomóc odzyskać równowagę.

- Jesteś ranny, Gabrielu?
- Nie, nie. Tylko zmęczony.
- Usiądź. - Podprowadziła go do drewnianego krzesła stojącego obok łóżka i naląła wody do kubka.

Wypił łapczywie, ale gestem nakazał jej wrócić do Claude'a.

Emmaline zmyła krew, błoto, żdzębła trawy i strzępki materiału ze skóry syna. Na głowie, pod zmierzwionymi włosami, miał długie rozcięcie. Kula z muszkietu drasnęła go, ale nie weszła w głęb. W udzie miał wielką dziurę, z której wciąż sączyła się krew.

Na klatce piersiowej widniały okrągłe czerwone punkty, które zmieniały się w ciemne siniaki.

- Stalowy napierśnik zatrzymał kilka kul - wyjaśnił Gabriel. Kirasjerów chroniły osłony przypominające średniowieczne zbroje, czyli kirysy.

Najgroźniejsza była rana na szyi, ponieważ trzeba było wyjąć kulę.

- Potrzebny jest lekarz - zwróciła się Emmaline do Gabriela.

- Nie znajdzie się. - Ciężko przesunął dłonią po twarzy. - Tysiące rannych potrzebują lekarza. Wielu z nich jest w gorszym stanie. - Popatrzył jej w oczy. - Zbyt wielu. - Rysy mu się ściągnęły.

Emmaline wołała się nie zastanawiać, jakich scen był świadkiem i uczestnikiem na polu bitwy. Musiała skupić całą uwagę na synu, na utrzymaniu go przy życiu.

- Sama usunę kulę - powiedziała, zmuszając się do zachowania spokoju.

- Emmaline... - zaczął Gabriel ostrzegawczym tonem.

- Nie ma innego wyjścia - przerwała mu stanowczo. - Widziałam, jak się to robi. Muszę spróbować.

Pognała po wszelkie przedmioty, które mogły okazać się pomocne przy wydłubywaniu pocisku, czyli druty do robótek, długie szydełko do haftowania, szcypce, nożyczki. Wstawał świt, niebo zaczynało jaśnieć. To dobrze, pomyślała, będę lepiej widzieć.

Gdy wróciła do pokoju Claude'a, przysunęła łóżko do okna i ułożyła zebrane narzędzia na posłaniu.

- Przytrzymam go, nie powinien się ruszać - powiedział Gabriel, podnosząc się z krzesła.

Nie potrafiła zrozumieć, skąd brał w sobie siłę, przecież był skrajnie wyczerpany. A jednak stanął po drugiej stronie łóżka i mocno chwycił Claude'a za ramiona. Kiedy ostrożnie włożyła do rany drut, próbując wymacać kulę, Claude otworzył oczy i krzyknął, jednak Gabe trzymał go w niewzruszonym uścisku.

Emmaline przelykała ślinę, starając się odeprzeć falę nudności. Na szczęście nie musiała długo szukać.

- Nie weszła głęboko!

Szczypce miały około pięciu cali długości, co całkowicie wystarczało, by dosięgnąć kuli. Udało się ją wydostać dopiero za kolejną próbą. Claude przez cały ten czas wiał się z bólu, aż w końcu stracił przytomność. Kiedy Emmaline wreszcie obejrzała wydobyty z rany pocisk, Gabriel puścił Claude'a i oparł się plecami o ścianę.

- Jeśli wytrzymasz, to chciałabym zrobić jeszcze jedno - zwróciła się do niego. - Chcę zeszyć rozcięcie na głowie.

Gabrielowi trzęsły się ręce, gdy przytrzymał głowę Claude'a, żeby Emmaline mogła zszyć rozplataną skórę nad czołem. Chłopak nie odzyskał przytomności.

Gdy skończyła, spojrzała na Gabriela i poleciła:

- Teraz usiądź.

Zabandażowała rany, po czym nakryła Claude'a czystym płótnem i kocem. Jęknął, co przyjęła z ulgą, odbierając jako dowód życia. Postanowiła, że później wleje mu do ust trochę bulionu, jak robiła, kiedy chorował w dzieciństwie, a na wypadek gorączki będzie chłodzić czoło zimnymi kompresami. Niewiele więcej mogła zrobić.

Odsunęła się od łóżka.

- Muszę już iść - odezwał się Gabriel.

- Weź trochę jedzenia. I coś do picia. - Dotknęła jego ramienia. Chciała go poprosić, żeby jej nie opuszczał, bo jego obecność podnosiła ją na duchu, dawała wiarę, że potrafi utrzymać Claude'a przy życiu.

Zeszła razem z Gabe'em i zmusiła go, żeby usiadł przy stole, przy którym spędzili tak wiele szczęśliwych chwil.

Gdy podała mu kieliszek wina, opróżnił go jednym haustem, jakby pił wodę.

- Naprawdę muszę iść. - Podniósł się i ruszył ku drzwiom.

- Gabrielu... Kto wygrał bitwę? - spytała go, kiedy był już w progu.

- Siły sprzymierzone. - Posłał jej zmęczone spojrzenie.

Poczuła ulgę. Pomyślała, że kiedy... jeśli Claude wyzdrowieje, nie wróci do francuskiej armii. Nie będzie takiej potrzeby, skoro Brytyjczycy zwyciężyli. Zacznie wieść normalne, spokojne życie.

- Dziękuję ci za mojego syna - powiedziała cicho, przełykając łzy.

Delikatnie pogładził ją po policzku i odwrócił się do wyjścia.



- Jak go znalazłeś? - Przytrzymała go za ramię. - Mówiłeś, że było tak wielu...

Znów cień przemknął mu po twarzy.

- Kirasjerzy atakowali. Widziałem, jak spadł z konia niedaleko mnie.

- Pozwolili ci go uratować? - Z pewnością nie było łatwo chronić Francuza w sytuacji, gdy tak wielu własnych rannych potrzebowało pomocy.

- Nikt nie mógł mnie powstrzymać. - Jego oczy przybrały twarde wyraz.

Przestąpił próg, skierował się do bramy i zniknął z jej życia.

Emmaline oparła się o framugę. Łzy piekły ją pod powiekami, w gardle dusił powstrzymywany szloch.

Gabriel ryzykował, żeby ratować jej syna.

TLR

# Rozdział siódmy

*Londyn, czerwiec 1817*

Dwa lata po Waterloo życie Gabe'a wyglądało zupełnie inaczej niż przed wielką bitwą, która zakończyła wojnę. Napoleon został zesłany na Wyspę Świętej Heleny na południowym Atlantyku, wystarczająco daleko, by nie stwarzać więcej zagrożenia. Przez jakiś czas szkocki oddział Gabe'a wchodził w skład armii okupacyjnej we Francji. Gabe żałował, że nie wysłano ich gdzie indziej, dalej od Brukseli, w której wszystko przypominało mu o tym, o czym koniecznie chciał zapomnieć.

Wreszcie nadszedł rozkaz przeniesienia batalionu do Canterbury, gdzie go rozwiązano, a Gabe'a przeniesiono do rezerwy i obcięto mu żołd o połowę. W jednej chwili znalazł się bez regimentu, bez rozkazów i właściwie nie miał nic do roboty.

Zamieszkał w Londynie i podobnie jak inni oficerowie zagubieni w niewojskowym świecie próbował szukać zatrudnienia w Gwardii Konnej; odwiedzał też Ministerstwo Wojny, żeby pobrać formularze niezbędne przy staraniach o posadę. Tego ciepłego czerwcowego popołudnia Gabe zjawił się w gmachu ministerstwa po kilka dodatkowych egzemplarzy, których zabrakło w poprzednim tygodniu. Przychodził w tej sprawie już poprzedniego dnia oraz dwa dni wcześniej i nic nie wskórał, dlatego nie bardzo wierzył, że obecna wyprawa zakończy się innym wynikiem.

Przy wejściu spotkał trzech znajomych oficerów, którzy właśnie opuszczali budynek.

- Deane! - zawołał jeden z nich, klepiąc go w ramię. - Przyszedłeś po formularze, co? - Mówił z wyraźnym irlandzkim akcentem, dzięki któremu zyskał przydomek Irlandczyk.

- Owszem - odpowiedział bez entuzjazmu Gabe. - Chcesz powiedzieć, że mieli nową dostawę?

- Nic takiego nie usłyszysz - odezwał się drugi z oficerów, major Hanson. - Webberly oferował nawet łapówkę, żeby urzędnik znalazł mu choć jeden, ale wygląda na to, że naprawdę ich nie mają. Może dostaną jutro, tak przynajmniej mówią.

- Byłem pewien, że łapówka pomoże - narzekał Webberly.

- Bardzo chętnie bym dał łapówkę, gdyby to miało pomóc - powiedział Gabe, bo cóż innego miał robić ze swoimi pieniędzmi?

- Nie mówcie o tym tak głośno - uciszył ich Hanson - bo urzędnicy zwęszą okazję do zarobku.

W istocie urzędnicy dobrze wiedzieli, że Gabe jest skłonny im zapłacić za dodatkowe formularze, bo dawno im to proponował.

Irlandczyk parsknął śmiechem.

- Kapitanie Deane, drogi kolego, tak ci się śpieszy do nowego stanowiska? To by oznaczało, że porzucisz nasze towarzystwo i wygodne lokum w hotelu U Stephena.

Wszyscy mieszkali w tym popularnym wśród wojskowych miejscu, który mieścił się na Bond Street.

- A uchowaj Boże, po prostu brakuje mi utraconego luksusu, który można mieć tylko w koszarach - odparł ironicznie Gabe.

- Szkoda twojego czasu, bo i tak nic dziś nie załatwisz - powiedział Hanson. - Lepiej chodź z nami na piwo.

Szukanie zapomnienia w alkoholu było kuszące. Większość oficerów zamieszkających w hotelu U Stephena piła za dużo, ale po Brukseli Gabe przekonał się, że wszystkie zabijane pićmi kłopoty ozywają wraz z nastaniem nowego dnia. I towarzyszy im piekielny ból głowy.

- Nie tym razem.

Gdy się pożegnali, Gabe jednak podszedł do biurka urzędnika od formularzy, który nawet nie zaszczycił go spojrzeniem.

- Dzisiaj nie ma, może będą jutro - burknął.

Gabe postukał palcem w blat biurka.

- Jeśli formularze dotrą jutro, zachowa pan kilka dla mnie?

Urzędnik dopiero w tym momencie uniósł głowę.

- Za sumę, którą uzgodniliśmy?

- Właśnie.

- Robimy zakłady, który z oficerów pierwszy się złamie i przyjmie stanowisko w Indiach Zachodnich. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Pierwszy batalion szkocki stacjonował w Indiach Zachodnich. Zawsze były tam wolne posady, ponieważ wielu oficerów zapadało na malarię i umierało.

Gabe przeżył już jedną zsyłkę do tego okropnego miejsca i nie miał ochoty powtórnie ryzykować, nawet gdyby go to miało uwolnić od londyńskiej nudy.

Odbył już podróż do Manchesteru, krainy swojej młodości, gdzie wciąż mieszkała jego rodzina. Nie widział tego miejsca przez dziesięć lat i czuł się, jakby odbywał zagraniczną podróż. Wszędzie powyrastały fabryki i magazyny. Jego siostrzeńcy i bratankowie także wyrosli i było ich tylu, że nie mógł wszystkich zliczyć. Matka i ojciec zastraszająco się postarzelili i ani oni, ani bracia i siostry nie bardzo wiedzieli, jak zabawiać gościa.

Skończyło się na tym, że Gabe spędzał większość czasu z dwunastoletnim bratanikiem, który zadawał mu niekończące się pytania na temat walk na Półwyspie Iberyjskim i chciał znać każdy szczegół bitwy pod Waterloo. Chłopiec przypominał mu Claude'a, a raczej kogoś, kim mógłby być Claude, gdyby nie wydarzenia w Badajoz.

Po kilku tygodniach kłopotliwej dla wszystkich wizyty Gabe wyjechał, korzystając z pierwszego nadarzającego się pretekstu. Podejrzewał, że rodzina odczuła ulgę, że nie będzie im dłużej zakłócał codziennej życiowej rutyny i prowadzenia znakomicie prosperującego składu tekstylnego. Manchester z nowymi fabrykami i kanałem ułatwiającym transport towarów sprawiał wrażenie prawdziwego raję dla kupców handlujących tkaninami.

Potem Gabe odwiedził wuję prowadzącego farmę na wzgórzach. Niestety, nawet ta idylla miała wkrótce odejść do przeszłości. Farma była wystawiona na sprzedaż, a wujowi groziła rywalizacja o posadę z młodszymi ludźmi, którzy również szukali zatrudnienia. Gdyby sprawy w Brukseli potoczyły się inaczej, Gabe mógłby kupić Stapleton Farm. Jednak życie pokazało, że jego miejsce jest w wojsku. Dostał nauczkę i wiedział, że nie ma sensu marzyć o innym losie.

Wrócił do Londynu i zmuszonych starań o zakup stanowiska. Ciekawe, ile stawiano, że to on się złamie i wyjedzie do Indii Zachodnich?

- Wrócę jutro - powiedział do urzędnika, który zdążył na powrót utkwic wzrok w swoich papierach.

- Bez wątpienia - odburknął.

Po wyjściu na ulicę Gabe głęboko zaczerpnął powietrza. Potrzebował więcej zajęć. Poranna przejażdżka na koniu i popołudniowe odwiedziny w Ministerstwie Wojny lub w siedzibie Gwardii Konnej to było stanowczo za mało.

Większość jego kolegów oficerów uczęszczała na bale i inne towarzyskie wydarzenia w nadziei znalezienia bogatej kandydatki na żonę. Ta droga była dla Gabe'a zamknięta, bo przy nadmiarze młodszych braci dziedziców na matrymonialnym rynku, syn kupca miał marną cenę. Poza tym małżeństwo nie było mu pisane, o czym przekonał się w Brukseli.

Wrócił do hotelu, mijając księgarnie, sklepy żelazne, pracownie modystek i herbariarnie na Bond Street. Wszedł do środka z opuszczoną głową, mając nadzieję, że nie spotka nikogo znajomego. Nie był w nastroju do przyjacielskich pogawędek o pogodzie, czy o czymkolwiek innym. Z czakiem pod pachą przeszedł przez hol i skierował się na schody.

- Kapitanie! - zawołał za nim lokaj pełniący funkcję recepcjonisty. - Kapitanie!

Gabe odwrócił się, mierząc go niechętnym spojrzeniem.

- Ma pan gościa. Czeka we frontowym salonie.

Gabe zastanawiał się, o kogo może chodzić. Kto z jego londyńskich znajomych mógł chcieć się z nim widzieć? Może Allan Landon? Spotkał się z nim kilka tygodni wcześniej, lecz nie wymienili między sobą adresów. Znał też innych Oficerów, ale wszyscy mieszkali w tym samym hotelu.

Potaął czoło w głębokim namyśle.

Z drugiej strony wysłał mnóstwo listów, próbując znaleźć posadę w armii. Może gość przynosił mu odpowiedź na któryś z nich.

Wszedł do salonu, zostawiając czapkę na stoliku przy drzwiach. Pokój wydawał się pusty, choć zasłony były rozsunięte, a na gzymsie kominka stał wazon ze świeżymi kwiatami.

Nagle od strony fotela odwróconego przodem do kominka dobiegł szelest materiału. Spojrzawszy w tamtym kierunku, Gabe dostrzegł zarys czepka.

Kobieta?

- *Bonjour*, Gabriel - odezwała się, wstając.

Emmaline!

Wyglądała jeszcze piękniej niż ta cudowna postać z jego snów. Obramowany koronką słomkowy czepek wdzięcznie okalał urodziwą twarz. Ciemnoniebieska suknia jeszcze mocniej podkreślała żywą barwę oczu.

Dobry Boże. Minęły dwa lata, a jej widok nadal zapierał mu dech w piersi.

- Co tu robisz? - Pytanie zabrzmiało ostrzej, niżby sobie tego życzył.

Nerwowym gestem spłotła dłonie obciążone białymi rękawiczkami.

- Przyszłam się z tobą zobaczyć, Gabrielu.

- Chodzi mi o to, po co przyjechałaś do Londynu - sprecyzował, kręcąc głową.

- Żeby się z tobą zobaczyć - powtórzyła.

Doprawdy, bardzo dziwne, pomyślał. Tyle wysiłku kosztowało go pogodzenie się z faktem, że ją stracił, a teraz nagle do niego przyjechała. Czyżby jednak uznała, że postąpiła źle, odrzucając jego oświadczenia? Czy to możliwe? Żałowała swojej decyzji tak bardzo, że odbyła długą podróż i go odnalazła? Wbrew rozsądkowi pozwolił, by zakiełkowało w nim ziarenko nadziei.

- Jak mnie znalazłaś?

- Miałam szczęście. - Uśmiechnęła się słabo. - Pokojówka z mojego hotelu powiedziała mi, że mieszka tu wielu oficerów.

Tak naprawdę wcale go nie obchodziło, jak go znalazła.

- Dlaczego przyszłaś, żeby się ze mną zobaczyć? - Odpowiedź na to pytanie interesowała go znacznie bardziej.

- Och, Gabrielu, potrzebuję cię. - Usta jej zadrżały.

- Potrzebujesz mnie... - wyszeptał tak cicho, że nie mogła go usłyszeć, a mur, którym otoczył swoje serce, zaczął pękać.

- Potrzebuję twojej pomocy - dodała po chwili Emmaline.

- Pomocy w czym? - spytał, wracając na ziemię.

- Chcę, żebyś znalazł Claude'a.

- Claude'a... - To też wyszeptał.

Miał znaleźć jej syna, który ich rozdzielił. Oczywiście, tylko z powodu Claude'a była gotowa odbyć tak daleką wyprawę do obcego kraju, który jeszcze niedawno był w stanie wojny z jej ojczyzną.

- To takie przerażające. On jest tutaj, w Anglii. Pamiętasz, ile w nim było nienawiści?

Jak mógłby zapomnieć? Odetchnąwszy głęboko, podjęła:

- Został kirasjerem, żeby się zemścić za to, co się stało w Badajoz... Co spotkało jego ojca, a także mnie. Przez te wszystkie lata Claude niczego nie zapomniał. Walka z Anglikami podczas wojny miała być jego zemstą, ale przecież sam najlepiej wiesz, jak to wszystko się potoczyło.

- Dlaczego przyjechał do Anglii, skoro tak jej nienawidzi? - Czyż nie byłoby lepiej, gdyby oboje trzymali się z daleka od niego?

- Pamięta z tamtego strasznego dnia jedno nazwisko. Tranville, Gabrielu. Mój syn przyjechał do Anglii, żeby zabić Edwina Tranville'a.

Gabe przyłożył palce do skroni. Przeklęty Edwin Tranville.

- A co to ma wspólnego ze mną, Emmaline?

- Chcę, żebyś odnalazł Claude'a i go powstrzymał - powiedziała, patrząc na niego błagalnie.

Ależ był głupi... Przyjechała do Anglii tylko i wyłącznie z powodu swojego syna, w najmniejszym nawet stopniu nie dla niego.

- Co każe ci wierzyć, że będę chciał ci pomóc?

Opuściła wzrok; długie rzęsy rzuciły cień na policzki.

- Och, Gabrielu, kto inny mógłby mi pomóc? Nie mogę pójść do... do *gendarmerie* i powiedzieć, że mój syn chce kogoś zabić. Anglika, arystokratę, generalskiego syna. Równie dobrze mogłabym Claude'a od razu wysłać na gilotynę. Przyszłam do ciebie, bo nie znam nikogo innego. - Głos jej się załamał. - Znam tylko ciebie.

- Nie mogę ci pomóc - odpowiedział zdecydowanie. - Muszę się zająć własnym życiem, Emmaline. Czekam na nowe stanowisko. W każdej chwili może nadejść wiadomość, a wtedy muszę być gotowy, bo inaczej posadę dostanie ktoś inny.

- Nie jesteś już w wojsku? - Zaskoczona przesunęła wzrokiem po jego mundurze.

- Mój regiment został rozwiązany. Zostałem przeniesiony do rezerwy.

- Do rezerwy? Co to znaczy? - Oczy otwarły jej się szerzej, jakby nagle coś sobie uświadomiła. - Potrzebujesz pieniędzy, Gabrielu? Mogę ci zapłacić za pomoc.

- Nie potrzebuję pieniędzy - rzucił ostro. Potrzebował czegoś, czego nie mogła mu dać, nie odwracając się przy tym od syna. - Wojsko w takim przypadku wypłaca połowę żołdu, ale nie martw się o mnie. Mam mnóstwo pieniędzy.

- Mimo to... zapłacę ci za pomoc.

Naprawdę sądziła, że zrobiłby coś takiego za pieniądze? Bolało go jej przekonanie, że widzi to wszystko w kategoriach interesu. Po tym, co ich kiedyś łączyło.

Przynajmniej dotąd myślał że coś ich łączyło.

- W jakim wieku jest teraz Claude? - zapytał.

- Ma osiemnaście lat.

- W tym wieku byłem już w wojsku i sam się o siebie troszczyłem. Claude jest dorosły. Musi postępować samodzielnie i ponosić konsekwencje swoich czynów.

Zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Nie rozumiesz - wyrzuciła z siebie gorączkowo. - Złapią go i zostanie powieszony za morderstwo.

- To jego decyzja.

- *Non, non*, Gabrielu! - zawołała. - Musisz go powstrzymać. Nie mogą go powiesić. Nie przeżyłabym tego.

Poczuł, że jego opór słabnie. Claude był całym jej światem, był dla niej ważniejszy od wszystkiego i wszystkich. Dlatego wyniósł go spod Waterloo... dla niej, choć wokół rozlegały się jęki rannych towarzyszy broni. Nie żałował, że to zrobił, ale ile razy jeszcze miał dla niej ratować Claude'a?

Położył jej dłonie na ramionach i odsunął ją od siebie. Musiał teraz myśleć o sobie. Nie o Emmaline.



- Nie mogę go szukać.

Nie zamierzała ustąpić.

- W takim razie znajdź Edwina Tranville'a i ostrzeż go. Powiedz mu, żeby się ukrył, dopóki nie znajdę syna. Wyślę ci wiadomość, kiedy już Claude wróci ze mną do Brukseli.

Westchnął z rezygnacją.

- Nie mam zamiaru szukać Edwina Tranville'a. - Nie chciał mieć nic wspólnego z tym łajdakiem. - Koniec rozmowy. - Podeszedł do drzwi i otworzył je przed nią.

Miał świadomość, że jeśli Emmaline szybko nie wyjdzie, jego słabnąca wola może całkiem wyparować. - Życzę ci miłego dnia.

Wyobraził sobie, że trzyma ją w ramionach, wdycha jej zapach, gładzi ciepłe krągłości.

Przystanęła przed nim, idąc do wyjścia.

- Zatrzymałam się w hotelu Bristol... gdybyś zmienił zdanie.

Zamknął za nią drzwi i zaczął nerwowo krążyć po pokoju, zły na nią za prośbę, którą mu przedstawiła, i wściekły na siebie za bezsensowną nadzieję, że przyszła do niego. Podeszedł do okna i patrzył, jak Emmaline wychodzi z budynku na chodnik. Zrobiła kilka kroków, po czym przystanęła, szukając czegoś w torebce. Wyjęła koronkową chusteczkę i otarła oczy. Gabe poczuł ściskanie w dołku.

Z naprzeciwka zbliżali się trzej oficerowie, których Gabe spotkał w Ministerstwie Wojny. Bez wątpienia wracali z tawerny, o czym świadczył chwiejny chód i podniesione głosy. Na widok Emmaline zaczęli pokrzykiwać z zachwytem.

Otoczyli ją, gnąc się w ukłonach i pozdrawiając wylewnie. Ich zachowanie było stanowczo zbyt poufałe, wręcz nachalne. Kiedy chciała ich wyminąć, zastąpili jej drogę. Wyraźnie spięta spróbowała ponownie.

Trzej pijani mężczyźni w czerwonych kurtkach? Jak w Badajoz...

Gabe wyczuł jej lęk, jakby sam znajdował się na jej miejscu. Chwycił czako i wybiegł do holu. Otworzywszy frontowe drzwi, omal nie zderzył się z pijaną trójką znajomych, którzy już stali w progu. Patrząc ponad ramieniem jednego z nich, ujrzał oddalającą się szybko Emmaline.

Hanson zawiesił się Gabe'owi na ramieniu.

- Deane, drogi przyjacielu! Żałuj, że nie widziałeś cudownego zjawiska. Właściwie, gdybyś się pośpieszył, mógłbyś ją jeszcze dogonić. - Jakby na przekór swym słowom, wepchnął go do środka.

- Rzeczywiście było na co popatrzeć - przyznał Irlandczyk. - Szkoda, że Webberly ją wystraszył. Nigdy nie umiał obchodzić się z damami.

Webberly szturchnął go w bok.

- A jakaż to dama wychodziłaby samotnie z hotelu U Stephena? - Zarechotał. - Może się założymy, w którym pokoju była z wizytą?

Gabe bezwiednie zacisnął dłonie w pięści.

- Widziałem was przez okno. Przestraszyliście ją.

- A ty gnałeś jej na ratunek? - zakpił Hanson. - Doskonała strategia, Deane! Nie ma lepszego sposobu na zaciągnięcie kobiety do łóżka, niż ją uratować.

Kołysząc się i potykając, Irlandczyk ruszył ku schodom.

- Mam w pokoju butelkę, gdybyście przypadkiem mieli ochotę zwilżyć gardło przed kolacją.

- Chodź z nami - zaproponował Gabe'owi Hanson.

- Nie, jestem zajęty. - Ustąpił im z drogi.

- No to dołącz do nas, jak skończysz. - Irlandczyk gestem ponaglił kompanów. - Zostawimy ci łyka.

- Stawiam cztery do jednego, że Deane ma zamiar ścigać tę ślicznotkę! - zawołał Webberly.

Pozostali wybuchnęli rubasznym śmiechem, ale Gabe go nie słyszał, bo był już na ulicy. Biegając przez Bond Street, po chwili dojrzał w oddali idącą samotnie Emmaline.

Poszedł za nią jak wtedy w Brukseli. Irlandczyk, Hanson i Webberly nie stanowili poważnego zagrożenia, ale to nie znaczyło, że nie była narażona na niebezpieczeństwo ze strony innych mężczyzn.

Trzymał się na tyle blisko, żeby nie stracić jej z oczu i jednocześnie przeklinał sam siebie za to, że się angażuje, podczas gdy ona najwyraźniej chciała od niego jedynie

przysługi. Postanowił umyć ręce od jej spraw, gdy tylko Emmaline znajdzie się bezpiecznie w hotelu.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział na głos, przyciągając zaniepokojone spojrzenie przechodzącego nieopodal dżentelmena.

Wracając do hotelu, Emmaline wciąż trzęsła się w środku. Trzej wojskowi mocno ją wystraszyli, przywołali straszne wspomnienia z Badajoz, ale zdołała jakoś nad sobą zapanować. Wyprostowała się dumnie i zażądała, żeby ją zostawili w spokoju. Wycofali się niezwłocznie, przepraszając z przesadną wylewnością. Cieszyła się, że nie wpadła w panikę i nie zaczęła uciekać. Wprawdzie pozostał w niej osad lęku, ale nauczyła się już, że nawet w sytuacji zagrożenia lepiej zachować stanowczość.

Natomiast przed Gabrielem nie kryła swego strachu o Claude'a. Wspomniała nawet o gilotynie. Dobrze wiedziała, że Brytyjczycy wieszają za morderstwo, ale wyobraźnia wciąż podsuwała jej zgrzyt podnoszonego ostrza, gwar podnieconego tłumu i wreszcie trudny do opisanego odgłos samej egzekucji. Jakby nadal była dziewczynką i stała na Placu Rewolucji, trzymając matkę za rękę.

Gabriel.

Tak bardzo jej go brakowało. Cieszyła się, że może go znów zobaczyć, słyszeć jego głos, wdychać zapach. Cierpiała, odrzucając jego oświadczenia. Z czasem rozdzierający żal po stracie przeszedł w tępy ból, z którym jakoś dawało się wytrzymać, a teraz rana znów się otworzyła i ponownie zaczęła krwawić.

Gabriel wciąż był na nią zły.

Nie mogła go za to winić. Oferował jej swoje nazwisko i opiekę, a ona go odprawiła, ponieważ wiedziała, że jeśli go wybierze, na zawsze straci syna i nie będzie mogła pomóc Claude'owi znaleźć drogi do szczęścia i spokoju.

Gabriel nie mógł tego zrozumieć, a ona nie potrafiła mu wytłumaczyć, że to nie jego odrzuciła tak okrutnie. Po prostu nie mogła się odwrócić od syna, zwłaszcza że to z jej powodu pałał nienawiścią i żądzą zemsty. Powinna była się sprzeciwić mężowi i uciec z Claude'em, żeby ojciec nie mógł go zabrać na wojnę. Okazała się jednak zbyt tchórzliwa.

*C'est vrai*, nie poznałaby wówczas Gabriela. Nie przeżyłaby z nim tych kilku krótkich tygodni szczęścia. Ale też by go nie zraniła tak dotkliwie. A teraz ponownie zadała mu ból, zjawiając się, żeby go prosić o pomoc.

Czuła się kompletnie zdezorientowana. Jak miała sama znaleźć Claude'a? Nie mogła liczyć w tym kraju na przychylność, nie ze swoim francuskim akcentem i historią o synu, który planował zabić Anglika. *Non*, już prędzej doniesiono by na nią do *gendarmerie*, po czym być może oboje z Claude'em skończyliby na szubienicy.

Potrzebowała Gabriela. Bardzo go potrzebowała. Znalazł Claude'a na polu bitwy zasłanym ciałami poległych i umierających żołnierzy, więc wiedziałby, jak go znaleźć w Anglii. Ponadto chroniłby ją przed Edwinem Tranville'em, który wciąż jej zagrażał tak samo, jak tamtego dnia, kiedy próbował ją zgwałcić i zabić jej syna, a do tego śmiał się, kiedy jego towarzysze zabili jej męża. Powinna była wówczas go zabić, jednak Gabriel ją powstrzymał.

Gabriel.

Wszystkie myśli niezmiennie wracały do niego. W salonie hotelu myślała, że jej serce stanie na jego widok. Zdażyła już zapomnieć, jaki jest wielki, jaki niesamowity, że może zrobić wszystko, nawet wyjść cało z pola bitwy, żeby zwrócić jej syna.

Poprosiła go, żeby zrobił to ponownie, żeby znalazł Claude'a i po raz drugi wyrwał go ze szponów śmierci. Nie miała żadnych wątpliwości, że Gabriel potrafi tego dokonać.

Jeśli się zgodzi.

Emmaline weszła do hotelu i poprosiła recepcjonistę, żeby jej przysłano kolację. Wynajęła najtańszy dostępny pokój, żeby zaoszczędzić pieniądze i móc zapłacić za pomoc przy szukaniu Claude'a. Tymczasem Gabriel wzdrygnął się z obrazy, gdy usłyszał propozycję wynagrodzenia.

Weszła do swego pokoju na trzecim piętrze, zdjęła czepek i rękawiczki, następnie rozpięła guziki zakietu, który sama sobie uszyła do niebieskiej muślinowej sukni. Ostatecznie była Francuzką dbająca o swój wygląd.

Podczas rekonwalescencji Claude zapragnął się uczyć angielskiego. Miała mnóstwo czasu na szycie, ćwicząc z nim angielskie słówka i zwroty. Gdyby wiedziała, dlaczego tak bardzo pragnie poznać ten język...

Szyła ubrania dla niego, gdyż ze starych powyrastał, a potem dla siebie, wzorując się na tym, co nosiły eleganckie Angielki odwiedzające sklep z koronkami. Z zadowoleniem przekonała się, że jej strój prezentuje się całkiem stosownie na londyńskiej ulicy.

Czy podobała się Gabrielowi? Pragnęła jego podziwu tak samo mocno, jak nie znosiła przyciągać uwagi typów w rodzaju trzech pijanych oficerów, którzy ją zaczepili.

Leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit, jednak oczyma duszy widziała Gabriela, jego ciemne niesforne włosy, czekoladowe oczy, wyraziste usta, które kiedyś ją całowały.

Wydała z siebie tęskne westchnienie. Spotkanie z Gabrielem przypomniało jej cudowne noce i dni spędzane wspólnie w Brukseli przed dwoma laty.

Było jej z nim dobrze. Choć Claude uciekł do wojska, a Napoleon szykował się do natarcia, tamte dni z Gabrielem były najszczęśliwszymi w jej życiu i od tamtej pory bezustannie za nim tęskniła. Wyciągnęła pierścionek, który wciąż nosiła na łańcuszku ukryty pod sukienką. Ta pamiątka po Gabrielu zawsze spoczywała na jej sercu, dawała jej poczucie jego bliskości, choć nie było go przy niej już dwa lata.

Odnalezienie Gabriela po przybyciu do Londynu okazało się znacznie łatwiejsze, niż się spodziewała. Jedna z hotelowych pokojówek poradziła jej, by spytała o niego w hotelu U Stephena.

- Jeśli jest oficerem i przebywa w Londynie, to na pewno tam mieszka - powiedziała dziewczyna.

I miała rację. Emmaline przyjechała do Londynu tego ranka i już po południu go znalazła. I ponownie straciła.

Co miała teraz zrobić?

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Skoro Gabriel mieszkał w hotelu U Stephena, to może Edwin Tranville również tam był. *Non*, gdyby rzeczywiście tak było, Gabriel by jej powiedział. Poza tym gdyby Tranville'a dało się tak łatwo znaleźć, jej syn prawdopodobnie już by go zabił i może nawet zdążył za to zawisnąć.

Claude znowu nabrał siły, chociaż potrzebował aż dwóch lat, żeby w pełni dojść do siebie po ranach doznanych pod Waterloo. W miarę powrotu do zdrowia, rósł też jego

niepokój. W końcu zapytał matkę, czy może pojechać do Paryża odwiedzić jej rodziców. Emmaline się zgodziła, uznając, że zmiana otoczenia dobrze mu zrobi.

Nie dotarł jednak do Paryża. Zamiast tego przysłał list z wyjaśnieniem, dokąd naprawdę się udał i co zamierza.

Od tamtego czasu minął miesiąc. Gdzie był teraz? I jak miała go znaleźć?

Próbowała wymyślić jakiś sposób, żeby nakłonić Gabriela do pomocy, choć właściwie dlaczego miałby się zgodzić, skoro odtrąciła go tak okrutnie? Zakryła oczy, brniąc się w duchu przed ogarniającą ją rozpaczą.

Oddałaby wszystko, żeby powstrzymać swego syna przed zmarnowaniem sobie życia w imię zemsty. Wszystko. Tylko czy miała coś, czym mogłaby zachęcić Gabriela do pomocy?

Usiadła na łóżku.

Była gotowa zgodzić się na wszystko, czego Gabriel od niej zażąda. Byle tylko się zgodził...

## Rozdział ósmy

Gabe zszedł do hotelowej jadalni, żeby się posilić. Na początku był zły na Emmaline, że ponownie zjawiała się w jego życiu, budząc w nim pragnienia, których tak bardzo starał się wyzbyć. Szybko jednak doszedł do wniosku, że musi jej pomóc. Ostatecznie nie wymagało to z jego strony szczególnego wysiłku.

Wiedział, gdzie szukać Edwina Tranville'a.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej zmuszony był znosić jego towarzystwo. Spotkał przypadkowo Allana Landona, który był jego porucznikiem w Hiszpanii, i od tamtej pory łączyła ich przyjaźń. Allan nie nosił już munduru, pracował dla lorda Sidmoutha i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gdzie, o dziwo, zatrudniony był również Edwin Tranville. Zajmowali się zwalczaniem akcji wywrotowych. Allan dowiedział się, że grupa żołnierzy planuje urządzić protest przeciwko bezrobociu i drożyznie, i chciał ich powstrzymać, zanim narażą się na aresztowanie. Gabe wpadł na niego w momencie, gdy szukał Edwina, który wiedział, gdzie ma się odbyć akcja protestacyjna, i pomógł mu w poszukiwaniach. Znaleźli Edwina w tawernie, jak zwykle pijanego. Allan szybko wyszedł, żeby działać, natomiast Gabe został z Edwinem, by go doprowadzić do porządku. Żadna wzmianka o żołnierskim proteście nie ukazała się w gazetach, więc Gabe zakładał, że Allanowi udało się dokonać tego, co zamierzał.

Edwin na szczęście był zbyt pijany, żeby pamiętać o jego udziale w całej tej sprawie. Gabe nie chciał, żeby ojciec Edwina wiedział, że jest w Londynie i szuka nowego stanowiska. Lord Tranville na pewno by się postarał, żeby pozbawić go wszelkich szans.

Hotel U Stephena cieszył się sporą popularnością jako miejsce, gdzie można było dobrze zjeść, i pełnił rolę klubu dla oficerów, którzy nie mieli wstępu do White'a czy Brookesa.

Ledwie Gabe przekroczył próg jadalni, został dostrzeżony przez trzech kolegów, którzy zaczepiali Emmaline. Machali do niego, zachęcając, żeby się do nich przysiadł. Gabe wzruszył ramionami. Właściwie nie popełnili żadnego poważnego wykroczenia przeciw dobrym obyczajom, tylko podochoceni alkoholem zbyt nachalnie okazali swój

zachwyty pięknej, idącej samotnie kobiecie. Poza tym wolał nie pozostawać sam na sam ze swoimi myślami.

- Robimy zakład - oznajmił mu Irlandczyk. - Ile minut, według zegarka Webberly'ego, będziemy czekać, aż nam podadzą smażoną rybę? Przyłączasz się?

- Nigdy się nie zakładam. - Gabe opadł na krzesło.

Hanson natychmiast nalał mu wina.

- Szkoda. Gdybyś lubił hazard, moglibyśmy po obiedzie zagrać w wista.

Gabe rozejrzył się po jadalni.

- Myślę, że znajdzie się jakiś inny chętny.

Irlandczyk zabębnił palcami po stole.

- Usiedliśmy niespełna dziesięć minut temu, a służący od razu przyniósł wino...

- Czym zyskał moją dozgonną wdzięczność - wszedł mu w słowo Webberly.

- ...dlatego zakładam, że to potrwa co najmniej kolejnych dziesięć minut - dokończył niezrażony Webberly.

- Ja obstawiam dwadzieścia minut - powiedział Hanson.

Webberly uniósł palec.

- A ja piętnaście.

Gabe pomyślał, że brak im wyobraźni, przecież jedzenie mogło pojawić się na stole po ośmiu albo trzynastu minutach.

Podano zupę, więc umilkli i zabrali się do jedzenia. Gdy tylko skończyli, przyniesiono smażoną solę. Irlandczyk szturchnął Webberly'ego.

- Ile czasu minęło? Co pokazuje twój zegarek?

Webberly wyjął złoty zegarek z dewizką i otworzył wieczko.

- O której zakład został zawarty? - spytał rzeczowo.

Koledzy popatrzyli na niego zaskoczeni i nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Rozmowa przy stole stopniowo kierowała się na poważniejsze tematy. Zastanawiali się, kto z ich znajomych znalazł już stanowisko, kto nadal szuka, wreszcie czy ktoś okaże się na tyle zdeterminowany, by wyjechać do Indii Zachodnich. Wszystko to nie pomogło Gabe'owi zapomnieć o smutnej minie Emmaline, kiedy ją wypraszał, odmówiwszy pomocy. Bez apetytu przesuwiał na talerzu plastry podsmażanych ziemniaków.



ków, zjadając jedynie kilka kawałków ryby. W końcu doszedł do wniosku, że istnieje tylko jeden sposób uwolnienia się od Emmaline, a mianowicie należy zrobić to, o co prosiła. Znaleźć Edwina, ostrzec go i mieć to wszystko za sobą.

Postanowił rano udać się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wypełnić dla niej jeszcze tę jedną misję, a potem na zawsze o niej zapomnieć.

Następnego ranka Gabe wcześniej wyszedł z hotelu, planując odbyć pieszo drogę do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pogoda była ładna, a ruch na powietrzu miał go uspokoić.

Wyszedł na Bond Street... i zobaczył Emmaline.

Szła w jego stronę zdecydowanym, lecz wdzięcznym krokiem. Była ubrana w strój o barwie lawendy. Ten kolor natychmiast przypomniawszy mu zapach sklepu z koronkami.

Ona także go zauważyła.

- Dzień dobry, Gabrielu - odezwała się, a gdy podeszła bliżej, popatrzyła mu prosto w oczy.

- Jestem zaskoczony, że cię widzę, Emmaline. - Najwyraźniej zmierzała do hotelu U Stephena, żeby się znów z nim spotkać.

Gabe nie oczekiwał ani nie planował, że jeszcze się z nią zobaczy. Miał zamiar ostrzec Edwina, a potem wysłać list do jej hotelu.

- Wciąż mam nadzieję, że cię przekonam, byś mi pomógł. - Opuściła wzrok. - Mogę ci zająć chwilę, żeby porozmawiać? - spytała z wahaniem.

- Przejdźmy się - zaproponował.

W milczeniu przecięli Piccadilly i skierowali się do Green Parku.

- Mam dla ciebie nową propozycję - odezwała się w końcu Emmaline, lekko zdyszana od wysiłku, jako że narzucił dość szybkie tempo. - Może przystaniemy, żebym ci mogła ją przedstawić?

Co jeszcze mogła mieć do zaoferowania? Więcej pieniędzy? A może tylko chciała zagrać na jego uczuciach? Nie życzył sobie słyszeć od niej niczego więcej.

Tylko że nie potrafił jej odmówić.

- Zatrzymamy się w parku.

Do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dało się przejść na skróty przez Green Park. Mogli tam przysiąc na jednej z ławek, żeby Emmaline złapała oddech i przedstawiła mu tę swoją propozycję, której wcale nie chciał usłyszeć.

W całym parku pachniały kwiaty, liście i świeża trawa. Ciepły wiatr szeleścił gałązkami krzewów. Gabe'owi natychmiast przypomniał się Parc de Brussels, gdzie spacerowali z Emmaline w dawnych szczęśliwych czasach.

Gabe gestem zachęcił ją, by usiadła na ławce.

- Mów, co masz do powiedzenia.

Wyraźnie zbita z tropu faktem, że Gabe do niej nie dołączył, tylko nadal stoi, uniosła dłoń do twarzy.

- Jak by tu zacząć...

Gabe skierował wzrok na korony drzew, starając się wyrzucić z pamięci wspomnienie zawiedzionych nadziei.

- Wydaje mi się, że kiedyś ci na mnie zależało, prawda, Gabrielu? - powiedziała, nerwowo skubiąc przód sukni.

- Kiedyś - odparł sucho.

- Było nam dobrze razem, *non*? - Uśmiechnęła się, choć usta jej drżały.

Gabe patrzył na nią bez słowa.

- Zaproponowałaś mi małżeństwo, prawda?

Nadal się nie odzywał. Nie wiedział, do czego Emmaline zmierza, ale przeczuwał, że sprawi mu ból. Odetchnęła głęboko.

- Wyjdę za ciebie, Gabrielu. Jeśli... jeśli pomożesz mi znaleźć Claude'a i powstrzymać go przed popełnieniem tego strasznego czynu, wyjdę za ciebie, pojedę z tobą, gdzie tylko zechcesz i zrobię, co tylko zechcesz. - Kiwnęła głową, jakby upewniała samą siebie, że jest zdolna do spełnienia tak niewdzięcznego obowiązku.

Gabe patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Wyjdiesz za mnie? A co z Claude'em? Przestanie mną gardzić, jeśli powstrzymam go przed tym, co chce zrobić?

Jej oczy pociemniały z wielkiego smutku, ale podbródek wciąż trzymała wysoko zadarty.

- Prawdopodobnie będzie cię nienawidził jeszcze bardziej, ale ważniejsze jest to, by zachował życie. Lepiej, żeby Claude żył i miał szansę zaznać szczęścia, nawet jeśli postanowi wykluczyć mnie ze swojego życia.

Życie syna, pomyślał. Żeby je ratować, była gotowa zrobić wszystko. Nawet wyjść za mnie.

Czuł się tak, jakby obróciła nożem, który mu wbiła w serce przed dwoma laty. Naprawdę sądziła, że chciał, by porzuciła dla niego to, co było dla niej najważniejsze?

Kiedy się jej oświadczał w Brukseli, postrzegał ich małżeństwo jako przyrzeczenie miłości i wierności, nie jako rywalizację między nim a Claude'em. „Wygrałeś, Gabrielu. Wyjdę za ciebie”. Nie o to mu chodziło, kiedy ją prosił o rękę. Pragnął z nią spędzać szczęśliwe dni i noce, dzielić z nią przyszłość. Chciał się zestarzeć u jej boku, ale nie kosztem jej przywiązania do syna. Za jakiego człowieka go uważała?

Spojrzała mu w oczy. Na jej twarzy malował się wyraz niepewności.

- Zgadzasz się? Pomożesz mi? - spytała drżącym głosem.

Propozycja - faktycznie będąca złożeniem ofiary z samej siebie - zabolowała go bardziej niż wcześniejsze odrzucenie oświadczeń, które choć przykre, potrafił zrozumieć. W pewien sposób podziwiał jej poświęcenie dla syna, a nawet czuł coś w rodzaju zazdrości. Nigdy nie był tak ważny dla swojej matki, która musiała rozkładać troskę i uwagę na liczne dzieci. Nie chodziło jednak o niego, tylko o Emmaline. Syn był jej potrzebny do szczęścia jak powietrze do oddychania, a przecież nie mógłby jej pozbawić powietrza... Nie chciał od niej takiego poświęcenia, nie zamierzał przyjąć jej ręki w nagrodę za uratowanie Claude'a przed skutkami własnego szaleństwa.

- Gabrielu? - Patrzyła na niego z napięciem.

Mógł przynajmniej domagać się wyjaśnień.

- Sądziłem, że nie chcesz poślubić człowieka, którym twój syn będzie pogardzał.

Nim odwróciła wzrok, dostrzegł w jej oczach błysk paniki.

- Ja nigdy tobą nie pogardzałam. Byliśmy... dobrymi przyjaciółmi, czyż nie?

Dobrymi przyjaciółmi!

- Wystarczy mi, że Claude będzie żył - mówiła dalej. - Ja... jestem gotowa... jak wy to mówicie? Iść za tobą, kiedy wrócisz na służbę.

- Wyjdiesz za mnie i będziesz ze mną podróżowała jako żona żołnierza? - Nienawidziła takiego życia, kiedy żądał go od niej mąż. Wyglądało, że jej poświęcenie dla syna nie ma granic.

Zamrugła.

- Jeśli zdołasz powstrzymać Claude'a przed popełnieniem morderstwa, tak, wtedy za ciebie wyjdę. - Znów na niego spojrzała. - Chętnie za ciebie wyjdę.

- Cóż za komplement dla mnie - mruknął z ironią.

- *Qu'est-ce que tu as dit?* - Pokręciła głową. - Co powiedziałeś?

- Nic ważnego. - Wskazał ścieżkę. - Może już pójdziemy?

Podniosła się z ławki i zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Nie odpowiedziałeś mi.

Dzieliło ich zaledwie parę centymetrów. Słońce oświetlało jej zaniepokojoną twarz. Zapach lawendy, który sobie dotąd wyobrażał, stał się rzeczywisty. Kiedyś stali tak w Parc de Brussels osłonięci przed ludzkim wzrokiem wielkim posągiem. Wziął ją wówczas w ramiona i skosztował smaku jej ust.

Teraz także odezwało się w nim pragnienie, żeby ją pocałować, choć ich związek miał być ofiarą, którą chciała ponieść, żeby uratować syna przed szubienicą. Odruchowo pochylił się ku niej, a ona stanęła na palcach.

- Jak brzmi twoja odpowiedź? - zapytała szeptem.

Gabe cofnął się gwałtownie. Uznał, że skoro Emmaline ma o nim tak niskie mniemanie, to powinien pozwolić jej wierzyć, że będzie musiała wybierać pomiędzy nim a synem. Nie grał w karty zbyt dobrze, ale potrafił blefować.

- Świetnie, Emmaline. Trzymam cię za słowo. Nie dopuszczę do tego, żeby Claude zamordował Edwina Tranville'a, a ty za mnie wyjdiesz.

Usta znów jej zadrżały, ale pokiwała głową, przyciskając rękę do piersi.

Ruszył przed siebie, a ona znów starała się dotrzymać mu kroku.

- Dokąd idziesz?

- Do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - odparł zwięźle.

- Dlaczego tam?

- Bo tam pracuje Edwin Tranville.

Musiała szybko przebierać nogami, żeby nie zostać w tyle.

- Wiesz, gdzie on jest?

- Zawsze wiedziałem.

- Zamierzałeś go ostrzec? - W jej tonie pobrzmiwał gniew. - Jeszcze przed naszą rozmową?

Przystanął i odwrócił się do niej twarzą.

- Zgadza się, Emmaline. Planowałem zrobić to dla ciebie, ale sama zaproponowałaś mi nowy układ. Po dzisiejszej rozmowie z Edwinem postaram się załatwić specjalne pozwolenie, żebyśmy się mogli od razu pobrać.

Patrzyła w dal ponad jego ramieniem.

- Pamiętaj, masz dopilnować, żeby Claude nie zabił tego człowieka. Wtedy za ciebie wyjdę.

- Właśnie na tym polega nasz układ - przypomniał jej z ironicznym uśmiechem.

Nie odzywali się do siebie aż do Whitehall.

- Już niedaleko - powiedział Gabe.

Przed wejściem do budynku ministerstwa Emmaline nagle się zatrzymała.

- Muszę na niego patrzeć?

- Na kogo?

- Na Edwina Tranville'a - odpowiedziała słabym, drżącym głosem.

Zapomniał, że Emmaline знаła Edwina nie jako wiecznie pijanego tchórza, tylko jako niebezpiecznego człowieka, który próbował ją zgwałcić i zabić jej syna.

- Nie masz powodu do obaw - powiedział, chwytając ją za rękę. - Nie może cię skrzywdzić.

Popatrzyła na niego w taki sposób, że niemal uwierzył, iż to, co ich łączyło w Brukseli, powróciło.

Poprowadził ją ciągiem korytarzy do części budynku zajmowanej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Kiedy otworzył drzwi, Emmaline jakby zmalala, skurczyła się w sobie.

Za biurkiem siedział urzędnik prawie identyczny jak jego odpowiednik w Ministerstwie Wojny.

- Tak? - rzucił, podnosząc wzrok znad papierów.

Emmaline stała za Gabe'em. Czuł, jak cała tężeje, przygotowując się na spotkanie ze swym prześladowcą z Badajoz.

- Chcemy się widzieć z Edwinem Tranville'em - powiedział Gabe.

Urzędnik z powrotem opuścił wzrok na biurko.

- Edwina Tranville'a tu nie ma.

- A kiedy wróci? - spytał Gabe.

- Nigdy - odparł urzędnik. - On tu nie wróci.

Emmaline wysunęła się zza pleców Gabe'a.

- Coś mu się stało?

- Nie. - Mężczyzna spojrział na nią ze zdumieniem, które natychmiast zmieniło się w podziw. Przełożył papiery z jednej strony blatu na drugą. - Lord Sidmouth go wylał.

Emmaline popatrzyła na Gabe'a.

- Co to znaczy, że go wylał?

- Przestał go zatrudniać - wyjaśnił skwapliwie urzędnik. - Pan Tranville nie wypełniał należycie swoich obowiązków.

Jakoś trudno się było temu dziwić. Już prędzej zaskakiwało, że lord Sidmouth w ogóle go przyjął do pracy.

- A jest może pan Landon? - Gabe pomyślał, że może Allan wie, gdzie szukać Edwina.

Urzędnik zaśmiał się sucho.

- Nie, odkąd ożenił się z dziedziczką i nie musi już pracować.

Allan się ożenił? Z dziedziczką? Szczęśliwa kobieta. Trafiła na najlepszego z ludzi, zyskała wspaniałego męża.

- Orientuje się pan, gdzie mógłbym znaleźć Tranville'a? - spytał Gabe. - Mieszka ze swoim ojcem, lordem Tranville'em?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Mieszka w Albany.

- Dziękuję.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Emmaline chwyciła go za ramię.

- Gabrielu, czy ojciec Edwina Tranville'a jest lordem.

- Owszem.

- To jeszcze gorzej dla Claude'a - powiedziała szeptem.

Zawsze chodziło o Claude'a. Gabe zawstydził się ze złości, która go ogarnęła na jej słowa. Nie chciał się czuć rywalem jej syna.

- Pójdziemy do Albany? - zapytała Emmaline.

Gabe wzruszył ramionami.

- To logiczny następny krok. - I niewielki dodatkowy wysiłek ze strony Gabe'a, zanim będzie mógł ostatecznie zakończyć tę sprawę.

Przejście do Albany na Piccadilly przypomniało mu ich spaceru ulicami Brukseli, choć teraz było zupełnie inaczej. Zniknęła swoboda, która między nimi panowała, i przyjemność ze wspólnego spaceru. Mimo to obecność Emmaline u jego boku wydała mu się zaskakująco naturalna.

Musiał zachować ostrożność, bo fantazje na jej temat zdumiewająco szybko rozrastały mu się w głowie. Musiał pamiętać, że chodziło jej wyłącznie o dobro syna, była gotowa na wszystko, żeby go ratować przed jego własnym szaleństwem.

Nawet na małżeństwo.

Gabe starał się cały czas mieć to na uwadze.

Albany cieszyło się popularnością wśród dobrze urodzonych kawalerów jako wygodne miejsce zamieszkania, nic więc dziwnego, że wybrał je także Edwin Tranville.

- Dużo tu sklepów - stwierdziła Emmaline, kiedy znaleźli się na Piccadilly.

- Czyż twój Napoleon nie nazwał Anglików narodem sklepikarzy? - odparł Gabe, uśmiechając się nieco złośliwie.

- Nie jest moim Napoleonem - obruszyła się Emmaline. - Nigdy nie był.

Albany, dwupiętrowa budowla z dwoma jednopiętrowymi skrzydłami po obu stronach dziedzińca, była trochę cofnięta od ulicy. Kiedy przechodzili dziedzińcem,

Emmaline przyciągała zaciekawione i jednocześnie pełne uznania spojrzenia młodych dżentelmenów, których mijali. Ich otwarty podziw wcale się nie podobał Gabe'owi.

Wprowadził ją do środka głównym wejściem i od razu zwrócił się do lokaja dyżurującego w holu.

- Czy zastaliśmy Edwina Tranville'a?

- Nie umiem powiedzieć - brzmiała odpowiedź. - Nie wiem o wszystkich wyjściach i wejściach. Mam posłać kogoś do jego pokoju?

- Proszę.

Lokaj dość nieokreślonym gestem wskazał ścianę.

- Mogą państwo tu poczekać.

Gabe musiał znieść kolejne pełne admiracji spojrzenia kierowane na Emmaline. Widząc, jak nerwowo skubie przód sukni, nie mógł się otrząsnąć z myśli, jak przyjemnie było kiedyś ją rozbierać.

- Nie chcę go widzieć - powiedziała cicho.

W Gabrielu znów obudziło się współczucie.

- Jeśli chcesz, mogę cię odprowadzić do twojego hotelu i później sam tu wrócę.

Potrząsnęła głową przecząco.

- Nie chcę niczego odwlekać.

Kolejni dwaj mężczyźni przeszli przez hol, zerkając na Emmaline z nieskrywaną pożądlivością. Gabe miał ochotę wystąpić przeciwko nim, ale zdołał się pohamować. Wdawanie się w konflikt z impertynenckimi młodzianami nie miało sensu, a mogło tylko utrudnić sytuację.

Lokaj wreszcie wrócił w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

- Pytali państwo o pana Tranville'a? - odezwał się ten drugi.

- Owszem - potwierdził Gabe.

- Pana Tranville'a tu nie ma. Jestem jego kamerdynerem. Mogę spytać o powód, dla którego państwo chcą się z nim widzieć?

- Służyłem razem z nim w regimencie szkockim - odparł Gabe.

Kamerdyner przeniósł wzrok na Emmaline i uniósł brwi.

Tego było już dla Gabe'a za wiele.

- Moja narzeczona towarzyszy mi w wizycie - rzekł z naciskiem.

Twarz kamerdynera przybrała ciemny odcień czerwieni.

- Proszę mi wybaczyć, kapitanie.

- Kiedy wróci pan Tranville? - spytał ostrym tonem Gabe.



- Nie wiem dokładnie. Wyjechał z miasta. Czekam na wiadomość od niego, czy mam jechać za nim.

Gabe się zasepił. Powinien był wiedzieć, że z Edwinem nic nie może pójść łatwo.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem dokładnie - powtórzył kamerdyner. - Czekam na jego instrukcje.

- *Non!* - wykrzyknęła Emmaline.

- Ktoś musi wiedzieć, dokąd pojechał Tranville - powiedział szybko Gabe. - Jest tu ktoś, kto może to wiedzieć?

Kamerdyner pokręcił głową przecząco.

- Nie wiem, czy on tu kogoś zna.

- Ale my musimy go znaleźć! - zawołała Emmaline.

Gabe położył jej dłoń na ramieniu.

- Czy jego ojciec przebywa obecnie w Londynie?

- Nie sędzę - odparł kamerdyner. - Myślę, że jest w swojej posiadłości.

- To nic nie da - powiedział Gabe do Emmaline.

Sprawiała wrażenie przerażonej, ale nie byli w stanie na razie nic więcej zrobić. Po momencie wahania pokiwała głową, następnie wzięła Gabe'a pod rękę i ruszyli w stronę wyjścia.

- Kuzynka pana Tranville'a mieszka w Londynie. Może ona wie, gdzie on jest - zawołał za nimi kamerdyner.

Emmaline zacisnęła palce na rękawie Gabe'a. Na jej twarzy pojawił się wyraz nadziei.

- Gdzie możemy ją znaleźć?

Kamerdyner podał im adres na Bryanston Street.

- Nazywa się Pallant.

Gabe z Emmaline wyszli z Albany na Piccadilly Street.

- Możemy odwiedzić tę pannę Pallant? - zapytała Emmaline.

Czuł się jak w pułapce, do której sam dobrowolnie wszedł.

- Możemy tam pójść, kiedy tylko zechcesz.

- Teraz, Gabrielu? - Popatrzyła na niego błagalnie.

- Teraz, Emmaline.

## Rozdział dziewiąty

Emmaline opadła na zniszczone skórzane siedzenie dorożki, wdzięczna Gabrielowi, że zdecydował się na wynajęcie pojazdu. Od ciągłego wysiłku, żeby za nim nadążyć, rozboleły ją nogi. Podczas ich spacerów po Brukseli nigdy nie chodził tak szybko.

Wiedziała, że nie powinna wspominać tego, co ich łączyło. Teraz sytuacja między nimi wyglądała zupełnie inaczej.

Kiedy mu zaproponowała, że za niego wyjdzie, wcale nie zachował się tak, jak oczekiwała. Sądziła, że oferuje mu to, czego pragnął, tymczasem można było odnieść wrażenie, że tylko jeszcze bardziej go rozgniewała. Czyżby nie rozumiał, że gdyby nie Claude, wyszłaby za niego już dawno?

Dotknęła pierścionka noszonego pod suknią. Codziennie przypominał jej jak ważną osobą był dla niej kiedyś Gabriel.

Nadal był dla niej ważny.

Trudno jej było wysiedzieć obok niego w dorożce. Czowała ciepło bijące od jego ciała, jego zapach, każde drgnienie mięśni. Bliskość przypominała jej o cudownych nocach spędzonych w jego ramionach.

Obecnie unikał cielesnego kontaktu, a przestrzeń między nimi wypełniały nieprzyjemne emocje.

Dorożka stanęła. Gabe wyrzął przez okno.

- Jesteśmy na miejscu.

Otworzył drzwi, wysiadł, po czym wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Dotyk natychmiast ożywił zmysły Emmaline. Tak bardzo żałowała, że nie są w Brukseli. Po zamknięciu sklepu przeszliby przez placyk do jej domu i pomknęli na górę do sypialni.

Tymczasem Gabe poprowadził ją do drzwi miejskiej rezydencji panny Pallant, kuzynki Edwina Tranville'a. Dom zbudowany był z ciemnoszarej cegły, z czerwonym wachlarzowatym wzorem nad oknami o białych framugach. Emmaline była ciekawa, jak

wygląda angielski dom w środku, a także co pani takiego domu pomyśli o Francuzce, której syn planuje zabić jej kuzyna...

Zadrżała.

Gabriel zastukał kołatką i po chwili w progu stanął potężny mężczyzna przypominający raczej żołnierza niż sługę. Nim zdążył się odezwać, Gabriel zawołał:

- Dobry Boże! Reilly?

Olbrzym uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Kapitan Deane!

Uścisnęli sobie dłonie jak towarzysze broni, którzy dawno się nie widzieli.

- Proszę, proszę do środka. - Reilly odsunął się na bok, robiąc im miejsce. - Miło pana widzieć, kapitanie.

- Co ty tu, u diabła, porabiasz? - Gabe przepuścił Emmaline przodem.

- Jestem ochmistrem, da pan wiarę? - odparł ze śmiechem.

- Ochmistrem? - Gabe aż pokręcił głową z wrażenia.

- Milady znalazła mnie, kiedy byłem wrakiem człowieka. Nie miałem pracy, nie miałem co jeść. Niewiele brakowało, żebym zaczął kraść. Ale mniejsza z tym, rozumiem, że przyszli państwo, żeby się zobaczyć...

W tym momencie w holu ukazał się inny mężczyzna, znacznie lepiej ubrany.

- Kto przyszedł, Reilly? Słyszę głosy.

- Allan? - Gabriel nie ukrywał zaskoczenia.

- Gabe! - Gospodarz podszedł i serdecznie uścisnął Gabriela. - Myślałem, że na dobre zniknąłeś mi z oczu, u jednak mnie znalazłeś. Tak się cieszę.

- Istotnie.

Ze względu na Gabriela Emmaline była zadowolona ze spotkania przyjaciół, jednak miała też nadzieję, że znajdą kuzynkę, która może ich zaprowadzić do Edwina Travnille'a.

Gabriel jakby z opóźnieniem przypomniał sobie o jej obecności, widząc pytające spojrzenie Allana.

- Madame Mableau - przedstawił.

Zaciekawienie Allana jeszcze wzrosło.

- Madame? - Skłonił się uprzejmie.

- Nie poznajesz? - zapytał go Gabe.

Emmaline uniosła brwi. Czy powinna znać tego człowieka?

Allan zaprzeczył ruchem głowy. Zerknąwszy w stronę ochmistrza, Gabe odwrócił się do przyjaciela i powiedział ściszym głosem:

- To ta kobieta z Badajoz. - Następnie rzekł do Emmaline: - To jest kapitan Allan Landon. On też tam był.

Emmaline na moment wstrzymała oddech. Badajoz. To on musiał zabrać Edwina Tranville'a.

- Kapitan Landon.

- Madame! Mój Boże, mam nadzieję, że dobrze się pani miewa... - Przyjrzał jej się uważnie. - Z pewnością tak, bo ślicznie pani wygląda. Co panią tu sprowadza?

- Obawiam się, że trafiliśmy do niewłaściwego domu. - Chciała jak najszybciej znaleźć Edwina Tranville'a, ale Gabriel tak się cieszył ze spotkania przyjaciela...

Gdyby знаła właściwy adres, mogłaby pójść sama do tej kuzynki.

- Myśleliśmy, że to dom panny Marian Pallant - wyjaśnił Gabe.

Landon popatrzył na niego jeszcze bardziej zaskoczony.

- Zgadza się, ale... - Dotknął czoła. - Wybaczcie mi. Usiądźmy. Napijmy się czegoś.

- Ja się tym zajmę, kapitanie - wtrącił Reilly.

Landon podsunął Emmaline ramię i zaprowadził ich do salonu z sofami i fotelami obitymi najprzedniejszym brokatem. Gzyms kominka zdobiły porcelanowe figurki pastuszka i pasterki stanowiące komplet. Mogły pochodzić z najlepszego sklepu z chińską porcelaną w Brukseli.

- Proszę spocząć - zachęcił Landon, wskazując sofę.

Gabriel nadal stał, Emmaline nie chciała ani siadać, ani niczego pić.

- Proszę powiedzieć, czy panna Pallant tu jest? Musimy z nią pilnie porozmawiać.

- Pilnie? - zdumiał się Landon. - A o co chodzi?

- Ile możemy wyjawić? - zwróciła się do Gabriela.

Landon wyprostował się sztywno.

- Na Boga, powiecie mi wszystko, jeśli to dotyczy mojej żony!

- Twojej żony?! - Gabe zamrugał gwałtownie.

Landon przeszył go wzrokiem.

- Jestem mężem Marian Pallant.

- Dziedziczki. - Gabe pokiwał głową. - No tak, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych mówili, że ożeniłeś się z dziedziczką fortuny.

Landon splótł ramiona na piersi.

- Po co byliście w ministerstwie i dlaczego rozmawiamy o mojej żonie?

- Nic nie mów. - Emmaline podniosła się z miejsca. - Nie wiadomo, czy można mu zaufać.

Gabriel uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

- Allanie, szukamy Edwina Tranville'a. Jego kamerdyner przysłał nas tutaj.

Landon zmrużył oczy w grymasie złości.

- Edwin. - Spojrzał na Emmaline. - Po co chce się pani z nim widzieć? Po tym, co zrobił...

Gabriel nie dał mu dokończyć.

- Próbujemy zapobiec nieszczęściu. Syn Emmaline poprzysiągł zemstę na Edwinie i chcemy go powstrzymać.

Emmaline wstrzymała oddech, próbując wyczytać z twarzy Landona, czy zachowa się jak przyjaciel, czy jak wróg.

- Wszyscy wiedzą, że Edwin na to zasługuje - wyrzucił z siebie Landon. - Domyślałam się, że rozmawialiście z jego kamerdynerem w Albany. Edwina tam nie było?

- Wygląda na to, że jest poza miastem - odpowiedział Gabe. - Mieliliśmy nadzieję, że jego kuzynka... to znaczy, że twoja żona będzie wiedziała, dokąd pojechał.

- Czy pańska żona jest w domu? - przerwała im niecierpliwie Emmaline. - Możemy z nią porozmawiać?

- Nie ma jej tu - odpowiedział łagodnym tonem Landon. Kiedy bliska płaczu z rozczarowania Emmaline odwróciła wzrok, dodał: - Madame, moja żona wróci dziś, trochę później.

Rozległo się pukanie do drzwi i do salonu wszedł ochmistrz, niosąc na tacy karafkę, kieliszki i zastawę do herbaty.

- Przyniosłem jedno i drugie, kapitanie - oznajmił Reilly, po czym skłonił się i wyszedł.

- Usiądźcie - poprosił Landon. - Gabe, przypuszczam, że wolisz brandy.

- W istocie.

Landon opowiedział im o tym, jak spotkał żonę podczas bitwy pod Waterloo i potem jeszcze raz, po zakończeniu wojny. Byli małżeństwem zaledwie od paru tygodni.

- Nie potrafię powiedzieć, czy Marian wie, gdzie się znajduje Edwin.

Zamilkli. Emmaline piła herbatę, panowie sączyli brandy.

Allan opróżnił swój kieliszek do dna i odstawił go na stół.

- Mam pomysł, ale potrzebuję czasu, żeby go przemyśleć. Musicie oboje przyjść o ósmej na kolację.

- Pańska żona nie będzie miała nic przeciwko temu? - spytała Emmaline.

- Absolutnie nie. - Na jego twarzy odmalowała się duma. - To wyjątkowa kobieta. Pomoże wam, jeśli tylko będzie mogła. - Uśmiechnął się ciepło. - I ucieszy się, mogąc was gościć na kolacji.

Ucieszy się? Emmaline jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, że krewna lorda, dziewczynka wielkiej fortuny mieszkająca w tak wspaniałym domu, ucieszy się z wizyty kobiety pracującej w sklepie. Przecież mówiono, że w Anglii nie ma równości. No tak, ale Anglicy nie używali gilotyny, co trzeba im było zaliczyć na plus.

Niemniej jednak sznur mógł się okazać równie śmiertelny.

- Jesteś pewien, że powinnam być na tej kolacji? - spytała Emmaline, kiedy już wracali z Bryanston Street drugą dorożką.

- A dlaczego miałabyś nie być? - zdziwił się Gabe.

- Pracuję w sklepie z koronkami.

Wzruszył ramionami.

- A co to ma do rzeczy? Chodzi przecież o ustalenie miejsca pobytu Edwina.

Westchnęła. Gabriel niczego nie zrozumiał. Odprowadził ją pod drzwi hotelu.

- Podjadę po ciebie o siódmej trzydzięci. - Skłonił się i odszedł.

Emmaline zeszła do hotelowego foyer dokładnie w chwili, gdy zegar wybił kwadrans po siódmej. Nerwy nie pozwoliły jej zostać w pokoju ani minuty dłużej. Po raz kolejny wygładziła fałdy spódnicy. Słyszała, że angielskie damy ubierają się na wieczór szczególnie elegancko, ale nie miała niczego, co można by tak określić. Poza strojem podróżnym posiadała tylko jedną kreację, której Gabriel jeszcze nie widział. Była to raczej skromna suknia spacerowa, choć w pięknym odcieniu głębokiego różu. Na oczekaniu ozdobiła wycięcie pod szyją koronkową falbanką, dodała też koronkowe wstawki przy mankietach. Miała nadzieję, że to wystarczy.

Gabriel już czekał. Kiedy szła do niego przez hol, nie mógł oderwać od niej oczu.

- Sądziś, że moja suknia jest odpowiednia? - zapytała niepewnie.

- Tak. - Jeszcze raz zmierzył ją spojrzeniem. - Jest odpowiednia - rzekł szorstko.

Jego zachowanie nie do końca ją uspokoiło.

Na ulicy czekała dorożka. Wieczór był pogodny, jak te, które spędzali razem w Brukseli, jednak tym razem towarzystwo Gabriela, choć pożądane, sprawiało jej przykrość. Przypomniała sobie jednak, że ze względu na Claude'a nie powinna się zrażać trudnościami. Musiała zachować nadzieję. Tego wieczoru miała się spotkać z kuzynką Edwina Tranville'a i dowiedzieć się, gdzie należy go szukać. Kiedy zostanie już ostrzeżony, będą mogli zacząć szukać Claude'a i przekonać go, by porzucił niedorzeczny plan zemsty!

Rozmyślenia wypełniły jej czas przejazdu na Bryanston Street. Gabriel nie odezwał się do niej ani słowem przez całą drogę.

Wyglądał bardzo przystojnie w mundurze. Siedział tak blisko, że widziała kilka nieznaczących zadrapań na policzku, bo ogolił się tuż przed wyjściem. Miała ochotę ich dotknąć.

Zamiast tego jedynie westchnęła.

- O co chodzi? - zainteresował się Gabriel.

Wzdrygnęła się zaskoczona.

- Nic nie mówiłam.

- Ale wzdychałaś. Myślałaś o Claude'u?

- Nie.

- Przypuszczam, że pani Landon będzie wiedziała, gdzie szukać Edwina, jeśli to cię martwi.

Emmaline zastanawiała się, co by pomyślał Gabriel, gdyby wiedział, dlaczego tak naprawdę wzdychała.

Dorożka zatrzymała się na Bryanston Street i tak jak poprzednim razem Gabriel wyciągnął rękę, żeby pomóc Emmaline wysiąść. Ich spojrzenia na moment się spotkały, a jej serce natychmiast przyśpieszyło.

- Chodźmy - powiedział Gabriel takim tonem, jakby patrzeniem mu w oczy chciała przedłużyć chwilę bliskości.

Ten sam żołnierz ochmistrz otworzył im drzwi i zaprowadził do salonu. Emmaline najpierw usłyszała głosy, a potem przez uchylone drzwi dostrzegła Allana.

Podszedł do nich, gestem zapraszając do środka.

- Gabe! Chodźcie, chodźcie.

Emmaline od razu zwróciła uwagę na dwie elegancko ubrane damy. Jedna z nich była wyjątkowo piękna, z błyszczącymi kasztanowymi włosami i twarzy jak z któregoś z portretów wiszących w Wersalu. Druga, pewna siebie uśmiechnięta blondynka, już się do nich zbliżała. Która z nich była kuzynką Tranville'a?

- Spójrz, kto tu jest. - Allan wyciągnął ramię.

Z fotela podniósł się drugi dżentelmen.

- Witam, kapitanie.

- Vernon? - Uścisnęli sobie dłonie. - Jestem zaskoczony, że cię tu widzę.

- To moja niespodzianka - pochwalił się Landon z uśmiechem.

Emmaline знаła tego człowieka. On także był w Badajoz. Rysował konie, żeby zabawiać Claude'a.

- Madame, pamięta mnie pani? - zwrócił się do niej.

- Tak. Chorąży Vernon.

- Jestem teraz cywilem. Zdążyłem awansować, ale sprzedałem swój stopień przed dwoma laty.

- Chodźcie poznać nasze żony - zachęcił Allan.



Piękność o kasztanowych włosach, Ariana, była żoną Vernona i nalegała, żeby jej mówić po imieniu. Zatem blondynka musiała być kuzynką Tranville'a.

Nie czekała, aż jej mąż dokona prezentacji, tylko przedstawiła się sama:

- Jestem Marian Landon, kuzynka Edwina.

Emmaline dygnęła z gracją.

- Wie już pani, po co tu jesteśmy, madame?

- Allan mi powiedział - odparła z przejęciem. - Wiem, co mój kuzyn zrobił pani i pani synowi. I że byli z nim ludzie, którzy zabili pani męża. Tak mi przykro...

- Dziękuję, madame. - Emmaline nie spodziewała się, że zostanie tak miło przyjęta.

- Proszę się do mnie zwracać po imieniu. Jestem Marian.

Jej mąż podszedł do stołu, na którym stała karafka i kieliszki.

- Nie mówmy teraz o smutnych chwilach. Kolacja zaraz będzie gotowa. Proponuję się napić. - Uniósł karafkę. - Wszyscy mają ochotę na bordo?

Przy winie panowie rozmawiali o wojsku i wspólnych znajomych, natomiast panie o teatrze i innych dziedzinach sztuki, o których Emmaline niewiele wiedziała. Nie była jednak zaskoczona, gdy dowiedziała się, że madame Vernon jest aktorką. Zabawne, że wcześniej przyrównała ją do pięknego portretu, ponieważ jej mąż był malarzem i specjalizował się w portretach.

Przy kolacji Emmaline dowiedziała się, że Jack Vernon wystawił obraz przedstawiający jego żonę na ważnej wystawie.

- Chciałbym wam powiedzieć - oznajmił - że moja matka i jej mąż są w mieście. Przyjechali zaledwie kilka dni temu, by zdążyć na zakończenie sezonu i na wystawę. Musicie jednak wiedzieć... - Przełknął nerwowo ślinę. Musicie wiedzieć, że mężem mojej matki jest generał lord Tranville. - Spojrzał na Emmaline. - Ojciec Edwina. Mogę też dodać, że moja matka, zanim wyszła za Tranville'a, była na jego utrzymaniu.

Landon aż otworzył usta z wrażenia.

- Nie, nie wierzę...

- Co to znaczy... na jego utrzymaniu? - spytała Gabe'a Emmaline.

Zawahał się na moment, nim udzielił odpowiedzi.

- Była jego kochanką.

Wzruszyła ramionami. Skąd ten ton sensacji? We Francji taka sytuacja uchodziła za zupełnie normalną. W istocie ona była kochanką Gabriela. Tak krótko...

- To dlatego byłeś zmuszony powiedzieć Tranville'owi o Badajoz? - domyślił się Gabe.

Vernon zerknął na żonę.

- Po części...

- A po części, niestety, z mojego powodu - wtrąciła się Ariana.

Gabriel w zamyśleniu sączył wino.

- Jutro odwiedzimy ojca Edwina, prawda, Gabrielu? - zapytała Emmaline.

- Ty nie - oparł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Dlaczego?

- Tranville nie może się dowiedzieć, kim jesteś.

Wyraz jego twarzy poważnie ją zaniepokoił.

- On ma rację - przyznał Vernon. - Musiałem powiedzieć Tranville'owi, co jego syn próbował zrobić pani i chłopcu. Ustaliliśmy między sobą, że nie będziemy poruszać tego tematu. Ma powody, żeby nie zwracać się przeciwko mnie, ale wobec pani i pani syna nie będzie się hamował, zwłaszcza jeśli uzna, że z waszego powodu jego syn może zostać okryty niesławą.

Emmaline dziwiła się coraz bardziej. Zachowywali się tak, jakby ojca należało się obawiać jeszcze bardziej niż syna.

Gabriel zdecydowanym ruchem odstawił kieliszek.

- Jutro pójdę do niego sam.

- Pójdę z tobą, jeśli zechcesz - zaproponował Allan.

- Nie. - Vernon pochylił się do przodu. - Żaden z was nie może pójść. Tranville jest sprytny. Jeśli połączy was ze sprawą Edwina, znajdzie sposób, żeby was uciszyć. Ja pójdę.

Ariana pokręciła głową.

- Jack, on ci nigdy nie powie tego, czego chcesz się dowiedzieć. Nie rozmawia z tobą, chyba że nie może tego uniknąć.

- Moja matka go przekona. - Jack wzruszył ramionami.

Jego żona w odpowiedzi tylko się zaśmiała.

- Już prędzej weźmie jego stronę.

- Obawiam się, że to prawda - przyznał, krzyżując ramiona na piersi.

- Ja pójdę - oświadczyła Marian. - Najlepiej się nadaję do wypełnienia tego zadania. Wuj Tranville nie nabierze żadnych podejrzeń, gdy spytam o Edwina. Jestem jedyną osobą, którą może obchodzić, gdzie on jest.

- Pójdę z tobą - stwierdził Allan. - Jesteśmy winni wizytę twojemu wujowi i matce Vernona. Gdy tam się zjawimy, będzie to wyglądało całkiem naturalnie. Marian zwróciła się do Emmaline i Gabriela.

- Przyjdźcie jutro na kolację. Będziemy już wówczas coś wiedzieć i zdecydujemy, co robić dalej.

Panie wróciły do salonu, natomiast Allan, Gabe i Vernon pozostali w jadalni, żeby się napić brandy.

Pograżony w zadumie Gabe wodził palcem po brzegu kieliszka, podczas gdy Vernon z Allanem rozmawiali o zbliżającej się wizycie u Tranville'a.

Od kiedy Emmaline ponownie wkroczyła w jego życie, w uczuciach Gabe'a panował zamęt. Najlepiej dla niego byłoby omijać Tranville'a z daleka, jako lord generał miał dość władzy, by pozbawić go wszelkich szans na uzyskanie nowego stanowiska w armii. Jednocześnie trudno mu było dzielić się z kimkolwiek opieką nad Emmaline, nawet z przyjaciółmi.

- Uważaj, żebyś się nie zdradził, dlaczego pytasz o Edwina - ostrzegł przyjaciela Vernon, kiwając mu palcem przed nosem.

- Będziemy ostrożni - zapewnił Allan z uśmiechem. - Cóż, oboje z Marian zdobyliśmy duże doświadczenie w zachowywaniu tajemnic. - Zwrócił się do Gabe'a: - Co cię łączy z madame Mableau?

Gabe poczuł żar na policzkach.

- Nic nas nie łączy.

- Ale przecież zwróciła się właśnie do ciebie - nie ustępował Allan.

- A do kogo miała się zwrócić? Nie zna nikogo innego w Anglii. - Starał się utrzymać obojętny ton.

- Nie mogę zapomnieć tamtych dni w Badajoz - powiedział cicho Vernon. - Trudno winić jej syna za to, że wzbudziły w nim tyle nienawiści.

Gabe wpatrywał się w zawartość swojego kieliszka.

- Dużo złych rzeczy wydarzyło się podczas wojny. Musimy zostawić je za sobą i żyć dalej. - Przynajmniej on próbował to zrobić.

Vernon popatrzył niepewnie najpierw na jednego, potem na drugiego z przyjaciół.

- Zdarzało wam się, by tamte przeżycia wracały do was we wspomnieniach? Bo czasami mam wrażenie, że znowu tam jestem.

- Ja miałem koszmarne sny - przyznał się Allan.

Gabe także czasami śnił o Badajoz, ale zawsze były to sny o Emmaline.

Wydawało się dziwne, że akurat tamto wydarzenie, jeden z wielu strasznych epizodów podczas wojny, połączyło go z Allanem i Vernonom i że od tamtej pory każdy z nich musiał się zmagać z jego skutkami. Co więcej, wszyscy byli jakiś sposób powiązani z Edwinem Tranville'em, choć Gabe przynajmniej nie zaliczał go do swojej rodziny. Teoretycznie mógł umyć ręce i w ogóle nie myśleć więcej o tej sprawie.

Teoretycznie.

Mógł odmówić Emmaline pomocy. Nie miał powodu, żeby się angażować. Żaden z nich nie miał powodu, poza tym, że byli świadkami karygodnego zachowania Edwina. A Gabe wiedział, jak mocno zaważyło to na życiu Emmaline i jej syna.

Tego wieczoru wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle, urodą mogła konkurować nawet z żoną Jacka Vernona. Koronkowe wykończenia sukni przypominały mu sklep w Brukseli, gdzie zręcznymi palcami wygładzała pajęczo delikatne tkaniny, zwijała je albo rozkładała, żeby prezentować klientkom. Wyobraził sobie, jak wybiera materiał na ozdobną falbankę do swojego dekoltu i mankietów spośród koronkowych taśm zawieszonych na sznurze.

Oczyma wyobraźni widział, jak przyszywa ją we właściwym miejscu, zaciskając usta, bez reszty skupiona na uważnym operowaniu igłą. Te same dłonie gładziły jego nagą skórę, te same usta obsypywały go pocałunkami, a jej oczy aż do tego ranka, kiedy jej się oświadczył, spoglądały na niego z pożądaniem.

- Myślisz o tamtej nocy, Gabe? - zapytał Allan.

Zorientował się, że umknęła mu część rozmowy.

- Tamtej nocy w Badajoz? - Bo przecież nie o nocach, kiedy kochał się z Emmaline w jej łóżku.

Allan zmarszczył czoło.

- Tak... a co myślałeś?

- Myślałem, że powinniśmy byli wtedy zabić Edwina.

- Gabe! - Allan nie ukrywał przerażenia.

- Nikt by się nie dowiedział, a tylko oddalibyśmy światu i sobie przysługę.

- Jestem skłonny się z tobą zgodzić - przyznał Vernon, podnosząc kieliszek do ust.

Allan pokręcił głową, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Opowiadacie bzdury. Znam cię, Gabe. Nie odebrałbyś nikomu życia bez powodu.

- Według mnie mieliśmy ważny powód - odparł z naciskiem. - Nie byłoby zemsty Claude'a ani poszukiwań prowadzonych przez jego matkę, gdybyśmy się pozbyli drania tamtej nocy.

Jakże inaczej mogłoby się wszystko ułożyć, gdyby wówczas wyeliminowali Edwina. Może nawet Bruksela byłaby inna.

## Rozdział dziesiąty

Następnego wieczoru znów zebrali się w salonie Marian i Allana, połączeni jednym wydarzeniem, jedną osobą, którą Gabe miał odszukać. Kiedy Allan napełniał kieliszki winem, a potem rozdawał je gościom, Gabe przyglądał się ukradkiem Emmaline. Tym razem wybrała fotel, pewnie dlatego, że nie chciała, by usiadł obok niej. Zazdrościł Jackowi, który spoczywał wraz z Arianą na niewielkiej sofie. Jednak Emmaline jakby nie zauważała ani tej pary, ani Gabe'a. Patrzyła to na Allana, to na Marian, niecierpliwie czekając na to, co mają do powiedzenia.

Jednak posepna mina Allana nie zapowiadała triumfalnego toastu.

- Nie będę was dłużej trzymał w niepewności - odezwał się w końcu, siadając przy żonie. - Mamy wieści na temat Edwina...

- Nie ma go już w Londynie - weszła mu w słowo Marian. - Bardzo mi przykro.

- Wiemy jednak, dokąd się udał - dodał pośpiesznie Allan. - Wyjechał do Bath.

- Mój wuj go tam wysłał - uzupełniła Marian. - Wuj wybrał się z krótką wizytą do stolicy i wpadł we wściekłość, gdy dowiedział się, jak fatalnie Edwin wywiązywał się ze swoich obowiązków wobec lorda Sidmoutha. Dlatego zesłał go do Bath, do domu należącego do mojej ciotki. Pamiętasz ten dom, prawda? - zwróciła się do Jacka. Jack potwierdził skinieniem.

- Tak, oczywiście. Leży jakąś milę w bok od drogi na Wells.

- Zgadza się. Wuj Tranville kazał Edwinowi zostać tam i nie pokazywać się w Londynie, dopóki wszyscy tu nie zapomną o jego haniebnym zachowaniu. - Uśmiechnęła się cierpko. - Dokładnie tak powiedział... dodając jeszcze parę przekleństw.

- Bath leży niedaleko - pocieszył Emmaline Allan. - Droga jest dobra, więc można tam dotrzeć powozem w ciągu jednego dnia.

- W takim razie jutro tam pojedę - oświadczyła, zerkając niepewnie na Gabe'a, jakby nie wiedziała, czy zechce jej towarzyszyć.

- Ty też pojedziesz, Gabe? - Pytanie zadane przez Allana zabrzmiało bardziej jak rozkaz.

Czyżby naprawdę sądził, że Gabe pozwoli jej jechać samej? Jej propozycja, że wyjdzie za niego w zamian za pomoc w odnalezieniu syna, była niestosowna i sprawiła mu przykrość, ale przecież miał honor i sumienie. Dobrze wiedział, jak bardzo się bała spotkania twarzą w twarz z Edwinem.

- Zawiozę madame Mableau do Bath - powiedział twardo, wytrzymując wzrok Allana.

- Jutro, Gabrielu? - upewniała się Emmaline.

- Tak, jutro. Potrzebuję jednak czasu na zorganizowanie paru rzeczy, dlatego nie zostanę na kolacji - dodał, wstając.

Ona także się podniosła.

- Ty możesz zostać, Emmaline - powiedział, prawie na nią nie patrząc. - Jack z Arianą mogą cię potem odprowadzić do hotelu.

Spojrzał pytająco na Vernona, który zapewnił skwapliwie:

- Z przyjemnością.

Emmaline mimo to zrobiła krok w jego stronę.

- Chcę iść z tobą.

- Twoja obecność tylko utrudni mi zadanie. - Cóż, sama jej obecność nie pozwalała mu się należycie skupić, ponieważ budziła wspomnienia i emocje, które miały pozostać głęboko pogrzebane w przeszłości. Umknął wzrokiem, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

- Dylizanse odjeżdżają bardzo wcześnie. Bądź gotowa o czwartej rano, wstąpię po ciebie do hotelu. - Skłonił się wszystkim. - Dobranoc.

Allan odprowadził go do wyjścia.

- Możemy jakoś pomóc? - zapytał.

- Już pomogliście - odparł Gabe, wkładając rękawiczki.

Reilly pojawił się w holu, żeby otworzyć drzwi.

- Może kiedyś wszyscy będziemy mogli zapomnieć o Badajoz - powiedział z zadumą Allan.

- Może. - Gabe uściśnął mu dłoń na pożegnanie.

Po opuszczeniu domu Landonów skierował się na Oxford Street, skąd dorożka miała go zawieźć na Strand do Gospody pod Aniołem, gdzie można było nabyć bilet na przejazd dylizansem do Bath.

Następnego dnia o czwartej rano Emmaline czekała w hotelowym holu z torbą podróżną zawierającą cały jej dobytek. Wyglądała przez okno, z nerwów skręcając w palcach rzemyk torebki.

Bała się spotkania z Edwinem Tranville'em prawie tak samo jak tego, że odnajdą go zbyt późno. Pamiętała go, jakby od wydarzeń w Badajoz minęły nie lata, a dni. Niemal czuła na sobie jego ręce popychające ją na ziemię i zadzierające jej spódnicę. Wciąż miała w nozdrzach odór pijackiego oddechu, mieszający się z zapachem krwi zabitego męża.

Straszne wspomnienie przyprawiło ją o dreszcz. Miała w ręce nóż, dźgnęła nim Edwina w twarz, rozcinając mu policzek niczym kawał surowego mięsa. Że też Gabriel ją wówczas powstrzymał... Zabiłaby Edwina, tak jak jego kompani zabili Remy'ego.

Gdyby Gabriel jej nie powstrzymał...

Nie mogła mu mieć tego za złe. Ukrył ją i Claude'a, chronił ich, dał im pieniądze. A potem, w Brukseli, pokazał jej szczęście, o jakim nigdy nawet nie śmiała marzyć.

Tęskne rozmyślenia o chwilach uniesień przeżytych z Gabrielem przerwał jej odgłos końskich kopyt. Z ciemności wychynęła dorożka i zatrzymała się przed drzwiami hotelu.

Odźwierny, młody mężczyzna drzemiący na krześle, poderwał się, żeby otworzyć jej drzwi.

Widząc zbliżającego się Gabriela, Emmaline wyszła mu naprzeciw. Przywitał ją szybkim skinieniem, po czym wziął od niej torbę. Przypadkowy dotyk jego dłoni natychmiast wprowadził jej zmysły w stan nerwowego napięcia.

Poszła za nim do dorożki, a kiedy wyciągnął rękę, żeby pomóc jej przy wsiadaniu, miała wielką ochotę paść mu w ramiona, oprzeć głowę na piersi i posłuchać kojącego rytmu jego serca.

Opanowała się jednak, w czym niespodziewanie pomogła jej Ariana, która powiedziała swym melodyjnym głosem:



- Postanowiliśmy wam towarzyszyć. Jack skontaktował się z Gabe'em po tym, jak panią wczoraj zostawiliśmy. Wydało nam się to całkiem sensowne.

- Wychowałem się w Bath - wyjaśnił jej mąż. - I znam Edwina. Naprawdę więc mogę pomóc.

- A ja się nie zgodziłam, żeby mnie zostawił samą - dodała z uśmiechem Ariana.

Emmaline nie mogła się nadziwić, że są gotowi pomagać dopiero co poznanej Francuzce, którą równie dobrze mogliby uznać za wroga.

Gabriel usiadł obok niej. Ze względu na szczupłość miejsca ich ramiona stykały się.

- Udało nam się zdobyć miejsca dla wszystkich w tym samym dyliżansie - mówił Jack. - Mieliliśmy prawdziwe szczęście.

- Pojedziemy do Bath tą dorożką? - zdziwiła się Emmaline, myśląc z lękiem, ile może kosztować wynajęcie takiego pojazdu. Przecież jej fundusze były mocno ograniczone.

- Nie, tylko do zajazdu, skąd odchodzą dyliżanse do Bath - uspokoił ją Gabe.

Pojazd ruszył. Emmaline szybko straciła poczucie kierunku, ale wkrótce dotarli na dziedziniec zajazdu z szyldem przedstawiającym anioła. Mimo wczesnej pory panował tam ożywiony ruch.

Wysiedli z dorożki. Gabriel ujął Emmaline za ramię i zaprowadził w bezpieczne miejsce, z dala od końskich kopyt, kół i obładowanych tragarzy.

- Ile mam ci zapłacić za przejazd? - spytała.

Odstawił na ziemię jej i swój bagaż.

- Nie mów mi o pieniądzach. Stać mnie na to, żeby zapłacić za nas oboje.

Zaskoczył ją. Dlaczego był taki hojny, skoro wyraźnie nie miał ochoty na ten wyjazd?

Dołączyli do nich Jack z Arianą, która położyła Emmaline dłoń na ramieniu w geście pocieszenia.

- Przed wieczorem będziemy w Bath, a jutro Jack z Gabrielem znajdą Edwina i sprawa zostanie załatwiona.

Poza tym, że Emmaline musiała jeszcze znaleźć Claude'a i przekonać go, by poniechał zemsty.

- Zna pani Edwina Tranville'a? - zapytała.

- Poznałam go, ale trudno powiedzieć, żebym go tak naprawdę знаła. - Ariana wzruszyła ramionami. - Zapamiętałam go jako nieciekawego typu, poza tym pije stanowczo za dużo wina. - Popatrzyła na Emmaline ze współczuciem. - Jack opowiadał mi o pani spotkaniu z Edwinem. To było straszne, ale nie sądzę, żeby obecnie komukolwiek zagrażał.

- Nie licząc mojego syna - powiedziała cicho Emmaline.

Gabriel wrócił, razem z Jackiem wzięli bagaże i wkrótce wszyscy czworo znaleźli się w dyliżansie. Gabe tak jak poprzednio usiadł obok Emmaline, oddając jej miejsce przy oknie, a Vernonowie usadowili się naprzeciwko. Kobieta siedząca po drugiej stronie Jacka trzymała wielki kosz pachnący kielbasą, a miejsce naprzeciw niej zajmował mężczyzna w dość niechlujnym brązowym płaszczu i bryczesach do kolan.

Po sygnale odegranym na rogu i licznych okrzykach dyliżans ruszył i wkrótce znaleźli się na drodze wyjazdowej z miasta.

Z każdą pokonaną milą niebo stawało się coraz jaśniejsze, choć słońca nie było widać przez nieustającą mżawkę. Ariana po niedługim czasie przytuliła się do męża i zapadła w sen. Emmaline żałowała, że tak jak ona nie może oprzeć głowy na ramieniu Gabriela. W obecności dwojga obcych podróżnych nie mogli swobodnie mówić o powodzie wyprawy do Bath, więc Gabriel z Jackiem zabijali czas rozmową o wojsku, poruszając też inne neutralne tematy. Do Emmaline Gabe w ogóle się nie odzywał.

- Wykorzystaj okazję, żeby rozprostować nogi - zwrócił się do niej, dopiero kiedy wreszcie się zatrzymali, by zmienić konie.

Nie trzeba jej było namawiać.

Poszły z Arianą skorzystać z toalety, a Gabriel z Jackiem nabyli w tym czasie trochę jedzenia specjalnie pakowanego dla podróżnych. Po mniej więcej dziesięciu minutach znów wyruszyli w drogę.

Okolo południa chmury się rozeszły, a dyliżans jechał przez pofałdowane zielone pola nakrapiane białymi owcami i malownicze wioski. Patrząc na te urokliwe pejzaże,

Emmaline pomyślała, że Anglia jest ładnym krajem. I szczęśliwym, bo uniknęła niszczącej rewolucji.

Ariana czytała książkę, a Jack szkicował coś w małym notatniku wyjętym z kieszeni płaszcza. Emmaline pamiętała, że w Badajoz rysował konie dla Claude'a.

- Co pan szkicuje, monsieur Vernon? - zapytała.

Uśmiechnął się do niej.

- Proszę mi mówić po imieniu. - Podał jej notatnik.

Rysunek przedstawiał zajazd pełen powozów, stajennych i podróżnych.

- To miejsce, gdzie się niedawno zatrzymaliśmy! - wykrzyknęła Emmaline. - Wygląda dokładnie tak samo.

Ariana podniosła wzrok znad książki. Jej mina świadczyła, jak bardzo jest dumna z talentu męża. Emmaline podsunęła notatnik Gabrielowi.

- Czyż nie wygląda tak samo?

- Zupełnie tak samo - odparł sucho, jakby był niezadowolony, że zmusza go do mówienia.

Zwróciła notatnik Jackowi, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś będzie mogła rozmawiać z Gabrielem tak swobodnie jak w brukselskich czasach.

- Czy mógłbym narysować panią, madame? - ku jej zaskoczeniu spytał Jack.

- *Moi?* - Wzruszyła ramionami. - Chyba tak. Skoro pan sobie życzy.

- W takim razie proszę się nie ruszać. Trochę dziwnie się czuła pod intensywnym spojrzeniem artysty. Gabriel patrzył tak na nią w Brukseli, lecz o ile Jack skupiał się na oddaniu wizerunku, spojrzenie Gabe'a sięgało w głąb jej duszy.

- Doskonale oddałeś podobieństwo! - pochwaliła Ariana, zerkając mężowi przez ramię.

Jack jeszcze przez chwilę pracował w milczeniu, po czym wręczył notatnik Emmaline.

Patrzyła na rysunek ze zdumieniem. Z pewnością narysował ją piękniejszą, niż była naprawdę. Kobieta na rysunku miała wielkie, wyraziste oczy osłonięte gęstymi rzęsami. Spod czepka wymykały się ciemne kosmyki, a pełne, ładnie wykrojone wargi sprawiały wrażenie lekko wilgotnych.

- Naprawdę tak wyglądam? - spytała niepewnie.

Gabriel dotknął jej ręki, pochylając notatnik tak, żeby mógł zobaczyć rysunek.

- Na tym rysunku jesteś prawie tak piękna jak w rzeczywistości.

Emmaline zaniemówiła, słysząc te słowa.

- To ci dopiero komplement! - ze śmiechem skwitował Jack.

Ręka jej drżała, kiedy oddawała mu notatnik. Wyrwał kartkę z rysunkiem i podał jej ze słowami:

- To dla pani.

- *Merci* - podziękowała szeptem.

Trzymając rysunek, zastanawiała się, gdzie go umieścić, żeby się nie pogniótł.

Jakby czytając jej w myślach, Gabriel wyciągnął rękę.

- Może schowam go do kieszeni surduta? Będzie tam bezpieczny.

Bez słowa patrzyła, jak pieczołowicie chowa kartkę w wewnętrznej kieszeni, tuż przy sercu.

Na czwartym popasie kobieta z kielbasą wysiadła, a jej miejsce zajął rozpierany przez energię młodzieniec, a jego twarz tryskała, zdrowiem i świadczyła o właściwym odżywianiu. Po dziesięciu minutach było jasne, że dłużej nie zdoła powściągać gadulstwa. Mówił bezustannie, zadawał pytania, opowiadał o prywatnych sprawach swojej rodziny i znajomych, dodając uwagi na temat wszystkiego, co zobaczył za oknem:

- O, tam pasą się owce!

- To są krzewy morwy.

- Właśnie minęliśmy znak pokazujący drogę do Bath.

Po dziewięciu godzinach jazdy dla wszystkich podróżnych taki słowotok był szczególnie męczący, ale młody człowiek w swym niespożyтым entuzjazmie tego nie uważał.

Świeżością cery i bezustannym wierceniem się w miejscu przypominał Emmaline Claude'a w wieku dojrzewania. Tyle że Claude nic by nie mówił ani nie błyskałby uśmiechem. Serce jej się ścisnęło z żalu nad synem, którego los potraktował tak okrutnie. Nie chcąc, by pozostali widzieli jej smutek, zamknęła oczy i wkrótce niemilknący głos młodzieńca ją uśpił.

Emmaline obudziła się z policzkiem przyciśniętym do piersi Gabe'a i otoczona jego ramieniem.

- Chodź. Dotarliśmy na miejsce - powiedział do niej szeptem.

Przez moment zdawało jej się, że znów jest w Brukseli, szczęśliwa w objęciach kochanka. Zamrugła gwałtownie, otrząsając się z iluzji, po czym korzystając z pomocy Gabe'a wysiadła z dyliżansu. Następnie panowie odebrali bagaże i wszyscy razem weszli do gospody.

- Mieszkałam już kiedyś Pod Białym Lwem - powiedziała Ariana do Emmaline, kiedy Gabe i Jack rozmawiali z właścicielem. - To całkiem przyzwoite miejsce.

Jack podszedł do nich i oznajmił:

- Wynajęliśmy kilka pokoi z salonem do naszego wyłącznego użytku. Gabe właśnie zamawia kolację.

Zjawiła się pokojówka, żeby pokazać im pokoje, a także służący do niesienia bagaży. Sypialnia Emmaline była niewielka, mieściła jedynie łóżko, komodę z lustrem oraz miednicę i dzbanek na wodę. Na haczyku wbitym w ścianę wisiał ręcznik.

W czasie posiłku Gabe przedstawił im swój plan. Rano zamierzali z Jackiem pójść do domu leżącego milę od Wells Road, żeby złożyć wizytę Edwinowi Tranville'owi. Ariana i Emmaline miały w tym czasie pozostać w gospodzie.

- Nie będziemy cały czas siedzieć Pod Białym Lwem - zaprotestowała Ariana. - Zabiorę Emmaline na spacer po Bath i będziemy czekać na was w pompowni.

Kojarząca się z pompowaniem wody nazwa wydała się Emmaline dziwna, jednak była zbyt wyczerpana, by prosić o wyjaśnienia, więc tylko pokiwała głową.

- Emmaline, musisz natychmiast iść do łóżka - stwierdził Gabriel tonem, od którego serce zabiło jej szybciej.

- Racja - poparła go Ariana. - Wygląda pani, jakby zaraz miała zemdleć. - Wstała, gotowa osobiście podnieść ją z krzesła. - Chodźmy, pomogę się pani rozebrać.

Odchodząc od stołu, Emmaline zerknęła ukradkiem na Gabriela, który przyglądał jej się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Do pokoju weszła najwyżej szesnastoletnia dziewczyna z burzą blond loków wymykających się spod czepka.

- Dzień dobry, madame - powitała Emmaline radośnie. - Przyniosłam pani świeżej wody i pomogę się pani ubrać.

- Jak miło z twojej strony - wymamrotała półprzytomnie Emmaline.

- Nie wiem, czy tak miło - odparła ze śmiechem. - Ten oficer dobrze mi za to zapłacił.

- Oficer? - spytała Emmaline, choć dobrze wiedziała, kogo pokojówka ma na myśli.

- No, jeden z tych, co z panią przyjechali. - Opróżniła miednicę do nocnika i ustawiła na komodzie dzbanek ze świeżą wodą. - Może się pani myć, a ja w tym czasie to wyniosę. - Podniosła z ziemi nocnik. - Zaraz wracam.

Kilka minut później Emmaline była już ubrana, a pokojówka, nie przestając zagadywać, upinała jej włosy.

- Jest pani Francuzką, prawda, madame? Umiem to rozpoznać, bo mówi pani z takim dziwnym akcentem.

- *En réalité*, mieszkam w Brukseli. - Emmaline wołała już nie uważać się za Francuzkę.

- *En réalité* - powtórzyła dziewczyna. - To brzmi całkiem po francusku.

- W Belgii wielu ludzi mówi po francusku.

- Nie wiedziałam.

Po krótkiej pauzie, nie patrząc na nią, Emmaline zapytała:

- Czy... słyszałeś może o młodym mężczyźnie mówiącym tak jak ja, który ostatnio przyjechał do Bath?

- Teraz, kiedy wojna się skończyła, mamy ich tu mnóstwo.

- Jest niewiele starszy od ciebie i bardzo lubi konie. Dziewczyna starannie wpięła kolejną spinkę.

- Zapytam mojego brata. Pracuje w stajniach i mógł zapamiętać kogoś, kto dużo mówi o koniach.

Emmaline dodała z wahaniem:

- Ten Francuz... mógł pytać o Edwina Tranville'a.

- Syna tego barona? - paplała, nie przerywając pracy. - Nikt go nie lubi, jak słyszałam, ale nie wiem dlaczego. To była głośna historia, kiedy generał Tranville został baronem, pamiętam, choć byłam wtedy mała. Ludzie dużo mówili o tej rodzinie. - Dotknęła włosów Emmaline, sygnalizując w ten sposób, że skończyła. - Gotowe. Mam też wyszczotkować pani ubranie podróżne, ale może trzeba zrobić coś jeszcze? Ten oficer kazał mi o to zapytać.

- *Non*. Dziękuję ci.

Dziewczyna dygnęła z uśmiechem i otworzyła drzwi.

- Nie zapomnij spytać brata - rzuciła za nią Emmaline.

- Zapytam, madame.

Tuż po wyjściu pokojówki w progu stanęła Ariana.

- Czekałam na panią. Jack z Gabe'em wyszli pół godziny temu. Chodźmy. Zjemy na śniadanie bułeczki Sally Lunn, a potem pokażę pani Bath.

- Co to są bułeczki Sally Lunn? - zainteresowała się Emmaline.

- Sama pani zobaczy! - odparła wesoło Ariana.

Po paru minutach wyszły na ulicę i Emmaline po raz pierwszy miała okazję spojrzeć na słynny kurort.

- O rany! - wykrzyknęła z wrażenia.

Wszystkie budynki wykonane były z kamienia o barwie miodu. Mijały jeden za drugim, aż doszły do wielkiego kościoła, który górował nad całą okoliczną zabudową i choć powstał z tego samego kamienia, wyglądał tak, jakby został przeniesiony z Francji. Plac przed kościołem był wybrukowany, więc nie ubrudziły bucików ani rąbeków sukni. Po mieście kręciło się już dużo ludzi. Młodzi mężczyźni zerkali pożądliwie na mijające ich młode damy. Staruszkowie w białych perukach wspierali się na laskach, a siwowłose matrony okutane szalami zasiadały w lektykach noszonych przez służbę.

Emmaline wytrzeszczała oczy w nadziei, że wypatrzy blondyna ze szramą na policzku. Albo Claude'a.

Weszły do budynku z ładnym wykuszem i usiadły przy małym stoliku. Ariana zamówiła słynne bułeczki Sally Lunn i kawę.

Bułeczki podano im jeszcze ciepłe, prosto z pieca.

- To przecież *les brioches*! - ucieszyła się Emmaline.

- Takie bułeczki wypieka się tylko w Bath. To miejscowa specjalność. - W głosie Ariany słyhać było cień urazy.

Emmaline odgryzła kęs, posmarowawszy go wcześniej dżemem i bitą śmietaną.

- Bardzo dobre - pochwaliła.

Udobruchana Ariana znów się uśmiechnęła.

- Po śniadaniu trochę się przejdziemy - zapowiedziała.

- A kiedy wróć Gabriel z Jackiem? Może powinniśmy iść od razu do pompowni?

- Mamy czas - powiedziała Ariana, skubiąc swoją bułeczkę. - Dość czasu, żeby porozmawiać o pani i Gabrielu.

Emmaline nie umiałaby rozmawiać o sobie i Gabrielu, nawet gdyby chciała.

- Nie rozumiem.

Ariana spojrzała na nią, pochylając lekko głowę.

- Jest między wami jakaś więź, to pewne.

- Więź? - Gabriel z pewnością niczego takiego sobie nie życzył, choć zgodził się na jej propozycję małżeństwa.

- Emmaline, on patrzy na panią wzrokiem zakochanego mężczyzny, a jednocześnie jest między wami jakaś dziwna oschłość. Co się stało?

Przełykając kęs bułki, usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miała okazję zwierzać się godnej zaufania osobie. Dorastając, nauczyła się nie rozmawiać o osobistych sprawach, ponieważ nigdy nie było pewności, co może zostać uznane za zdradę. Nie mogła wyjawic swoich poglądów na Francję przed swą patriotycznie nastawioną rodziną, a mąż nie był zainteresowany tym, co myślała i czuła.

Do tej pory tylko przed Gabrielem mogła otworzyć duszę.

- Nie mogę mówić o nim. - Popatrzyła Arianie w oczy. - To on musi pani powie-  
dzieć, nie ja. On musi zdecydować.

Ariana pokręciła głową, nie kryjąc zawodu.

- Mężczyźni nie chcą rozmawiać o takich rzeczach, nie rozumie pani? Duszą wszystko w sobie, dopóki ich to nie zniszczy od środka. Widziałam to u Jacka, choć on



przynajmniej daje ujście emocjom, kiedy maluje. Nie chciał mi nawet dokładnie powiedzieć, co Edwin zrobił pani i pani synowi.

- To akurat ja mogę powiedzieć. Edwin śmiał się, kiedy jego kompani zabili mojego męża na oczach syna. Próbował mnie zgwałcić, a kiedy syn stanął w mojej obronie, Edwin jego także chciał zabić. To na tę właśnie scenę trafił pani mąż w Badajoz.

Ariana wyciągnęła rękę ponad stolikiem, żeby uścisnąć współczująco dłoń Emmaline.

- Nic dziwnego, że pani syn czuje to, co czuje. Jack i Gabe ostrzegą Edwina ze względu na Claude'a. I na panią. - Próbowała uśmiechem dodać jej otuchy. - Dokończmy śniadanie, a potem pokażę pani uroki Bath.

Emmaline wprawdzie straciła apetyt, ale zmusiła się do zjedzenia prawie całej porcji.

Później, zgodnie z danym słowem, Ariana nie zadawała więcej pytań o Gabriela i Edwina Tranville'a. Poprowadziła Emmaline ulicami Bath, obiecując jej pokazać wspaniały widok. Emmaline udawała radość ze spaceru, choć buty ją obcierały, a do tego cały czas martwiła się, czy zdołają na spotkanie z Gabrielem.

- Co chce mi pani pokazać? - spytała po raz kolejny, choć Ariana kazała jej cierpliwie czekać na niespodziankę.

W końcu doszły do ciągu budynków tworzących ogromny krąg, zbudowanych w całości z miodowego kamienia. Kiedy stanęły na środku brukowanego dziedzińca, Emmaline okręciła się na pięcie, podziwiając imponujące otoczenie.

- To jest cyrk - powiedziała Ariana. - Ale chodźmy dalej.

- Jest coś jeszcze? - Emmaline naprawdę wolałaby od razu pójść do pompowni, nawet gdyby miały tam dotrzeć za wcześnie.

Przeiły dziedziniec i podążyły kawałek zwykłą ulicą, gdy nagle rozpostarł się przed nimi kolejny wspaniały widok.

- Royal Crescent! - zaanonsowała z dumą Ariana. - Najsłynniejsza budowla w Bath. Nigdy pani o niej nie słyszała?

- W ogóle niewiele słyszeliśmy o Anglii.

Tym razem połączone ze sobą złociste domy tworzyły łuk otwarty na piękne tereny parkowe. Emmaline nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego. Widok był zaiste ciekawy i piękny, ale niecierpliwość nie pozwoliła jej na zbyt długie podziwianie.

Odetchnęła z ulgą, gdy w końcu Ariana stwierdziła, że czas skierować się w stronę wyznaczonego miejsca spotkania.

Ponieważ była mowa o pompach, Emmaline spodziewała się, że ruszą w stronę rzeki, tymczasem weszły do budynku stojącego nieopodal wielkiego kościoła.

- Widzi ich pani? - spytała Ariana, wyciągając szyję, żeby się rozejrzeć po niezbyt gęsto zaludnionym pomieszczeniu, które przypominało elegancki, przestronny salon.

- To jest ta pompownia? - zdziwiła się Emmaline.

- Owszem. Można się tu napić wód. - Wskazała ladę, przy której ubrane w czepki dziewczęta rozdawały niewielkie szklanki zebranych wokół ludziom.

- Napić się wód? - powtórzyła zdezorientowana Emmaline.

- Ze źródeł - wyjaśniła jej Ariana. - Proszę mi nie mówić, że nie słyszała pani o terapeutycznych wodach źródłanych z Bath?

- Aha! - Nareszcie wszystko stało się jasne. Pompowali do tego pomieszczenia lecznicze wody. - Jak *Les Eaux-Chaudes* we Francji. - Uważano, że zdrowo było się w nich kąpać i je pić.

- Widzę kogoś - oznajmiła Ariana z ożywieniem.

- Edwina? - Serce podeszło Emmaline do gardła.

- Nie, kogoś, kto może go znać.

Ariana przepchnęła się przez tłum i Emmaline straciła ją z oczu. Zmiękły jej kolana na myśl, że miałyby spotkać się z Edwinem sam na sam. Gdyby był z nią Gabriel, wcale by się nie bała. Stanąwszy na palcach, zaczęła go wypatrywać. Górował wzrostem nad większością obecnych tam osób, więc powinna go od razu zauważyć, gdyby się pojawił.

W pewnym momencie dostrzegła Arianę. Była całkiem niedaleko i rozmawiała ze starszym dżentelmenem. Uspokojona odwróciła się ku drzwiom, żeby nie przegapić nadejścia Gabriela.

Kątem oka ujrzała coś czerwonego. To była jego kurtka. Zatrzymał się przy wejściu i lustrował wzrokiem pomieszczenie. Wiedziała, że to jej wypatruje. Serce znów забиło jej mocniej, lecz tym razem nie ze strachu, lecz z radości, że go widzi.

- Gabrielu! - zawołała, zmierzając w jego kierunku.

Gabe odwrócił się, słysząc jej głos.

- Znalazłeś go? - spytała, zbliżając się do niego z wyciągniętymi rękami.

Na widok nadziei malującej się na jej twarzy poczuł się jeszcze bardziej winny z powodu swej porażki.

- Edwin wyjechał z Bath - powiedział, odwracając wzrok. Nie chciał patrzeć na jej rozczarowanie. - Nie wiemy jeszcze, dokąd się udał. Przykro mi.

Kiedy opuściła głowę, miał ochotę przytulić ją i pocieszyć, powstrzymał się jednak, choć nie przyszło mu to łatwo.

Podeszła do nich Ariana.

- Jakie wieści? Gdzie jest Jack?

- Edwin wyjechał z Bath - powtórzył Gabe. - Jack rozpytuje o niego wśród swoich znajomych.

Ariana prychnęła niecierpliwie.

- Zapewne powiedzą mu, że Edwina nie ma w mieście od tygodnia. Rozmawiałam z lordem Ullmanem. Wiedziała, że zna się z Edwinem. - Dotknęła ramienia Emmaline.

- Lord Ullman to ten starszy dżentelmen. Ostatni raz spotkał Edwina przed tygodniem i od tamtej pory go nie widział. Edwinowi towarzyszyło wówczas dwóch innych mężczyzn. Jeden z nich nazywał się Nicholas Frye, drugi miał na nazwisko Stewel. Lord Ullman żadnego z nich nie widział od tygodnia i uważa, że wyjechali z Bath razem.

Dwie piękne kobiety przyciągały spojrzenia obecnych w pompowni ludzi, co Gabe'owi bardzo się nie podobało.

- Wróćmy do gospody - zaproponował. - Jack nas tam znajdzie. Może dopisze mu szczęście i się dowie, dokąd pojechał Edwin.

Na zewnątrz Ariana nagle się zatrzymała.

- Pozwólcie, że wstąpię do teatru. Znam tam kilka osób, może ktoś coś słyszał. - Gestem pokazała, żeby na nią nie czekali. - Idźcie, dołączę do was w gospodzie.

Emmaline tym razem nie wzięła Gabe'a pod rękę ani się do niego nie odzywała. Uznał, że zachowuje się tak, bo jest rozczarowana. Przecież nie udało mu się znaleźć Edwina.

Kiedy szła ku niemu w pompowni, poczuł tę sama więź, która ich łączyła w Brukseli podczas niekończących się szczerych rozmów i namiętnych zbliżeń. Ten moment minął tak szybko, że musiał być chyba iluzją. Gabe zacisnął zęby. Nie wolno mu było zapominać, że Emmaline oczekuje od niego jedynie pomocy w ratowaniu syna. Niczego więcej.

Tylko czy istniała szansa, że znajdzie Edwina wystarczająco szybko, by go ostrzec, zanim Claude dokona zemsty, którą mu poprzysiągł? Odnosił wrażenie, że z każdą chwilą to zadanie staje się coraz trudniejsze do wykonania.

Nie mógł winić Emmaline za to, że przestała w niego wierzyć. Bo przestała, poznał to po jej napiętej postawie, zaciśniętych ustach i rozpaczliwej widocznej w oczach. Wiedział, że myśli o Claude'u, boi się, że dopadł Edwina, że już go zamordował.

Odrzucając własne obawy, próbował dodać jej otuchy:

- To, że nie znaleźliśmy Edwina, wcale nie znaczy, że Claude go znalazł.

Nie odpowiedziała, spojrzała na niego tylko oczyma pełnymi bólu.

Spróbował jeszcze raz:

- Nam powinno być łatwiej go znaleźć, niż Claude'owi, który nie ma tu w Anglii żadnych znajomych.

- Ale szuka już od dłuższego czasu - przypomniała mu.

Weszli do gospody i skierowali się do części budynku, w której znajdowały się ich pokoje. W korytarzu natknęli się na jasnowłosą pokojówkę. Na ich widok dziewczyna rozpromieniła się.

- Dzień dobry panu, sir - zagadnęła wesoło. - I pani też, madame.

Minęli ją, odpowiadając na pozdrowienie.

- Aha, rozmawiałam z bratem! - zawołała za nimi.

Emmaline chwyciła Gabe'a za ramię, żeby się zatrzymał.

- I co powiedział? - spytała pokojówkę.

Dało się wyczuć, że odpowiedź bardzo ją interesuje.

Służąca spojrzała najpierw na niego, a potem uśmiechnęła się do niej.

- Miała pani rację. Rzeczywiście jakiś Francuz wypytywał o Edwina Tranville'a w stajniach. Brat go zapamiętał, bo świetnie się znał na koniach.

Emmaline zacisnęła mocniej palce na ramieniu Gabe'a.

- Co jeszcze?

- Tylko tyle, madame.

- Kiedy ten człowiek rozmawiał z twoim bratem? - zapytał Gabe.

- Brat mówił, że to było jakiś tydzień temu.

Gabe sięgnął do kieszeni po monetę, którą dziewczyna skwapliwie przyjęła.

- Dziękuję, sir! - Dygnęła z uśmiechem.

Emmaline tymczasem odeszła pod drzwi i czekała tam na Gabe'a, żeby je otworzył. Gdy tylko do niej podszedł, natychmiast wyczuł, że jej napięcie jeszcze wzrosło.

Już w środku zrobił to, przed czym od dłuższego czasu się powstrzymywał: objął ją i mocno przytulił.

- Och, Gabrielu... - Zaszlochała. - Claude nas wyprzedza. Może znaleźć Edwina Tranville'a przed nami.

Na korytarzu rozległy się kroki, a ktoś przekręcił gałkę u drzwi.

Gabe wypuścił Emmaline z objęć. Do pokoju wszedł Jack.

- Odkryłem, dokąd pojechał Edwin! - zawołał zdyszany od progu. Następnie, chwytając oddech dodał: - Do Blackburn na walki kogutów.

# Rozdział jedenasty

Barwnie upierzony kogut doskoczył do rywala, raniąc go do krwi ostrym dziobem. Posypało się pierze, a drugi ptak, karmazyn o czarnej piersi, zaatakował srebrnymi ostrogami przyczepionymi do nóg.

- Dobrze! - krzyknął jeden z kibicujących mężczyzn. - Zabij go!

Inny, stojący obok, pchnął go ze słowami:

- Mój ptak jeszcze nie skończył.

Pstrokaty kogut zaskrzeczał głośno i machając skrzydłami, rzucił się na przeciwnika, wzniesając tuman kurzu. Na ziemię poleciały kolejne krople krwi.

W tłumie widzów podniosła się wrzawa. Kilku mężczyzn o spoconych, czerwonych twarzach robiło zakłady.

- Zabij go! Walcz! - rozlegały się raz po raz nerwowe okrzyki.

Claude Mableau stał z boku, nie okazując żadnego zainteresowania ptakami toczącymi walkę na śmierć i życie. Jego uwaga skupiona była bez reszty na jednym człowieku.

Na Edwinie Tranville'u.

Widział, jak syci się ptasią agresją, pociągając co chwilę z obciążonej skórą pierśiówki. Jego chropawy rechot ranił Claude'owi uszy.

Widział już kiedyś na twarzy Edwina Tranville'a tę minę, słyszał ten sam makabryczny śmiech. To było przed laty w Badajoz, kiedy Tranville patrzył, jak jego kamracy zabijają Claude'owi ojca. Kłuli go nożami, dopóki nie padł na bruk w kałużę własnej krwi.

Woń palonego drewna, prochu i strachu znów wypełniła Claude'owi nozdrza; zapach przemocy i śmierci.

Był wtedy młodym chłopcem, za bardzo się bał, żeby przyjść ojcu z pomocą, jednak przez te lata zmienił się w rosłego młodego mężczyznę. Był sporo wyższy i ważył dobrych dwadzieścia pięć funtów więcej niż człowiek z blizną, wokół którego od lat krążyły wszystkie jego myśli.

Wygląd dwóch pozostałych zatarł się w jego pamięci, może dlatego, że tamtej strasznej nocy ich twarze były ukryte w cieniu, natomiast Tranville'a widział tak wyraźnie, że jego wizerunek wyrył mu się na zawsze w mózgu.

Od tygodni prowadził poszukiwania i w końcu znalazł tego potwora, który najpierw zamordował jego ojca, a potem zamierzał świętować ten triumf, gwałcąc jego matkę.

Claude odetchnął głęboko, po czym wsunawszy rękę pod płaszcz, zacisnął palce na nożu ukrytym na piersi. Rękojeść idealnie pasowała do dłoni, ostrze było cienkie i niezwykle ostre. Wystarczyło podejść do wroga, wyciągnąć nóż spod kurtki i zanurzyć go w Tranville'u tyle razy, ile to będzie konieczne, żeby padł martwy. Po wszystkim Claude mógłby się wymknąć, zanim oszalały na punkcie kogutów tłum cokolwiek zauważy.

Smakując perspektywę zwycięstwa, podszedł bliżej, zajmując miejsce za Tranville'em, tak blisko, że czuł odór jego niemytych włosów i przepitego oddechu.

Zacisnął palce na rękojeści noża.

Nagle jeden z kompanów Tranville'a, George, wcisnął się między nich.

- Chodź, Edwin. Wynosimy się stąd. - Ściągnął go z drewnianej ławki i powłókł w stronę wyjścia.

Claude na moment zamarł, przekonany, że George przejrzał jego zamiary, ale było oczywiste, że nawet go nie zauważył.

Gorzko rozczarowany niepowodzeniem, podążył za nimi. Gdy znalazł się na zewnątrz, opuścił głowę i zachowując bezpieczny dystans, udawał kogoś, kto idzie nieśpiesznie głęboko nad czymś zamyślony.

- Chciałem zobaczyć koniec! - protestował Tranville. - Zapowiadało się na walkę na śmierć i życie.

- A ile wrzuciłeś do puli? - spytał rzeczowo George.

- Nic, nie postawiłem ani pensa - przyznał Tranville.

- No to nie ma o czym mówić. - George pomachał do dwóch pozostałych znajomych Tranville'a: Harry'ego z włosami tak jasnymi, że wyglądały jak siwe i Nicholasa, który przez rude włosy i patykowate nogi przypominał koguta z areny.

Ci dwaj eleganccy dżentelmeni nigdy nie byli w wojsku. Claude był tego pewien, wyczuwał to instynktownie po ich postawie. A jeśli chodzi o Tranville'a, to choć wiedział, że służył w armii, to gdyby nie rozpoznał go po oszpeconej blizną twarzy, nigdy by się nie domyślił, że ma do czynienia z oficerem rezerwy. Ale cóż, taki był z niego żołnierz...

Korzystając z osłony krzaków, zbliżył się do mężczyzn, by podsłuchać, o czym rozmawiają.

Harry powitał Tranville'a słowami:

- Potrzebujemy twojej gotówki. Karczmarz żąda zapłaty za pokoje i zniszczenia.
- Zniszczenia? - powtórzył zaskoczony Tranville.

Nicholas ze śmiechem walnął go w ramię.

- Odrobinę za dużo wypiełeś, żeby pamiętać. Zabawiliśmy się trochę z jego córką, nie nasza wina, że rozleciało się przy tym trochę mebli i porcelany. Ten człowiek mówi, że pójdzie do sądu, jeśli mu nie zapłacimy.

Tranville sięgnął do kieszeni i wyciągnął sakiewkę.

- Coś mi jeszcze zostało.
- To dobrze, bo my wszyscy jesteśmy kompletnie spłukani - powiedział George. - Będziemy musieli zaszyć się w posiadłości mojej rodziny na jakiś czas. Wysłałem wiadomość, żeby przysłali po nas jutro powóz.

- Zapowiada się straszna nuda - stwierdził Tranville.

Ruszyli w stronę karczmy, jednak Claude i tak usłyszał wystarczająco dużo. Reszty miał się dowiedzieć tego wieczoru w głównej jadalni i rano w stajniach. Gdziekolwiek jechał, od razu zaprzyjaźniał się ze stajennymi, którzy zawsze chętnie udzielali mu wskazówek, dzięki którym wyśledził Tranville'a.

Może i dobrze się stało, pomyślał, że nie udało mi się dzisiaj zabić Tranville'a. Dzięki temu będzie mógł stanąć z nim twarzą w twarz i zmusić do wyjawienia nazwisk tamtych dwóch, którzy zasztylowali jego ojca. Bardzo się zapalił do tego pomysłu. Bezpośrednia konfrontacja to jednak całkiem co innego niż skrytobójcza egzekucja. Chciał, żeby Tranville dowiedział się, dlaczego ginie i czyja ręka wymierzy mu ostateczną karę.



Odruchowo wsunął rękę pod kurtkę i dotknął sztyletu. Metalowe ostrze nagrzało się od jego ciała. Jeśli nie będzie okazji dobrać się do Tranville'a jeszcze tej nocy, pojedzie za nim dalej. Był pewien, że w końcu uda mu się znaleźć sposób, by stanąć oko w oko ze swą ofiarą.

I pomścić śmierć ojca.

Następnego dnia Gabe i Emmaline wyruszyli tropem Tranville'a, natomiast Jack z Arianą wrócili do Londynu.

Podróż z Bath do Blackburn zabrała im trzy dni. Dla Gabe'a okazała się trudniejsza niż dwutygodniowy marsz przez wzgórza Hiszpanii. Wolałby ostrą jazdę wierzchem od siedzenia na miękkich kanapach powozu obok Emmaline. Jej obecność, w dodatku tak bliska, przypominała mu upojne chwile, które przeżyli w Brukseli.

Jak to się stało, że zaczął spędzać tyle czasu w jej towarzystwie, bezustannie narażony na bolesne wspomnienia i... pokusy? Miał wrażenie, że wpadł w wir, który wciągał go coraz głębiej i głębiej. Oczywiście mógł tego uniknąć, odmawiając pomocy przy szukaniu Edwina i ratowaniu Claude'a. To właśnie powinien był zrobić. Należało wrócić do Londynu i poświęcić się bez reszty staraniom o posadę w armii.

Tylko że to by oznaczało porzucenie Emmaline. Nie mógł jej zostawić, tak samo jak nie mógł od niej wymagać, żeby na zawsze rozstała się z synem.

Powinien żałować, że ponownie zjawiała się w jego życiu i wywróciła je do góry nogami, lecz mimo udręki powodowanej uczuciowym zamętem, cieszył się z jej obecności.

Kiedyś siedzenie obok niej byłoby dla niego jedynie wielce pożądaną przyjemnością, teraz z każdą przejechaną milą narastało między nimi trudne do zniesienia napięcie. Prawie się do siebie nie odzywali. Nawet kiedy w pobliżu nie było innych pasażerów i mogli swobodnie rozmawiać, niewiele nowego mieli sobie do powiedzenia.

Co gorsza, podróż zaczęła przebiegać przez tereny dobrze Gabe'owi znane. W Manchesterze mieli przesiadkę na dyliżans zmierzający do Blackburn, na który musieli czekać kilka godzin w gospodzie. Przez cały ten czas Gabe martwił się, że mogą spotkać kogoś, kto go rozpozna.

Raczej nie musiał się obawiać, że nagle zacznie się z nim witać jakiś znajomy z dawnych czasów, ponieważ lata spędzone w wojsku bardzo go zmieniły. Inaczej miała się sprawa z krewnymi. Gdyby do gospody zawitał ktoś z rodziny, musiałby go poznać. Żeby się zabezpieczyć przed tą, skądinąd mało prawdopodobną możliwością, Gabe wynajął prywatną jadalnię, by z dala od innych oczu mogli spokojnie poczekać na dalszą podróż.

Pragnąc uniknąć jednego zagrożenia, naraził się na inne. Przebywanie sam na sam z Emmaline jeszcze bardziej wzmogło wspomnienia dawnej bliskości.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Wsiadając do dylizansu, Gabe odetchnął z ulgą, również dlatego, że tym samym pojazdem nie podróżował żaden z jego braci. Kiedy był dzieckiem, interes prowadzony przez ojca wymagał częstych wypraw do Blackburn, na ówczas prężnego ośrodka produkcji tekstylnej. Jako chłopiec czasami towarzyszył ojcu i braciom, żeby razem z nimi nosić bele materiałów, choć zawsze odnosił wrażenie, że bardziej im zawadza, niż pomaga. Czasami, przy odrobinie szczęścia, udawało mu się wymknąć spod rodzinnej kurateli, żeby powłóczyć się po mieście.

Dylizans dotarł na przedmieścia Blackburn już dobrze po południu. Na szczęście przystanek był blisko kuźni Millera, gdzie, jak się dowiedział Jack, przebywał Edwin i jego kompani. Miejsce to cieszyło się popularnością z powodu odbywających się tu walk kogutów. Gabe także je znał, ponieważ odwiedził je w młodości podczas jednej z samotnych wędrówek po mieście.

Wynajawszy pokoje, Gabe zapytał karczmarza, czy wśród jego gości jest Edwin Tranville. Bo niby dlaczego miałyby go tam nie być? Może wreszcie zaczęło im sprzyjać? Dzięki czemu znaleźliby Edwina jeszcze tego samego dnia i zobowiązanie Gabe'a wobec Emmaline zostałyby wypełnione. Znów by się rozstali, tym razem na dobre.

Karczmarz przesunął palcem po stronie książki meldunkowej.

- Jakie nazwisko?

- Edwin Tranville - powtórzył cierpliwie Gabe.

Emmaline stała za jego plecami. Czuł narastające w niej napięcie, jakby ich nerwy były ze sobą połączone. Karczmarz przewrócił kartkę wstecz.

- Dużo ludzi przyjeżdża i wyjeżdża. - Na moment podniósł wzrok. - Rozumie pan, walki kogutów.

- Jeśli to nie on się wpisywał, to może znajdzie pan nazwisko któregoś z towarzyszących mu ludzi, Frye albo Stewel.

Brwi karczmarza gwałtownie podjechały w górę.

- A, Frye i Stewel! Akurat ich doskonale zapamiętałem, bo były z nimi kłopoty. Wyrzuciłem ich... na całe szczęście!

- Już ich tu nie ma? - zmartwił się Gabe.

- Wynieśli się kilka dni temu. - Postukał palcem w księgę.

Emmaline wysunęła się zza Gabe'a i ściskając jego ramię, spytała niepewnym głosem:

- A Edwin Tranville został?

Karczmarz jeszcze raz postukał w otwartą księgę.

- Nie mogę odczytać nazwisk, ale... No tak, było z nimi jeszcze dwóch innych, teraz sobie przypominam. Jednak nie potrafię powiedzieć, czy ten, którego szukacie, był jednym z nich.

Gabe zerknął na zapisaną stronę. Podpisy rzeczywiście były nieczytelne.

- Ma bliznę na twarzy - powiedziała Emmaline.

Mężczyzna uniósł wyciągnięty palec.

- No tak! Wielką bliznę, odtąd dotąd? - Przejechał palcem po policzku od ust do skroni.

- To ten - potwierdził Gabe. - Co pan nam może o nim powiedzieć?

Karczmarz zaśmiał się głośno.

- Tylko tyle, że przetrzebił moje zapasy brandy. Nic więcej o nim nie wiem. Chwalić Boga, wyjechał tego samego dnia co jego kompani. - Pokręcił głową. - Moglibyście popytać w stajniach, któryś ze stajennych może wiedzieć coś więcej.

- Popytamy - zapewnił go Gabe. - Czy ktoś mógłby zabrać na górę nasze rzeczy? - Wskazał bagaże. - A my pójdziemy popytać.

Właściciel karczmy wydał polecenie młodemu posługaczowi. Gabe wynagrodził obu napiwkami za uczynność, po czym wraz z Emmaline udał się do stajni.

- Pamiętam ich - przyznał jeden ze stajennych. - Odjechali prywatnym powozem, który po nich przyjechał i odczekał tylko tyle, żeby dać wytchnienie koniom.

- Z boku na drzwiczkach był namalowany herb - odezwał się inny. - Wydaje mi się, że przedstawiał jakiegoś ptaka.

- Wiecie, dokąd pojechali? - spytał Gabe.

- Nie za bardzo - odparł pierwszy ze stajennych, drapiąc się po głowie. - Woźnica czekał w karczmie. Nie gadał tu z nikim.

- Tak było - potwierdził drugi, wruszając ramionami.

- Pardon, panowie - wtrąciła się Emmaline. - Był tu może w tym samym czasie młody Francuz? Dobrze zna się na koniach.

- Mableau? - Stajenny uśmiechnął się szeroko. - Miły chłopak, ale nie jest Francuzem. Powiedział, że mieszka w Brukseli. Wyjechał mniej więcej w tym samym czasie co tamci, jak mi się zdaje, chociaż nie wiem, kiedy dokładnie wyruszył.

Jego kolega tylko pokiwał głową.

- Dziękuję wam. - Oni także zostali wynagrodzeni przez Gabe'a napiwkami. - Zatrzymujemy się w karczmie. Będę wdzięczny, jeśli mnie powiadomicie, gdyby się okazało, że albo sobie coś jeszcze przypomnicie, ale ktoś inny może coś dodać.

Wychodząc ze stajni, Emmaline uczepiła się kurczowo ramienia Gabe'a. Miała wrażenie, że bez podparcia nie utrzyma się na nogach.

- Co teraz zrobimy, Gabrielu?

No właśnie... Nie miał pojęcia, jak szukać młodych mężczyzn, którzy odjechali prywatnym powozem. Mogli być wszędzie...

- Wrócimy do karczmy. - Cóż innego mogli zrobić?

Emmaline stanęła przed nim i złapała go oburącz za klapy mundurowej kurtki.

- Nie możemy się poddawać! Claude pojechał za nimi. Musimy go znaleźć, zanim będzie za późno!

Chwycił ją mocno za ramiona i przez moment wahał się, czy ją od siebie siłą odsunąć, czy przygarnąć do piersi i pocieszać.

Puścił ją, targany jednocześnie pożądaniem i niechęcią. Tłumienie w sobie tak sprzecznych emocji groziło szaleństwem. Miał świadomość, że powinien za wszelką ce-

nę wypłatać się z tej intrygi. Należało czym prędzej jechać do Londynu i czekać na wiadomość o wakacie w armii. Od dawna ubiegał się o jakąś funkcję, więc powinien być na miejscu, gdy trafi się szansa. Wiedział przecież, że nie jest jedynym oficerem, który pragnie wrócić do pełnej służby.

- Poczekasz na mnie w karczmie. - Wyciągnął przed siebie rozpostarte dłonie, jakby chciał się nimi odgrodzić od Emmaline. - Ja pójdę na walki kogutów i tam się popytam. Może ktoś wie, dokąd pojechali.

Wystarczyło, by spojrzała mu w oczy, żeby poruszyć czułą strunę.

- Chcę pójść z tobą - powiedziała błagalnym tonem.

- Na walki kogutów? Nie ma mowy.

Milczała, kiedy odprowadzał ją do karczmy, a potem zamawiał posiłek, który miał być dostarczony do jej pokoju.

Gabe spędził dobre dwie godziny na obserwowaniu, jak nieszczęsne ptaki atakują się nawzajem tylko po to, żeby ludzie mogli się zakładać o wynik ich starcia. Kiedy był chłopcem, oglądanie takich walk miało w sobie urok zakazanego owocu, teraz był nimi jedynie zdegustowany. Widział zbyt wiele przelanej krwi, by zadziobujące się ptaki mogły dostarczyć mu rozrywki.

Udało mu się wciągnąć w rozmowę kilku widzów. Niektórzy pamiętali Edwina, ale dopiero kiedy o nim wspomniał, zauważyli, że zniknął wraz ze swoim towarzystwem. Nikt nie wiedział, dokąd mogli pojechać.

- Przetracili mnóstwo pieniędzy - powiedział jeden z mężczyzn, poklepując się wymownym gestem po kieszeni. - Wiem, bo sporo z nich trafiło do mnie.

Dokąd mogli pojechać młodzi dżentelmeni, którym brakowało gotówki? Gabe nie miał pojęcia. Sprawdził jeszcze w kilku okolicznych tawernach, po czym skierował się do karczmy. Ulice Blackburn wydały mu się jednocześnie znajome i obce. Miasto zmieniło się, podobnie jak jego rodzinny Manchester. Powstało wiele nowych fabryk, zbudowano kanał, na ulicach widać było więcej ludzi. Patrząc na nich w zapadającym zmierzchu, Gabe wyobrażał sobie, że zmierzają do swoich domów, gdzie czekają na nich bliscy. Pomyślał, że wiodą życie, w którym łatwo przewidzieć każdy następny dzień. I nie wiedział, czy im zazdrościć, czy współczuć.

Przed wejściem do karczmy przystanął stropiony. Nie przynosił Emmaline niczego poza kolejnym rozczarowaniem. Jak długo jeszcze mógł kontynuować poszukiwania, nie mając żadnych wskazówek, dokąd powinni zmierzać?

Należało w końcu się przyznać, że nie potrafi jej pomóc.

Przycisnął dłoń do czoła. Musiał się napić. Zawrócił do tawerny, którą dopiero co opuścił.

Usadowiwszy się w ciemnym kącie, gestem wezwał dziewczynę roznoszącą napitki i zamówił brandy.

- Otwórz drzwi, Francuzeczko! - Męski głos brzmiał nienaturalnie rozwlekle.

Zaraz potem Emmaline usłyszała śmiech drugiego mężczyzny, jakby to, co powiedział ten pierwszy, było bardzo zabawne.

Rozległo się łomotanie do drzwi, tak mocne, że aż wygięły się deski.

Emmaline aż podskoczyła z przestachu, a potem szybko przyciągnęła ciężki skórzany fotel i zaklinowała oparciem klamkę. Kiedyś nauczył ją tego Remy. Taką zapewniał jej ochronę, kiedy zabierał ją i syna na tereny ogarnięte wojną.

- Wpuść nas! - zażądał jeden z intruzów. - Przecież masz na nas ochotę.

Znów usłyszała śmiech podobny do rechotu.

Bała się, że nikt ich nie usłyszy, bo jej pokój znajdował się przy końcu długiego korytarza, daleko od pokoju Gabriela.

Gabriel.

Gdzie on się podziewa? Nie widziała go od wielu godzin. Czyżby mu się coś stało?

- Otwieraj, kobieto! Dość udawania. - Drzwi znów zadrżały pod uderzeniami silnych pięści.

Emmaline wyjęła z torby nożyczki, by w razie potrzeby posłużyły jej za broń. Postanowiła, że jeśli natrętom uda się wdrzeć do pokoju, będzie walczyć i drzeć się wniebogłosy. I nie zawaha się użyć nożyczek. Już raz się tak broniła, tamtego dnia, gdy Gabriel znalazł ją w Badajoz i nie pozwolił jej zabić Edwina Tranville'a, tyle że miała wtedy prawdziwy nóż. Ale nożyczki też są ostre i zrobione ze stali. Gdzie był teraz?

- Francuzeczko! - rozległo się znowu.

I nagle pojawił się nowy głos, a raczej straszliwy ryk:

- Wynoście się stąd albo będziecie mieli ze mną do czynienia!

Gabriel!

Przez drzwi Emmaline usłyszała odgłosy szamotaniny. Gabriel miał przeciwko sobie trzech napastników. Musiała mu pomóc. Wciąż dzierżąc w dłoni nożyczki, odsunęła fotel i gwałtownie otworzyła drzwi.

Dwaj mężczyźni już uciekali korytarzem, a trzeciego Gabriel podniósł z ziemi za kołnierz i rzucił za nimi niczym workiem mąki.

Zdyszany po walce odwrócił się i zrobił krok w jej stronę.

- Coś ci się stało? - zapytał głosem, który ją przestraszył.

- *Non* - wydukała, cofając się za próg. - Pewnie chcesz wiedzieć, co się stało. - Zachowała się niemądrze, bo nie zrobiła tego, co jej kazał, więc miał prawo być na nią zły. - Nie zostałam w moim pokoju, tylko zesłam na dół, do ogólnej sali, żeby popytać o Claude'a. Te typy przyszły tu za mną.

Przeszył ją wzrokiem, zupełnie jak Remy, kiedy był zazdrosny, że jakiś inny mężczyzna zwrócił na nią uwagę.

- W żaden sposób ich nie zachęcałam - tłumaczyła się coraz bardziej nerwowo. - Nawet się do nich nie odezwałam. Nie chcieli mnie zostawić w spokoju. Wyszłam stamtąd, kiedy ich zachowanie stało się nieprzyzwoite.

- Mówiłem ci, żebyś została w pokoju.

Emmaline nagle doznała wrażenia, że przeniosła się w czasie. Ileż to razy odgrywała podobną scenę z Remym? Postępując według tamtego schematu, powinna przyznać się do błędu, obiecać poprawę i błagać o wybaczenie.

Tylko że stał przed nią Gabriel, a nie jej mąż. A z Gabrielem mogła rozmawiać szczerze.

- Ile godzin cię nie było? - spytała, zadzierając podbródek. - Myślałam już, że przytrafiło ci się coś złego. - Poczula od niego alkohol. - Nie domyśliłam się, że spędzasz czas w tawernie.

Na moment umknął wzrokiem, nim znów na nią spojrział.

- Wszystko jedno. Nie powinnaś była opuszczać swojego pokoju. - Zmarszczył czoło. - A gdybym wrócił trochę później?

Uniosła rękę, żeby mu pokazać nożyczki.

- Byłam uzbrojona.

Wyzbyty już złości patrzył na nią przez chwilę, po czym wskazał na torbę podróżną.

- Spakuj nożyczki i resztę rzeczy. Spędzisz tę noc u mnie.

Przebiegł ją dreszcz. Gd czasu Brukseli już nigdy nie spali w jednym pokoju, bo na każdym postoju zamawiał dla nich oddzielne sypialnie. Kiedy ze sobą sąsiadowały, czuła się wyjątkowo samotnie, do tego stopnia, że przykładła ucho do ściany, by słyszeć Gabe'a. Każde skrzypnięcie jego łóżka wzbudzało w niej żal, że nie leży u jego boku. Tęskniła za ciepłymi objęciami, w których znajdowała nie tylko cudowną rozkosz, ale i pocieszenie w chwilach, gdy budziły ją senne koszmary.

Spakowała się szybko, czując na sobie spojrzenie Gabe'a.

- Jestem gotowa - oznajmiła, zapinając ostatnią sprzączkę.

Gabe sięgnął po torbę. Przypadkowy kontakt ich dłoni natychmiast obudził w niej zmysły. Idąc za nim korytarzem, miała ochotę podskakiwać z radości. Pokoje były niemal identyczne, łóżko równie wąskie jak to, które stało u niej, nie przeszkadzało jej to jednak, bo oznaczało, że cały czas będą leżeli wtuleni w siebie.

Pomyślała, że jeśli znów będą się kochać, to może Gabriel zacznie rozmawiać z nią tak jak kiedyś, zamiast ograniczać się do wydawania suchych poleceń. Miała nadzieję, że dzięki uwolnionej namiętności wróci między nimi porozumienie, które ich łączyło w Brukseli.

Postawił torbę na stole przy oknie i odwrócił się, mierzając Emmaline rozplómiennym wzrokiem.

Emmaline czekała w milczeniu, wstrzymując oddech z napięcia.

Stanął tuż przed nią, sięgnął po jej rękę... i włożył do niej klucz.

- Zamknij za mną drzwi.

Zdumiona przez chwilę tylko patrzyła, wreszcie wydukała:

- Wychodzisz?

Przez moment jakby się wahał, pochylił się nad nią, miała wrażenie, że zaraz przywrze do jej ust, ale w ostatniej chwili się wyprostował.



- Będę spał w twoim pokoju. - Sięgnął po swój bagaż.

- Nie zostawiaj mnie samej - poprosiła Emmaline drżącym głosem.

Zdecydowanie ruszył do wyjścia, jakby jej w ogóle nie słyszał.

Poczuła ucisk wokół serca. Zrozumiała, że nie chce z nią być, że już jej nie pragnie, choć ona wciąż go pragnęła. Uświadomiła sobie ze smutkiem, co to oznacza dla ich wzajemnych stosunków, dla ich ewentualnego małżeństwa.

- Gabrielu! - zawołała, widząc, jak kładzie dłoń na klamce.

Znieruchomiał, a potem odwrócił się do niej.

TLR

## Rozdział dwunasty

Gabe wiedział, że nie powinien się odwracać. Twarz miała zarumienioną, oddech przyśpieszony... i jeszcze ten błagalny wzrok. „Nie zostawiaj mnie samej”.

Czyż mógł pozostać nieczuły na taką prośbę? Ostatecznie dopiero co zmagala się z natarczywością rozochoconych pijaków, jakby nie dość miała koszmarnych wspomnień z Badajoz.

Tylko jak miał jej wytłumaczyć, że w tym momencie, rozgrzany potyczką z natrętami, podniecony jej widokiem i słowami, nie czuje się na siłach zostać z nią sam na sam, ponieważ nie jest pewien, czy potrafi nad sobą zapanować.

- Nic złego ci się tu nie stanie - wydusił w końcu. - Jeśli te typy odważą się wrócić, zamiast ciebie znajdą mnie w twoim pokoju.

- Zostań, Gabrielu. Nie chcę być sama - powtórzyła uparcie.

Wciąż nie puszczał klamki.

- Byłem w tawernie, Emmaline. Wypiłem tyle, że nie mogę sobie samemu ufać...

- Ale ja ci ufam - powiedziała, zbliżając się do niego.

- W tej chwili stanowią dla ciebie takie samo zagrożenie, jak tamci trzej.

Podeszła całkiem blisko.

- Mógłbyś mi zrobić coś, czego bym nie chciała?

Miał ochotę zedrzeć z niej ubranie, poczuć pod palcami nagą skórę, nakryć wargami brodawki piersi i wreszcie zagłębić się w niej...

- Zostań - poprosiła jeszcze raz, nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Upuścił torbę na ziemię i chwycił Emmaline za ramiona.

- Emmaline... - Puścił ją natychmiast, widząc, że się wzdrygnęła. Nie chciał jej sprawić bólu. Brandy nie pozwalała mu właściwie ocenić własnej siły, a do tego mąciła myśli. - Naprawdę tego chcesz? - spytał zduszonym głosem.

Potwierdziła skinieniem.

Jego ciało odpowiedziało tak, jakby naprawdę go pragnęła, a przecież wiedział, że kieruje nią wyłącznie troska o Claude'a. Dla syna gotowa była na wszystko, nawet na zawarcie niechcianego małżeństwa.

- Pragnę tego. - Głos Emmaline zabrzmiał pewnie, jakby nie miała żadnych wątpliwości.

Odwróciła się, ściągnęła przez głowę łańcuszek z pierścionkiem i odłożyła na stolik, a potem wsunęła Gabe'owi palce we włosy.

Dotknął jej szyi i natychmiast wyczuł pod palcami przyśpieszone tętno.

- Bardzo tego chcę - wyszeptała, odchylając głowę do tyłu i jednocześnie przyciągając go do siebie.

Łapczywie przywarł do jej ust, jakby stanowiły dlań życiodajne źródło. Smakowały niebiańsko wspomnieniem namiętnych nocy i spokojnych, ciepłych dni. Tym wszystkim, co kiedyś utracił... i miał utracić ponownie. Za pierwszym razem ledwie się pozbierał, więc jaki ból miał znosić teraz? Nie chciał się nad tym zastanawiać, kiedy Emmaline była tak blisko i wręcz domagała się, żeby ją posiadał.

Dlaczegoż nie miałyby spełnić jej życzenia? To naturalne, że mężczyźni współżyją z kobietami, które ich do tego zachęcają. Sam robił to wiele razy. Dlaczego tym razem miałyby się powstrzymywać?

Nie przerywając pocałunku, Emmaline zaczęła mu rozpinąć kurtkę munduru. Pomógł jej w tym, a następnie pozwolił jej się nieco odsunąć i zdjąć suknię, choć tak naprawdę miał ochotę jednym szarpnięciem zedrzeć z niej całe ubranie, by jak najszybciej ujrzeć te cudowne kształty.

Już bez sukni, zrzuciła z nóg pantofle i popychając Gabe'a w stronę łóżka, proponowała:

- Zdejmę ci buty.

Usiadł na brzegu posłania, żeby jej ułatwić zadanie, a potem przyciągnął ją do siebie, odwróconą plecami, i zrewanżował się, rozsznurowując gorset. Ręce mu się trzęsły z niecierpliwości, ale w końcu udało mu się pokonać fiszbinową barierę. I znów przysła kolej na Emmaline, która rozpięła pasek jego spodni i zsunęła z ramion koszulę.

Wiele razy rozbierali się tak nawzajem w Brukseli, tylko że teraz Gabe odbierał to inaczej. W ich ruchach pojawiła się gwałtowność, gorączkowy pośpiech. Być może za sprawą wypitej brandy nie chciał się nad niczym zastanawiać, skupiony wyłącznie na cielesnych doznaniach.

Kiedy już spoczęli na łóżku, wolni od ubrania i wszelkich zahamowań, zdziwił się, że tak dobrze zapamiętał ciepły dotyk jej skóry, lawendowy zapach przywodzący na myśl sklep z koronkami, jędrność piersi... Działo się tak mimo upływu czasu i niezależnie od tego, jak bardzo się starał zapomnieć. Jednak choć uparcie odpychał od siebie wątpliwości, myśl, że Emmaline dąży do zbliżenia tylko dlatego, by nie zaniechał ratowania Claude'a, nie dawała mu spokoju.

- *Qu'est-ce que c'est?* - zapytała, wyczuwając w nim napięcie. - O co chodzi? Coś jest nie tak?

- Muszę wiedzieć, czy na pewno tego pragniesz, Emmaline. - Miał świadomość, że jego głos brzmi zbyt szorstko.

- Nigdy nie przestałam - odpowiedziała zdecydowanie.

Nie potrzebował dalszej zachęty, a nawet gdyby chciał się dalej powstrzymać, i tak nie był do tego zdolny. Wszedł w Emmaline i zaczął się poruszać, a ona niemal natychmiast podjęła rytm. Połączeni ze sobą, coraz szybciej zmięrzali ku spełnieniu, aż wreszcie rozkołysani w szaleńczym tempie jednocześnie dotarli na szczyt rozkoszy i znieruchomieli, jakby nagle zawieszeni w czasie.

Powoli dochodzili do siebie, zmęczeni wysiłkiem i doznaniem, które zaskoczyły ich swą intensywnością. Gabe trzymał Emmaline w objęciach tuż przy sobie, jakby się bał, że może nagle zniknąć. Nie zamierzała jednak zniknąć, przeciwnie, oplótła go nogami, żeby się czuć jeszcze mocniej z nim związaną.

- Brakowało mi tego - wymruczała.

On zaś dziwił się, że w ogóle potrafił bez tego żyć.

Wracając już całkiem do rzeczywistości, Gabe zastanawiał się, od jak dawna Emmaline nie była blisko z żadnym mężczyzną. Wydało mu się niepojęte, by tak namiętna kobieta mogła rezygnować z zaspokajania zmysłowych potrzeb, tym bardziej że urodą bez wątpienia przyciągała uwagę. Czyż mógłby ją winić, gdyby korzystała z różnych okazji? W końcu sam też nie żył w celibacie od czasu wyjazdu z Brukseli, choć mógł z czystym sumieniem przyznać, że chwile zmysłowych uciech z paryskimi kurtyzanami nic dla niego nie znaczyły. Pomyślał, że również to, co właśnie zaszło między nim a Emmaline, nie powinno mieć dla niego głębszego znaczenia.

Musiał zaniepokoić ją wyraz jego twarzy, bo unosząc się na łokciu, spytała:

- Coś cię trapi, Gabrielu?

- Nic... Nic takiego. - Odgarnął kosmyk z jej czoła. - Zapomnieliśmy o rozpuszczeniu twoich włosów.

Usiadła na posłaniu i zaczęła wyjmować spinki, aż w końcu ciemne loki opadły bujną kaskadą na ramion i plecy.

- Nadal tak samo piękne - powiedział szeptem Gabriel, przeczesując je palcami.

Pochyliła się do jego ust w długim, gorącym pocałunku, a potem wsunęła się na niego i szeptem wypowiedziała słowa, które i on miał na końcu języka:

- Znowu cię pragnę.

Wraz z nadejściem świtu znów się kochali tak samo gwałtownie jak wieczorem, jakby się bali, że dzienne światło odbierze im szansę na bliskość.

Tym razem nie pozostawali długo w stanie przyjemnego rozleniwienia. Trzymając Emmaline w ramionach Gabe czuł, jak stopniowo narasta w niej napięcie.

- Co teraz zrobimy, Gabrielu? - odważyła się w końcu zapytać.

Rzecz jasna miała na myśli odnalezienie Edwina i ratowanie Claude'a.

Powinien jej powiedzieć, że dalsze działania nie mają sensu. Nie było wiadomo, gdzie szukać Tranville'a, nie mieli żadnych wskazówek ani tropów. Poza tym musiał wracać do Londynu, by dopilnować swoich spraw.

Dobierał w myślach odpowiednie słowa i wyobrażał sobie, jak je wypowiada. Mógł przewidzieć, jak Emmaline przyjmie jego decyzję. Niemal czuł jej rozczarowanie i lęk. Czy naprawdę mógł jej to zrobić? Czy mógł zadać jej ten ból, najstraszniejszy z możliwych, mówiąc, że nie da się uratować jej syna? Nie mógł.

- Przyszło mi do głowy... - zaczął takim tonem, jakby chciał jej przedstawić długo układany plan, a nie pomysł wymyślony na poczekaniu. - Powinniśmy wynająć pojazd, żebyśmy mieli swobodę ruchów. Moglibyśmy pojeździć po okolicy i popytać o Edwina oraz jego kompanów w przydrożnych zajazdach. Może gdzieś ktoś ich widział.

- Naprawdę jesteś gotów to zrobić, Gabrielu? - Rozpromieniona usiadła na posłaniu. - *Très bien*. Na pewno znajdziemy kogoś, kto ich zapamiętał, jestem o tym przekonana!

Ucałowała go czule, wdzięczna za decyzję, której mógł już niedługo gorzko pożałować.

- Ubiorę się i spróbuję coś zorganizować - powiedział, zmuszając się do opuszczenia ciepłego łóżka.

Znalezienie pojazdu, który można by wynająć, wcale nie poszło tak łatwo. Po odwiedzeniu kilku zajazdów Gabe w końcu trafił na człowieka, który był chętny użyczyć mu giga. Wprawdzie jednokonny gig nie był tak szybki jak karykiel, do którego zaprzęgało się parę, ale w zaistniałych okolicznościach musiał im wystarczyć. Nie było sensu szukać dalej, tracąc czas, który mogli spędzić w drodze.

Kiedy wrócił do pokoju, okazało się, że Emmaline zdążyła już spakować ich bagaże.

- Zjedzmy porządne śniadanie, które nam starczy na długi czas - zaproponował. Zaraz po posiłku mieli wyruszyć na dalsze poszukiwania, według Gabe'a najpewniej bezowocne.

Wkrótce potem siedzieli w ogólnej jadalni, popijając gorącą kawę z dużych kubków i posilając się szynką, serem i chlebem. Ich stolik stał blisko wejścia, więc klienci którzy wchodzili do środka, często przerywali im rozmowę, co zresztą wcale nie znaczyło, że Gabe i Emmaline byli szczególnie rozmowni. Po prostu te wszystkie drobne zdarzenia bardzo irytowały. Ale co się dziwić, skoro po namiętnej nocy Gabe nie bardzo wiedział, jak powinien się zachowywać wobec Emmaline.

Jakiś człowiek zahaczył o jego krzesło, ale natychmiast uprzejmie przeprosił i poszedł dalej. Po chwili inny skinął mu głową z daleka. Gabe rozpoznał człowieka, którego wypytywał podczas walk kogutów. I tak co chwila.

W rezultacie z Emmaline podczas posiłku prawie cały czas milczeli, jednak kiedy ich spojrzenia się spotykały w powietrzu dawało się wyczuć dziwne napięcie, jakby zaraz miały się posypać iskry.

Emmaline zamrugła gwałtownie, chcąc zatrzeć to wrażenie.

- Gdzie zaczniemy poszukiwania? - spytała, z trudem zachowując rzeczowy ton.

Gabe wzruszył ramionami. Pomyślał, że tylko on przywiązuje wagę do tego, co między nimi zaszło. Był pewien, że Emmaline, jak zawsze, myśli wyłącznie o synu

- Możemy rzucić monetą - zaproponował.

- Rzucić monetą? - Uniosła brwi, wyraźnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Wszystko jedno, w którą stronę najpierw pojedziemy - wyjaśnił Gabe. - Szanse powodzenia wszędzie są takie same.

Podnosząc do ust kubek z kawą, napotkał wzrok człowieka, który właśnie wszedł do jadalni i zmierzał do wolnego stołu.

- Gabe?! - wykrzyknął, zatrzymując się gwałtownie.

Gabe poczuł jak krew odpływa mu z twarzy.

- Mój Boże, Gabe, to naprawdę ty! - ucieszył się Paul Deane. - Dobrze cię znów zobaczyć, ale co ty, u licha, tu robisz?

Gabe dał się uściskać, choć wcale nie był zachwycony nieoczekiwanym spotkaniem ze starszym bratem.

Paul przeniósł pytające spojrzenia na towarzyszącą mu kobietę.

- Emmaline, pozwól, że ci przedstawię mojego brata, Paula Deane'a. Paul, poznaj madame Mableau - dokonał wymuszonej prezentacji.

- Miło mi pana poznać, sir. - Emmaline wyciągnęła rękę.

Paul chwycił ją skwapliwie.

- Jest pani Francuzką! - stwierdził, zerkając przy tym z nieskrywanym zaciekawieniem na Gabe'a.

- Belgijką - sprostowała Emmaline.

Dołączyła do nich służąca z tacą pełną jedzenia.

- Pańskie śniadanie, sir - zwróciła się do Paula Deane'a.

Gabe odsunął wolne krzesło.

- Może przysiądziesz się do nas - zaproponował, gestem nakazując dziewczynie postawienie tacy na stole.

Paul skorzystał z zaproszenia, lecz zamiast się skupić na jedzeniu, wciąż spoglądał to na brata, to na Emmaline.

- Skąd się wziąłeś w Blackburn, Gabe? - zapytał. - Stacjonujesz tutaj?

- Nie, nadal czekam na stanowisko - odpowiedział Gabe.

Paul miał taką minę, jakby go w ogóle nie słuchał, tylko próbował się domyślić, kim jest towarzysząca bratu kobieta i dlaczego jedzą razem śniadanie. Nagle w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia i twarz natychmiast mu pokraśniała.

- O co tu chodzi? - zwrócił się szeptem do Gabe'a, jednocześnie ruchem głowy wskazując na Emmaline.

Jego zachowanie rzecz jasna nie uszło jej uwagi.

Gabe poczuł złość. Bez wątpienia Paul doszedł do wniosku, że wspólne śniadanie było kontynuacją spędzonej razem nocy i zachowywał się tak, jakby Gabe był siedemnastolatkiem przyłapanym na drobnym grzeszku, a nie wolnym człowiekiem dobrze po trzydziestce. Nie życzył sobie, żeby starszy brat osądzał go... albo towarzyszącą mu kobietę. Jego spojrzenia kierowane na Emmaline i sugestia zawarta w pytaniu były co najmniej niestosowne.

Widząc rumieniec na twarzy Emmaline, postanowił zapobiec ewentualnym dalszym przykrościom, które mogły ją spotkać ze strony Paula.

- Madame Mableau i ja przyjechaliśmy do Blackburn w pewnej sprawie rodzinnej, która ciebie w żaden sposób nie dotyczy - oznajmił z naciskiem. - Żeby zaspokoić twoją ciekawość zdradzę ci coś, co zamierzałem jeszcze przez jakiś czas trzymać w tajemnicy... - Emmaline siedziała ze wzrokiem wbitym w swój talerz. Gabe wyciągnął rękę ponad stołem i nakrył jej dłoń swoją dłonią. - Jesteśmy zaręczeni.



## Rozdział trzynasty

Emmaline popatrzyła na niego zaskoczona. Paul zaśmiał się, a potem wstał i klepnął go poufale w ramię.

- A, więc to tak! Bardzo się cieszę. Nie rozumiem, po co ta cała tajemnica...

- Ale mimo to, proszę, uszanuj nasze życzenie - wszedł mu w słowo Gabe.

Nawet jeśli Paul domyślał się, co naprawdę ich łączy, Emmaline nie miała zamiaru niczego się wstydzić. Jeszcze nigdy nie pragnęła Gabriela tak bardzo jak ostatniej nocy, nawet podczas szczęśliwego okresu w Brukseli. Miała wrażenie, że wszystkie jej obawy o los Claude'a i strach przed pijanymi natrętami znalazły ujście w namiętności.

Brat Gabriela wrócił na swoje miejsce za stołem.

- Kiedy zamierzacie wyjawić naszej matce tę radosną nowinę? Wracacie potem do Londynu? Powinniście po drodze wstąpić do Manchesteru, żeby przedstawić swoją narzeczoną rodzinie.

- Nie wracamy do Londynu - rzekł sucho Gabe.

- Nie? W takim razie dokąd jedziecie? - Paul zamasyście pacnął się w czoło. - No jasne, do naszego wuja. Planujecie złożyć mu wizytę.

W Brukseli Gabe wspominał o wuju, który prowadził owczą farmę, jednak Emmaline nie wiedziała, czy właśnie jego Paul miał na myśli.

- Tak - potwierdził Gabe podejrzanie szybko. - Chcemy odwiedzić wuja Willa.

Emmaline popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Czyżby rzeczywiście miał taki zamiar? A co z Claude'em? Z Tranville'em?

- Gabrielu, mówiłeś...

- Nieważne, co mówiłem - przerwał jej stanowczo, patrząc na nią surowo. - Jędziemy do mojego wuja, żeby mu powiedzieć o naszych zaręczynach.

Czyżby jej nadzieje miały w jednej chwili lec w gruzach? Zaczynała wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że ich małżeństwo może być całkiem udane, skoro w ich zbliżeniach jest tyle namiętności, a tu nagle się dowiaduje, że Gabriel nie zamierza dotrzymać obietnicy ratowania jej syna. Zachowywał się tak samo jak Remy, snuł plany, w ogóle nie biorąc pod uwagę jej życzeń. Zanim Remy uznał za stosowne ją uprzedzić, gdzie bę-

dzie stacjonował jego oddział, wszystko było już przesądzone. Stosował wobec niej metodę faktów dokonanych, jak Gabriel z tą nagłą wizytą u wuja.

- Może zaproponujesz bratu, żeby nam towarzyszył w odwiedzinach u wuja? - wyrzuciła z siebie ze złością.

Gabriel popatrzył na nią ze zdziwieniem. Natomiast Paul, który najwidoczniej nie zauważył w ich zachowaniu niczego podejrzanego, poklepał ją dobrodusznie po ręce.

- Nie mogę, niestety. Wy płynę jeszcze dziś kanałem do Liverpoolu. Popłynę barką z towarami, które tu kupiliśmy. To powolna podróż, ale całkiem przyjemna.

- *Quel dommage*. Jaka szkoda - westchnęła z udawanym żalem.

Paul podrapał się po brodzie.

- Szczerze mówiąc, czuję się winny. Wuj Will mieszka tak blisko, że powinienem go odwiedzić, ale już na to za późno. - Skupił się na zawartości talerza.

- Co słychać u rodziny? - zapytał go Gabe swobodnym tonem.

Zupełnie przy tym nie zwracał uwagi na pełną rozgoryczenia minę Emmaline. W tym także przypominał Remy'ego.

Tylko że zachowywała się jak żona Remy'ego. Nie mówiła wprost, posługiwała się ironią, którą mężczyźni nie zawsze właściwie odbierali. Uświadomiła sobie, że przyjmując taką postawę, wyrządzała krzywdę Claude'owi, na przykład godząc się wyjechać z mężem do Hiszpanii. Czyżby od tamtej pory życie nie nauczyło jej, że trzeba walczyć o swoje racje?

Udając zainteresowanie, słuchała, jak bracia rozmawiają o licznych krewnych, ludziach, których zupełnie nie znała. Miała tylko Claude'a. Czyżby Gabriel naprawdę nie rozumiał, że powstrzymanie jej jedyne go syna przed popełnieniem morderstwa jest ważniejsze niż odwiedziny u wuja? Zadrzała, przypominając sobie, co powiedział jeden ze stajennych: że Claude opuścił Blackburn tego samego dnia co Edwin. A jeśli już go odnalazł? Jeśli czai się, w każdej chwili gotów zabić? Co będzie, jeśli opóźnienie spowodowane wizytą u wuja nie pozwoli im w porę powstrzymać Claude'a?

Nagle zaczęły jej się trząść ręce.

Louisa Finch wyszła z Rappard Hall zadowolona, że może odetchnąć świeżym powietrzem. Bardzo sobie ceniła przyjemność porannej przejażdżki, dającej wytchnienie

od obowiązków, jakich się podjęła w tym domu. W siodle mogła zapomnieć o tym, że jest ubogą krewną i powinna być wdzięczna, że ma gdzie mieszkać, co jeść i w co się ubrać. Lady Rappard była kuzynką jej zmarłej matki i najbliższą żyjącą krewną. Louisa cieszyła się, że może okazać miłą wdzięczność, prowadząc dom pod jej nieobecność i przejmując obowiązki ochmistrzyni. Biedna pani Dart. Louisa spodziewała się, że kiedy lord i lady Rappard w końcu zauważą, że staruszka jest zbyt słaba i roztargniona, by się wywiązywać ze swoich zadań, będą jej wypłacać przyzwoitą emeryturę. Czy wtedy Louisa miałaby zajmować się domem? Tego właśnie najbardziej się bała - że na zawsze odsunie się na pozycję służącej.

Starła się otrząsnąć z tej myśli.

Może otrzymanie stałej posady należało uważać za korzystne zrządzenie losu, jednak w wieku siedemnastu lat jako córka arystokratycznych rodziców marzyła o czymś więcej niż zakopanie się w wiejskiej posiadłości na prowincji.

Zaśmiała się głośno z własnych rozterek. Przecież wiodło jej się w Rappard Hall całkiem dobrze. Służący byli dla niej jak rodzina, no i miała Pomonę, swojego ukochanego konia. Lord Rappard pozwolił jej trzymać własnego wierzchowca, a przecież nie byłoby jej stać na taki wydatek. Przejazdźka rankiem, pożyteczne zajęcia w ciągu dnia i odpoczynek wieczorem. To naprawdę wystarczało.

Powodem jej niepokoju musiał być kuzyn George i jego znajomi, którzy zamieszkali w posiadłości. Byli hałaśliwi, niechlujni i gburowaci, a ten cały Nicholas Frye wciąż pozwalał sobie wobec niej na niewybredne uwagi i poządlive spojrzenia. Ich obecność zmuszała ją do nieustannej czujności, ponieważ musiała pilnować, by Nicholas i dwaj pozostali goście nie zaczepiali pokojówek, jako że George przymykał oko na niecne poczynania swoich przyjaciół.

Weszła przez szerokie wrota do stajni, gdzie natychmiast powitał ją zapach siana, skóry i koni.

Koniuszy Sellars podszedł do niej wycierając ręce.

- Dzień dobry, panno Finch. Przyszła pani pojeździć?

- Jak zawsze, panie Sellars, jeśli to nie stanowi kłopotu - odpowiedziała z uśmiechem. - Mam nadzieję, że dobrze się pan dziś czuje.

- Doskonale, dziękuję. Każę osiodłać Pomonę. - Machnął na stajennego. - Osiodłaj Pomonę dla panny Finch, chłopcze.

Młody człowiek odwrócił się i pokiwał głową.

- To pański nowy pracownik? - zainteresowała się Louisa. - Jak mu idzie?

- Jeszcze nie spotkałem chłopaka, który tak dobrze by się znał na koniach - powiedział z zadowoleniem Sellars. - Mamy szczęście, że do nas trafił. Ciężko haruje, a do tego bez narzekania podejmuje najgorszą robotę.

Domyśliła się, że chodzi o czyszczenie stajni. Z zaciekawieniem zerknęła na nowego stajennego. Był raczej szczupły, ale sprężysty i dobrze umięśniony, i żaden tam olbrzym, bo tylko o kilka cali wyższy od niej. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale odniosła wrażenie, że jest mniej więcej w jej wieku.

- Chyba pozwolę mu, żeby jechał z panią - powiedział koniuszy.

Louisa ściągnęła usta w grymasie protestu.

- Wie pan przecież, że nie potrzebuję asysty, no i bardzo lubię samotne przejażdżki. Nie ma potrzeby, żebym zabierała panu pracownika.

Sellars pokręcił głową.

- Nie chcę nawet słuchać takich rzeczy. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby się pani coś stało. - Rzucił głośniejszą w głąb stajni: - Dla siebie też osiodłaj konia, chłopcze. Pojedziesz z panną Finch. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Założę się, że wybierze konia, który najbardziej potrzebuje długiej przejażdżki.

Po kilku minutach młody stajenny przyprowadził gotową do jazdy Pomonę i ogni-stego czarnego wałacha o imieniu Apollo, który rzeczywiście wyglądał, jakby się rwał do biegu.

Chłopak od razu spodobał się Louisie. Ciemne włosy zdecydowanie wymagające przycięcia wymykały mu się spod czapki. Miał ładną, czystą cerę i duże oczy o żywym niebieskim odcieniu pod gęstymi, ciemnymi brwiami. W jego oczach i wyrazie ust był jakiś rys melancholii. Może dlatego poczuła z nim niewytłumaczalną więź.

Pan Sellars kiwnął głową i oddalił się, nie przedstawiając ich sobie nawzajem. Młody człowiek wyciągnął rękę, żeby pomóc Louisie wsiąść na konia.

- Jesteś nowym stajennym - odezwała się, patrząc w te niebieskie oczy. - Witaj. Nazywam się Louisa Finch.

Kiedy już siedziała w siodle, zdjął czapkę i kłaniając się, powiedział:

- A ja jestem Claude Mableau.

## Rozdział czternasty

Claude wsiadł na pięknego czarnego wałacha, który tak bardzo przypominał mu utraconą Coco, choć ten koń bez wątpienia miał lepszy rodowód. Cieszył się z dosiadanania tak wspaniałego wierzchowca, choć towarzystwo młodej damy trochę go peszyło.

Na oko mogła być od niego o jakieś dwa lata młodsza, miała dołki w policzkach i uśmiech, od którego w stajni zrobiło się jakby jaśniej. Samo patrzenie na nią zapierało mu oddech w piersi.

Kim była ta dziewczyna? Słyszał, że lord i lady Rappard spędzają lato w Brighton, znał ich syna George'a, jednego z przyjaciół Tranville'a, ale nikt nie wspominał o dziewczynie mieszkającej w Rappard Hall. Należała do rodziny? A może była służącą?

Jej strój do konnej jazdy nie wyglądał aż tak wytwornie jak amazonki niektórych dam widywanych przez niego w Anglii. Może więc była służącą. Tylko komu ze służby pozwolono by jeździć na tak pięknym koniu jak Pomona?

Anglików jednak trudno zrozumieć.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zły, że musiałeś ze mną jechać? - odezwała się lekko, swobodnym tonem.

Zły? Że siedzi na koniu? Że może spędzić z nią trochę czasu? To był powód do radości!

- Nie jestem zły - odpowiedział.

Wyjechali ze stajni na słońce.

- Jesteś Francuzem! - Powiedziała to tak, jakby odkrycie tego faktu sprawiło jej przyjemność.

- Przyjechałem z Brukseli. - Miał powód, żeby nie wyjawiać prawdziwej narodowości.

Minęli padoki. Pracujący na nich ludzie w ogóle nie zwrócili na nich uwagi.

- Dokąd chce pani jechać? - zapytał, gdy znaleźli się na otwartej przestrzeni.

- Najdalej jak się da! - zawołała, spinając konia do galopu.

Nim zrobił to samo, przez chwilę patrzył za nią zaskoczony. Gnali przez gęstą wysoką trawę w kierunku wzgórz, na których pasły się owce. Pomona upajała się biegiem, a Apollo rwał przed siebie, jakby go wypuszczono po długim zamknięciu.

Claude czuł się niemal szczęśliwy.

Na widok żywopłotu krzyknął ostrzegawczo, ale panna Finch z łatwością pokonała go skokiem pełnym gracji. Apollo nawet nie potrzebował zachęty, żeby przefrunąć nad przeszkodą.

- Fantastycznie, prawda?! - zawołała do niego po chwili.

Uznał, że konie powinny trochę odetchnąć po galopie i już zamierzał jej to powiedzieć, kiedy sama ściągnęła wodze.

- Niedaleko jest strumyk - powiedziała. - Możemy tam napić konie.

Kiedy podjechali bliżej, Claude usłyszał bulgot wody spływającej po kamieniach. Brzmiał jak muzyka. Z pastwiska po drugiej stronie spoglądały na nich z zaciekawieniem owce o czarnych pyskach.

- Czyż to nie piękne miejsce? - spytała z zachwytem panna Finch.

Nie miał ochoty przyznawać, że jakieś miejsce w Anglii jest piękne, choć to akurat przypominało idylliczny sen.

Bez słowa pomógł jej zsiąść, a następnie podprowadził wierzchowce ku krawędzi brzegu, żeby mogły dosięgnąć wody.

Panna Finch z wdziękiem spoczęła na trawie.

- Usiądź ze mną, Claude - poprosiła.

Zawahał się, niepewny, czy wypada, żeby stajenny tak się zachowywał. Doszedł jednak do wniosku, że jako Francuz jest równy każdemu mężczyźnie... i kobiecie. Usiadł koło niej.

- Opowiedz mi o Brukseli. I dlaczego opuściłeś swój kraj, żeby tu przyjechać.

- Chciałem podróżować - odparł, wzruszając ramionami.

- Też bardzo bym chciała, ale raczej nie wybrałabym się akurat do Lancashire - skomentowała z uśmiechem. - Nie pojmuję, co cię tu przyciągnęło.

Nie co, tylko kto. Jeden człowiek. Ale nie mógł tego wytłumaczyć tej ślicznej dziewczynie.

- A pani stąd pochodzi?

Odwróciła wzrok, ale zdążył dostrzec w jej oczach cień smutku.

- Wychowałam się w Sudbury. To niedaleko Newmarket.

- Słyszałem o Newmarket. - Ten region słynął z hodowli znakomitych koni i z wyścigów.

- Ale od dwóch lat mieszkam w Rappard Hall - mówiła dalej. - Jestem... jak nazywamy to w Anglii, zubożałą krewną. Lady Rappard, kuzynka mojej matki, była na tyle miła, że użyczyła mi dachu nad głową.

Claude ściągnął brwi. Więc jednak należała do rodziny.

Widać błędnie odczytała jego minę, bo zadzierając podbródek, dodała:

- Nie powinienes mi współczuć, bo wcale źle nie trafiłam. Poza tym lady Rappard mnie potrzebuje. Pani Dart, nasza ochmistrzyni, jest już tak sędziwa, że potrzebuje mojej pomocy w prowadzeniu domu.

- Jest pani ochmistrzynią? - spytał jeszcze bardziej zdezorientowany.

- Nie, nie. Jedyne w ten sposób odpłacam lady Rappard za utrzymanie.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Wyglądało na to, że nie jest ani pełnoprawnym członkiem rodziny, ani prawdziwą służącą, tylko kimś pośrodku. Poza tym nie wiedział, czy przypadkiem nie naraża się na zwolnienie, gdy tak sobie swobodnie z nią rozmawia.

- To naprawdę nic straszego! - zapewniła z wymuszonym entuzjazmem. - Oczywiście teraz, kiedy w domu mieszka George i ci jego koledzy, jest znacznie więcej do roboty.

Kuzyn George. Do jego kompanów należał Edwin Tranville. Człowiek, którego Claude przyjechał zamordować.

Chmury zakryły słońce, woda w strumieniu przestała błyszczeć. Claude przypomniał sobie, że przybył w to miejsce nie po to, by się zakochać w angielskiej dziewczynie, choćby nie wiedzieć jak pięknie się do niego uśmiechała.

- Przyjechałem tu na dachu ich powozu, ale tak naprawdę nie widziałem tych dżentelmenów - powiedział.

A bardzo chętnie by się o nich czegoś więcej dowiedział. Na przykład o której chodzą spać? Która sypialnia należy do Tranville'a?

Panna Finch spojrzała na niebo i podniosła się z ziemi - Chyba powinniśmy wracać.

Claude przyprowadził konie i pomógł jej wsiąść. Tym razem nie zachwycał się dotykiem jej dłoni, bo jego myśli bez reszty wypełnił Edwin Tranville. Zastanawiał się, jak mógłby go dopaść sam na sam.

Tym razem jechali znacznie wolniej i nie odzywali się do siebie. Claude trzymał się z tyłu i choć wciąż głowę miał zaprzątniętą rozmyślaniami o planowanej zemście, nie mógł nie zauważyć, jak zgrabnie panna Finch wygląda w siodle i jak pewną ręką prowadzi wierzchowca.

Kiedy ich oczom ukazało się Rappard Hall, Claude pomyślał z niechęcią, że we Francji ta rodowa rezydencja byłaby określana jako *château*, choć francuskie zamki z reguły były znacznie ładniejsze. Owszem, budynek miał imponujące rozmiary, lecz został zaprojektowany na kształt wielkiego pudła, a ściany z czerwonego kamienia porastały bluszcz i mech. Nad drugim piętrem sterczała wieża, która nadawała całości wygląd dziecięcej budowli z klocków. Jednak to okna najbardziej interesowały Claude'a. Które z nich mogło należeć do pokoju Tranville'a?

- Pojadę z panią pod drzwi, a potem zabiorę Pomonę do stajni - zaproponował.

Uśmiechnęła się do niego, jakby jej wyświadczał przysługę.

- To miło z twojej strony, Claude.

Wcale nie był miły. Chciał po prostu przyjrzeć się domowi z bliska, sprawdzić, którądy mógłby wejść do środka, żeby znaleźć Tranville'a.

I go zabić.

Gabe zapakował bagaże do giga i spojrzał wyczekująco na Emmaline. Stała sztywno wyprostowana, z twarzą odwróconą w bok. Od czasu, gdy przy śniadaniu dosiadł się do nich jego brat, zachowywała się dziwnie.



Cóż za wyjątkowy pech. Dlaczego członek jego rodziny musiał przyjechać do Manchesteru w tym samym czasie, zatrzymać się w tej samej karczmie i wejść do jadalni w momencie, kiedy siedział tam z Emmaline? Pojawienie się Paula opóźniło ich wyjazd, stracili prawie pół dnia.

Co gorsza, Paul gapił się na Emmaline, jakby była zwykłą dziewczką, z którą Gabe umiał sobie czas w podróży. Targnęła nim złość na wspomnienie miny brata i jego znaczącego tonu.

Postawił dach giga, żeby zapewnić Emmaline osłonę przed słońcem lub deszczem, po czym odwrócił się, żeby pomóc jej wsiąść.

Cofnęła się przed jego wyciągniętą ręką.

- Jak mogłeś mi to zrobić, Gabrielu?

Cóż miał odpowiedzieć? Przypuszczenia Paula były grubiańskie, ale nie do końca pozbawione racji. Ostatecznie on i Emmaline stanowili parę kochanków. Ostatnia noc to potwierdziła.

- Pojawienie się mojego brata było niefortunne... - zaczął.

Niecierpliwie machnęła dłonią.

- Myślisz, że o to mi chodzi? Złamałeś dane mi słowo! Wymyślasz odwiedziny u swojego wuja, choć wiesz, że nade wszystko pragnę znaleźć Claude'a i go powstrzymać.

- Myślisz, że złamałem słowo? - Nie krył zdumienia.

Czyżby naprawdę miała o nim aż tak kiepskie zdanie, że podejrzewała go o zamiar zaniechania poszukiwań?

- A co mam myśleć, skoro słyszałam na własne uszy, jak o tym mówiłeś? - Skrzyżowała ramiona na piersi. - Nie mam ochoty na żadne odwiedziny, Gabrielu. Nie pojedę z tobą.

Koń grzebnął kopytem, gotowy ruszyć w drogę. Gabe także był gotowy. Zawarł z nią układ, że powstrzyma jej syna przed zamordowaniem Edwina Tranville'a, i choć szanse powodzenia były nikłe, zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby osiągnąć ten cel.

- Szukamy Claude'a, Emmaline - powiedział z naciskiem, patrząc jej prosto w oczy. - To, co mówiłem bratu, było zwykłą wymówką, mydleniem oczu. Tobie powie-

działem prawdę. - Po krótkiej pauzie dodał: - Miałem mu powiedzieć, że jedziemy za twoim synem, bo nie chcemy, żeby zamordował syna angielskiego barona, a w czasie tej podróży sypiamy ze sobą?

Opuściła wzrok na czubki swoich butów.

- Nie wiedziałam - powiedziała prawie szeptem.

Już bez ociągania wsiadła do giga. Gabe zajął miejsce obok niej i cmoknął na konia. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio powoził, ale szybko sobie przypomniał dawno nabytą umiejętność i bez trudu wyprowadził pojazd na główny trakt.

Wyraźnie przygaszona Emmaline siedziała w milczeniu. Pochopnie osądziła Gabe'a, skrzywdziła go złą myślą i złym słowem.

- Do mojego wuja jedzie się na północny zachód, a my skierujemy się na południe, w stronę Londynu. Bo wiesz, albo Londyn, albo Brighton wydają mi się najbardziej prawdopodobne jako cel ich podróży.

Przy wyjeździe z Blackburn, w tłoku powozów, bryczek i jeźdźców koń trochę się płoszył, ale Gabe go uspokoił, pewną ręką ściągnając lejce.

- Przepraszam, Gabrielu - odezwała się w końcu Emmaline. - Dlaczego powiedziałaś bratu, że jesteśmy zaręczeni?

Naprawdę nie rozumiała? Rzucił jej ironiczne spojrzenie.

- Wpadłem na zabawny pomysł, żeby bronić twojej reputacji.

- Aha - mruknęła.

- Nie zapomniałem warunków naszej umowy, jeśli o to ci chodzi. - Doprawdy trudno było zapomnieć, że poślubienie Gabe'a miało być z jej strony ceną czy też ofiarą za uratowanie syna.

Gabe miał nadzieję, że namiętne zbliżenie coś między nimi zmieni, ociepli ich stosunki i przywróci dawną swobodę obcowania. Był naiwny, że w to wierzył. Owszem, zamierzał dalej z nią sypiać, jeśli będzie sobie tego życzyła, bo niby dlaczego miałby się wyrzekać tak wielkiej przyjemności, jednak zapamiętał już raz na zawsze, że to, co ich łączy, w żaden sposób nie dorównuje jej więzi z synem.

Jechali w milczeniu przez parę godzin, aż wreszcie w oddali ukazała się gospoda.

- Zatrzymamy się tu - oznajmił Gabe. - Koń trochę odpocznie, a my popytamy o Edwina i o Claude'a.

Żadna z zagadniętych osób nie pamiętała ani czterech młodych dżentelmenów w prywatnym powozie z herbem na drzwiach przedstawiającym ptaka, ani podróżującego samotnie młodego Francuza.

Zatrzymywali się w każdym przydrożnym zajeździe, zadawali te same pytania i otrzymywali takie same odpowiedzi. Dojechali prawie do Manchesteru, nim Gabe zawrócił, wybierając inną trasę z powrotem do Blackburn, żeby rozpytywać w kolejnych miejscach. Odpowiedzi wciąż pozostawały te same. Ani śladu po Edwinie Tranville'u czy Claude'u.

Gabe szczerze współczuł Emmaline, bo wiedział, że z każdą milą narasta w niej rozpacz.

Na ostatni postój, już blisko Blackburn, zajechali o zmierzchu.

- Powinniśmy zostać tu na noc - powiedział Gabe. - Jutro ruszymy w inną stronę.

Emmaline tylko pokiwała głową. Była wyczerpana i zgnębiona.

Spędzili noc w jednym pokoju. Kochali się, ale w ich ciała wdarło się napięcie dominujące podczas całego dnia. Gabe bardzo się starał dodać Emmaline otuchy i uśmierzyc jej lęk, że może być już za późno.

Następnego ranka kupił gazetę, żeby sprawdzić, czy nie piszą o popełnionym morderstwie. Na szczęście nic takiego nie znalazł.

Tym razem wyruszyli w stronę Morza Irlandzkiego, przejeżdżając przez Preston, Leyland i Chorley. Starali się sprawdzić każdą trasę, którą mógł wybrać Edwin i jego kompani.

Niczego się nie dowiedzieli.

Kolejne dwa dni minęły im na badaniu szlaków prowadzących na północ i zachód. Emmaline popadała w coraz głębszą rozpacz, a Gabe nie potrafił jej pocieszyć.

- Jutro znów spróbujemy - obiecywał, trzymając ją nocą w ramionach.

Cierpiał wraz z nią, gdy tak się zamartwiała, ale nie umiał ulżyć jej w bólu.

- A jeśli już jest za późno? - chlipała, przytulona do jego piersi. - Jeśli już jest za późno?

Claude zamiatał podłogę w pobliżu drzwi stajni, czując miłe ożywienie na myśl, że zaraz ujrzy Louise Finch. Co rano o tej porze odbywała konną przejażdżkę, a on dbał o to, żeby być w pobliżu i otrzymać polecenie, by jechać z nią jako eskorta.

Nie, nie chodziło o Louise Finch. Nie wolno mu było poświęcać jej za wiele uwagi. Wmawiał sobie, że cieszy go perspektywa dosiadanania znakomitego Apolla, puszczania się galopem przez pola i wzgórza. Pęd powietrza szarpiącego ubranie i wypełniającego płuca sprawiał mu tak wielką przyjemność, że prawie zapominał o zemście.

Prawie.

Nocą wychodził z łóżka i podkradał się pod dom.

Odkrył już, które drzwi pozostawiano niezamknięte na klucz. Udało mu się zobaczyć Tranville'a, choć nadal nie wiedział, w którym pokoju sypia. Planował, że kiedy się tego dowie, zaskoczy go, każe mu wyjawic nazwiska dwóch żołnierzy, którzy zabili jego ojca, a potem wbije mu sztylet prosto w serce.

Rano, kiedy ciało Tranville'a zostanie znalezione, on będzie już daleko.

Martwiło go tylko jedno. Wszyscy, a więc i Louisa, dowiedzą się, że to on zabił Tranville'a. To, że wszyscy było mu obojętne, ale Louisa... Do tego nigdy nie zrozumie, dlaczego stał się mordercą i znienawidzi go za ten straszny czyn.

Usłyszał czyjeś kroki. Gdy uniósł wzrok, zobaczył, że ku niemu idzie Louisa.

Spodziewał się, że tak samo jak przez ostatnie trzy dni poprosi o osiodłanie Pomony, a potem razem pojedą na przejażdżkę. Serce zabiło mu szybciej na widok jej zaróżowionych policzków i błyszczących oczu.

- Dzień dobry, Claude. Pojedziesz ze mną? - Tego ranka jej uśmiech wydał mu się jakiś wymuszony, a głos smutny.

Co się mogło stać? Zawsze gdy przychodziła do stajni, sprawiała wrażenie szczęśliwej, jakby swobodny galop dawał jej radość i poczucie wolności, podobnie jak jemu.

- Tak, panienko. - Ukłonił się, zdejmując czapkę. - Mam osiodłać Pomonę?

- Tak, proszę.

Kiedy przygotowywał Pomonę i Apolla do jazdy, w ogóle się do niego nie odzywała. Takie zachowanie było do niej zupełnie niepodobne.

- Coś panią trapi, panienko? - odważył się spytać.

- Czy mnie trapi? - Uśmiechnęła się z przymusem. - Nie, nic. Chyba mam chandrę. Ale to minie.

Nie wiedział, co to jest chandra, ale coś zepsuło jej zwykle dobry humor.

Pomógł Louisie wsiąść na konia i jak zwykle dotyk jej dłoni pobudził mu zmysły, lecz tym razem poczuł się winny, jakby pozwalał sobie wobec niej na coś niestosownego.

Opuściwszy stajnię, zobaczyli czterech młodych mężczyzn - między nimi Tranville'a - zmierzających w ich stronę. Claude pilnował się, żeby nie podnosić na nich wzroku.

- A więc to tu znikasz, kuzynko - odezwał się George Rappard.

- Lubię rano pojeździć konno - odpowiedziała napiętym głosem.

Żaden z młodych mężczyzn nie zwrócił uwagi na Claude'a, natomiast on ukradkiem zerknął na Edwina Tranville'a. Oszpecona blizną twarz w porannym świetle miała ziemisty kolor.

- Gdzie jest łowczy? - zapytał ją kuzyn. - Mamy ochotę pójść na ryby i potrzebujemy wędek.

- Nie mam pojęcia, gdzie on jest - odpowiedziała - ale wędkę powinniście znaleźć w szopie.

Claude mógł zaoferować, że im je znajdzie. Może kazaliby mu pójść z nimi, tak jak kazano mu towarzyszyć Louisie w przejażdżce. Mógłby zyskać okazję do konfrontacji z Tranville'em i do dokonania zemsty.

Wystarczyło, żeby się odezwał.

I zostawił Louise.

Sztywno wyprostowana w siodle, ścisnęła konia piętami, zmuszając go do stępa.

- Miłego dnia, kuzynie. Panom także.

Claude ruszył za nią.

Kiedy znaleźli się na tyle daleko, że kuzyn George i jego towarzystwo nie mogli ich słyszeć, poprosiła:

- Nie galopujmy dzisiaj.

- Jak pani sobie życzy, panienko.

- Pomyślałam, że moglibyśmy pojechać do opactwa. Opactwo? Claude nie wiedział, że w heretyckiej Anglii w ogóle są klasztorne budowle.

- George i jego goście tam nie przyjdą. A ja... ja nie chciałabym im przeszkadzać, kiedy będą łowić ryby w strumieniu.

Poprowadziła go na ścieżkę, którą nigdy wcześniej nie jechali. Claude podążał za nią, ale myślami był daleko. Widok Tranville'a obudził w nim żywe wspomnienie wydarzeń w Badajoz. Niemal czuł w nozdrzach zapach krwi ojca i przepity oddech Edwina. Potrząsając głową, próbował się wyzbyć nieprzyjemnego wrażenia. Nie chciał, żeby myśli o tym podłym typie psuły mu krótkie chwile spędzane z Louisą. Zwykle kiedy z nią jeździł, trawa wydawała mu się bardziej zielona, niebo bardziej niebieskie, a polne kwiaty mocniej pachniały.

Jednak tego dnia jej nastrój - i jego także - przypominał ciemną chmurę. Czuł się tak, jakby ogarniał go mrok.

Po wjechaniu na szczyt wzgórza Claude spytał zdziwiony:

- To ma być opactwo? - Patrzył na gruzy wyznaczające zarys niegdysiejszych murów. Zachowała się tylko jedna wieża. Choć nie miała dachu, dawała pojęcie o tym, jak wspaniała budowla musiała niegdyś stać w tej niewielkiej dolinie.

- Czyż nie jest piękne? - wykrzyknęła Louisa, odzyskując nieco zwykłego wigoru.

Dla Claude'a widok był raczej przygnębiający niż piękny.

- Podjedźmy bliżej. - Ruszyła ścieżką prowadzącą w dół.

Przy gruzach zsiadli z koni i pozwolili im odejść do płynącej obok strugi, by zaspokoili pragnienie. Claude domyślił się, że ten wąski pasek wody, który można było z łatwością przeskoczyć, musi być odnogą strumienia, w którym zwykle poili wierzchowce, a teraz Tranville i reszta łowili ryby.

Przeszli pod łukiem zbudowanym podobnie jak resztki murów i wieża z czerwonego kamienia, tego samego, który posłużył za budulec Rappard Hall. Louisa zadarła głowę, spoglądając na majestatycznie wysoką ścianę z otworami po oknach.

- To miejsce napawa mnie spokojem.

- Przecież to rumowisko. Co tu się stało?

- Przed wiekami król Henryk VIII przejął wszystkie opactwa, a Cromwell sprzedał ziemię różnym ważnym ludziom. Stąd wzięli się tutaj przodkowie lorda Rapparda. Od tamtej pory to ich własność.

Claude słyszał o tym angielskim królu, który wyparł religię katolicką, żeby się rozwieść z jedną żoną i poślubić drugą.

- Pozwolili, żeby niszczała?

- Pewnie rodzina zapragnęła nowego, wygodniejszego domu. Kamieni z ruin opactwa używano do budowy Rappard Hall.

To wyjaśniało, dlaczego zachowały się tylko szczątki wspaniałej budowli.

Louisa przysiadła na kawałku muru, gdzie kiedyś musiał się znajdować parapet okna, i rozejrzała się dokoła.

- W nocy gromadzą się tu zjawy, duchy zabitych mnichów. Widziano też kobietę w bieli wędrującą pokojami. Mówi się, że czeka na kochanka, który ma wrócić z morza. Biedaczka nie może uciec z tego miejsca... - Nagle ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła łzami.

Zaskoczony i przerażony Claude, nie myśląc o tym, co robi, podbiegł do niej i otoczył ramionami.

- Panienko, co się dzieje? Czemu pani płacze?

Stężała, ale nie odsunęła się od niego. Podał jej chusteczkę wyjętą z kieszeni, na szczęście czystą.

- Zachowuję się niemądrze. - Otarła oczy. - Zwykle się tak nie rozklejam.

Potrzebował chwili, żeby pojąć znaczenie ostatniego słowa.

- Żyje mi się tu całkiem dobrze - mówiła dalej Louisa. - Nie narzekam, tylko... mój kuzyn i jego koledzy są tacy niemili. Krzyczą, hałasują i biegają po całym domu. Opróżniają piwniczkę lorda Rapparda i marnują tyle jedzenia. Stłukli już kilka sztuk porcelany, którą tak lubiła lady Rappard. - Znów dotknęła chusteczką oczu. - To okropne. Oni rozmawiają jak... jak łotry. Nawet w mojej obecności. I do tego muszę przed nimi chronić młode pokojówki... Jak ja mam tego dość! - Ponownie zalała się łzami.

Na wzmiankę o jej kuzynie i jego kompanach Claude bezwiednie zacisnął dłonie w pięści.

- Z pewnością wkrótce wyjadą - podsunął, ciekaw odpowiedzi.

- George narzeka, że muszą tu tkwić jeszcze miesiąc, aż dostanie kwartalne apanaże.

Miesiąc? Claude nie zamierzał czekać tak długo z dokonaniem zemsty. Z drugiej strony miesiąc pracy w stajni i regularnych przejażdżek z Louisą wydał mu się całkiem miłą perspektywą.

- Gdzie zwykle spędzają czas? Może mogłaby pani ich unikać? - Zadając pierwsze pytanie, oczywiście chciał się dowiedzieć, gdzie mógłby spotkać Tranville'a.

- Wszędzie ich pełno. Moją jedyną ucieczką są te poranne przejażdżki z tobą.

Powinien się cieszyć, że ta śliczna dziewczyna, która wydawała mu się doskonała pod każdym względem, lubi spędzać z nim czas i traktuje go jak przyjaciela, a nie jak sługę. Wiedział, że to właśnie powinien czuć. A jednak był zły, że nie dowiedział się od niej nic użytecznego.

- Och, Claude! - zaszlochała, przywierając do jego piersi.

Nie miał wyboru, musiał ją przytulić. Jej przyjemny świeży zapach i delikatne krągłości szybko odwiodły jego myśli od planowanej zemsty.

- Czuję się lepiej - powiedziała, odrywając się w końcu od niego. - Czasami dobrze się porządnie wypłakać. Pojedziemy jeszcze kawałek dalej?

Pokiwał tylko głową, zbyt przejęty tym, co zaszło, żeby się odezwać. Kiedy podszedł ją na siodło, uśmiechnęła się do niego tak, że poczuł ciepło w sercu.

Wjechali na zbocze wzgórza po drugiej stronie doliny, skąd widać było malownicze zabudowania farmy, znacznie mniejsze od Rappard Hall.

- Ta farma stoi na granicy posiadłości Rappardów - wyjaśniła. - U stóp wzgórza biegnie droga. Możemy nią wrócić do naszych stajni.

W drodze powrotnej Louisa miała zdecydowanie lepszy nastrój, natomiast Claude czuł w głowie zamęt, na który składało się wiele powodów: zachowanie panny Finch, spotkanie z Tranville'em i wreszcie to, po co przyjechał do Rappard Hall.

W stajni jak zwykle pomógł jej zsiąść z konia, a ona uściśniła go i wróciła do swojego smutnego życia.



Tej nocy w pokoju, który dzielił z innymi stajennymi, Claude nie zmrużył oka, tylko wiercił się na łóżku. To nie chrapanie kolegów przeszkadzało mu w zaśnięciu, lecz myśli krążące uparcie wokół Louisy, pierwszej dziewczyny, która obudziła jego zmysły. Ironia losu sprawiła, że spodobała mu się Angielka. Nawet gdyby byli sobie równi statusem i byli we Francji, nigdy by się nie zalecał do Angielki.

Ale cóż, takie rozważania nie miały sensu. Usiadł na łóżku i potarł się dłońmi po twarzy. Nie miał czasu na żadne romantyczne uniesienia, ponieważ czekało go ważniejsze zadanie.

Naciągnął na siebie spodnie i koszulę, po czym wyszedł z pokoju, trzymając buty w rękę, żeby je włożyć na zewnątrz. Noc była gwiaździsta, księżyc bliski pełni swym blaskiem srebrzył trawę.

W oknach górnego piętra rezydencji paliły się światła. Claude ruszył w tamtą stronę niczym ćma przyciągana przez płomień. Zatrzymał się dopiero w miejscu, skąd miał dobry widok na oświetlone okna, a sam nie mógł zostać dostrzeżony.

Czekał, sztywniejąc z zimna, wilgoci i zmęczenia. Oczy mu się kleiły, musiał walczyć ze sobą, żeby nie zasnąć na stojąco.

W oknie ukazała się sylwetka mężczyzny unoszącego do ust butelkę. Tranville? Claude wstrzymał oddech i wyteżył wzrok, by się upewnić. Mężczyzna zniknął, a po chwili podszedł do okna ze świecą. Na moment płomień oświetlił jego twarz przeciętą długą blizną.

To był Tranville.

Claude wreszcie wiedział, który pokój należy do niego.

## Rozdział piętnasty

Gabe obudził się w kolejnej przydrożnej gospodzie. Zamrugał, próbując sobie przypomnieć, gdzie się znajdują.

Clitheroe.

Pojechali na północ w stronę Lancaster, ale dość szybko się okazało, że ten trop również prowadzi donikąd. Jako następny kierunek Gabe wybrał zachód. Wracając do Blackburn, postanowili zatoczyć koło innymi, znacznie mniej uczęszczanymi drogami. Nawet ich specjalnie nie zdziwiło, że żadna z napotkanych na trasie osób nie widziała czterech podróżujących razem młodych dżentelmenów.

Dokąd, u licha, mogli się udać?

Jakby się zapadli pod ziemię. Oczywiście istniała możliwość, że szukając ich, Gabe i Emmaline ominęli tę jedną drogę, nie wstąpili do właściwej gospody i nie zapytali osoby, która akurat mogła ich widzieć.

Popatrzył na leżącą obok Emmaline. Nawet we śnie wyglądała na zmartwioną i przestraszoną.

Serce mu się ścisnęło na myśl, że tak bardzo ją zawiódł.

Kości go bolały od długotrwałej jazdy po wyboistych drogach, marzył o rozciągnięciu obolałych mięśni, bał się jednak, że wstając, mógłby ją obudzić, a przecież tak bardzo potrzebowała odpoczynku.

Jakże inaczej wyglądały ostatnie trzy dni w porównaniu z okresem, który spędzili razem w Brukseli. Wtedy czuli się ze sobą swobodnie, a czas upływał im spokojnie i miło. Teraz Gabe widział, jak z każdą upływającą godziną w Emmaline narastają lęk i napięcie.

Był pewien, że musiał coś przeoczyć. Coś, co mogło skierować poszukiwania na właściwy tor. Próbując znaleźć brakującą wskazówkę, jeszcze raz przebiegł w myślach wszystko, czego się dowiedzieli, odtworzył w pamięci miejsca, które sprawdzili. Niestety, nic sensownego nie przyszło mu do głowy.

Nie mogąc wytrzymać w łóżku ani chwili dłużej, wstał, nalał wody do miednicy, przetarł ciało zmoczonym ręcznikiem, a potem namydlił twarz i zaczął się golić. Spoj-

rzawszy w lustro, napotkał wzrok Emmaline, która obudziła się i patrzyła na niego wsparta na łokciu. W jej wzroku wyczytał tę samą bezsilność, która i jemu nie dawała spokoju.

Kiedy już umyty i ogolony kończył się ubierać, Emmaline wstała i przystąpiła do rozczesywania włosów. Przeciągała po nich szczotką zdecydowanym, lecz jednocześnie pełnym gracji ruchem.

- Może rozejrzę się za gazetą? - zaproponował Gabe, wkładając buty.

Emmaline wzdrygnęła się, jakby powiedział coś niestosownego.

- Czy to może trochę poczekać?

- Oczywiście. - Wstał. - W takim razie zamówię śniadanie. Chciałabyś zjeść tu, w pokoju?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Poczekaj na mnie. Ubiorę się szybko.

Podszedł do niej i stojąc za jej plecami, odwrócił ją do siebie i przygarnął do piersi.

- Czego tylko sobie życzysz, Emmaline - powiedział.

- Co dalej? - Wtuliła się w niego. - Szukaliśmy już wszędzie.

- Wrócimy do Londynu i zaczniemy od nowa.

Prawdopodobnie na próżno, dodał w duchu.

Już w drodze Emmaline usiłowała jakoś się pocieszyć. Przecież nie znaleźli w gazetach żadnej wzmianki o zamordowaniu Edwina, no i był kolejny słoneczny dzień. Wiedziała, że powinna się cieszyć z dobrej pogody, bo gdyby padało, ich wędrówka byłaby znacznie powolniejsza i bardziej uciążliwa.

Powinna też być wdzięczna Gabrielowi za jego cierpliwość i gotowość jeżdżenia po okolicy, sprawdzania każdej trasy, zaglądania do każdej przydrożnej gospody. Gdzieś w Anglii, w miejscu, którego nie udało im się znaleźć, Claude zbliżał się do Edwina, żeby go zamordować. A może już to zrobił i czekała na niego szubienica? Wówczas mogłaby się jedynie z nim pożegnać.

Otrząsnęła się z przygnębiających myśli, skupiając uwagę na mijanym krajobrazie. Rozległe pastwiska na łagodnych zboczach wzgórz przypominały jej Belgię.

- Na tych terenach pewnie hoduje się owce - odezwała się po długim okresie milczenia.

- Owszem. - A po chwili dodał: - Niedaleko jest farma, którą prowadzi mój wuj. Te pastwiska do niej należą.

- Naprawdę? - Ponownie rozejrzała się po połaciach świeżej zieleni. - To ten wuj, o którym rozmawiałeś z bratem? Ten, którego rzekomo mieliśmy odwiedzić?

- Tak.

Gabe planował tego dnia zwrócić konia z gigiem w Blackburn i obstalować na następny dzień przejazd dyliżansem do Londynu.

- Gabrielu, czy to ten sam wuj, o którym opowiadałeś mi w Brukseli, ten, u którego było ci tak dobrze? - drażyla

Emmaline, na moment zapomniawszy o własnych zmartwieniach.

- Ten sam.

- Może powinniśmy do niego wstąpić? Jesteśmy tak blisko, no i skoro powiedziałaś bratu...

- Jesteś pewna? - Popatrzył na nią uważnie.

Emmaline zdecydowanie pokiwała głową.

- Przecież należy do twojej rodziny. - Na ostatnim słowie głos jej się załamał.

Szybko odwróciła wzrok, żeby Gabe nie dostrzegł łez w jej oczach.

Wjechali na wąską drogę prowadzącą łagodnym zboczem na szczyt wzgórza, z którego widać było zabudowania farmy usytuowanej na dnie doliny. Otynkowany na biało dwupiętrowy dom otaczały wysokie drzewa i ogród pełen kwiatów. Z tyłu znajdowały się budynki gospodarcze, a nieco dalej kilka małych chat.

Podczas wędrówek w poszukiwaniu Claude'a mijali wiele posiadłości ziemskich ze wspaniałymi domami i otoczeniem świadczącym o zamożności właścicieli. Farma w dolinie prezentowała się znacznie skromniej i może dlatego tak bardzo spodobała się Emmaline. Bez trudu mogła sobie wyobrazić rodzinę mieszkającą i pracującą w tak malowniczym i przytulnym miejscu.

Kiedy podjechali bliżej, Emmaline zauważyła, że w ogrodzie pienia się chwasty, a większość okien w domu zasłonięta jest okiennicami. Poza szwendającym się po obej-

ściu psem i stadkiem kur nie widać było żadnych oznak życia. Jak można było dopuścić do takiego zaniedbania? - pomyślała ze smutkiem.

Jakby czytając w jej myślach, Gabe powiedział:

- Farma jest na sprzedaż, dom stoi pusty. Została tylko garstka pracowników do opieki nad owcami.

- Na sprzedaż? Co będzie z twoim wujem, jeśli zostanie sprzedana? Zostanie bez środków do życia? - Gabriel wspominał jej już wcześniej, że w całym kraju panuje dotkliwy brak wolnych posiad.

- Powinien otrzymywać emeryturę, ale został tu, żeby dopilnować wszystkiego. Nie wiem, co z nim będzie. - Po chwili wahania dodał: - Zastanawiałem się kiedyś nad kupnem tej farmy.

- Masz tyle pieniędzy? - W jej głosie pobrzmiwało zdziwienie. - Dlaczego jej nie kupiłeś?

- Straciłem motywację - powiedział ze smutkiem. - Poza tym jestem żołnierzem, nie farmerem.

Nie miała okazji zapytać go, co miał na myśli, mówiąc o stracie motywacji, ponieważ z budynku wyglądającego na stajnię wyszedł stary człowiek. Przystanął i wyęzając wzrok, patrzył w ich stronę, a potem żwawo ruszył im naprzeciw.

- Gabe! To naprawdę ty! - zawołał z radością. - Co za niespodzianka.

Wyskoczył z giga i serdecznie uściskał wuja. Emmaline przyglądała się im z oczami wilgotnymi od łez. Bardzo pragnęła takiego powitania z synem.

- Byliśmy w pobliżu - wyjaśnił Gabe, podprowadzając siwowłosego staruszka do giga. - Emmaline, to mój wuj, pan William Deane - przedstawił.

- Miło mi pana poznać, panie Deane - odezwała się uprzejmie Emmaline.

Czerwieniąc się lekko, Gabe dokończył prezentację:

- To jest... madame Mableau, wuju. Podróżujemy razem.

Uniosła brwi, zdziwiona, że akurat wujowi nie wspomniał o zaręczynach, on jednak uznał wyjaśnienie Gabe'a za wystarczające.

- Cieszę się, że mnie odwiedziliście. Właśnie miałem iść do chaty na herbatę. Młody Johnny jest w stajni, może się zająć waszym koniem. - Zawołał na stajennego.

Emmaline w milczeniu dała się poprowadzić ścieżką do niewielkiego, krytego strzechą domku. Wnętrze przypominało trochę jej mieszkanie w Brukseli: na dole znajdował się główny pokój z wejściem do kuchni usytuowanej na tyłach oraz schody prowadzące na piętro. Zasadnicza różnica polegała na tym, że tu brakowało kolorów i jakichkolwiek dekoracji. Nigdzie nie widać było nawet śladu koronki.

Wuj stał dłonią siedzenie krzesła.

- Proszę usiąść, panno... madame...

- Może po prostu Emmaline - zaproponowała z uśmiechem. - Pan i Gabriel musicie wymienić się nowinami. - Zdjęła czepek i rękawiczki i położyła na stoliku przy drzwiach. - Proszę mi pokazać, gdzie jest kuchnia, to zrobię herbatę.

Nastawianie wody i parzenie herbaty miało w sobie coś przyjemnie kojącego. Krzątając się po niewielkim, skromnie wyposażonym pomieszczeniu, słyszała dobiegający z pokoju głos Gabriela. Czowała się dobrze i swobodnie, choć dopiero co weszła do tego domu.

- Jak przebiega sprzedaż? - pytał Gabriel, kiedy Emmaline przyniosła dzbanek z herbatą i filiżanki.

- Jak dotąd nikt poważnie nie zainteresował się kupnem - odpowiedział wuj Will, przyjmując z rąk Emmaline napełnioną filiżankę. - Chodziły słuchy, że ziemię przejmie Jego Lordowska Mość, ale podobno wyjechał z żoną do Brighton, więc nie dowiem się niczego przed sezonem łowieckim, bo dopiero wtedy wrócą.

- Wuj ma na myśli lorda Rapparda, którego ziemie graniczą z farmą - wyjaśnił jej Gabriel.

- We wsi mówią, że do majątku zjechał ich syn i kilku jego kolegów, żeby się ukryć przed wierzycielami - powiedział wuj ze śmiechem. - Jego Lordowska Mość z pewnością nie będzie zachwycony, kiedy się o tym dowie.

- Jego syn tu jest? - zapytał Gabe zmienionym głosem.

- A owszem - potwierdził wuj. - Przyjechali jakiś tydzień temu. Appleton... pamiętasz go, Gabe? No więc kowal Appleton słyszał od Connora, który służy w posiadłości za lokaja, że pustoszą piwniczkę i rozrabiają, ile wlezie.

- Ilu ich jest? - zapytał Gabe, przeszywając wuja spojrzeniem.

- Ilu? - zdziwił się staruszek.
- Ilu kolegów przywiózł ze sobą syn właściciela?
- Nie wiem. Z tego co mówią, chyba więcej niż dwóch.

Gabriel poderwał się na nogi.

- Jadę tam.
- Czy to...? - Emmaline również wstała.
- Najpewniej tak - powiedział Gabe, sięgając po czapkę.
- W takim razie jadę z tobą.
- O co, u licha, chodzi? - spytał zdezorientowany wuj.
- Nie mogę ci teraz wytłumaczyć - zwrócił się do niego Gabe. - Szukamy kogoś,

kto prawdopodobnie przybył tu z młodym Rappardem.

- Ale...

Zostawiając wuja z otwartymi ustami, pobiegli do stajni. Gabe dotarł tam pierwszy i już zaprzęgał konia do giga z pomocą nieco zdziwionego stajennego.

- Zostań tutaj, Emmaline - poprosił, mocując uprząż.
- *Non* - odparła zdecydowanie. Już siedząc w gigu, zawiązała pod brodą wstążki czepka i wciągnęła rękawiczki. - Claude może być w pobliżu.

Gabe usiadł obok niej i ruszył znacznie szybciej niż poprzednio.

Pędzili gruntową drogą, wzniecając tumany kurzu. Tym razem Emmaline nie zwracała uwagi na krajobraz, tylko modliła się w duchu, żeby przecucie Gabe'a się potwierdziło i rzeczywiście znaleźli Edwina Tranville'a. Żywego.

Wkrótce dotarli przed potężną budowlę z czerwonego kamienia. Gabe zatrzymał giga niemal przed samym wejściem, pomógł Emmaline wysiąść i zastukał do drzwi. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Emmaline wyczytała w jego oczach własne obawy.

Jeśli Edwina tam nie ma... Jeśli się spóźnili...

Gdy po chwili w progu ukazał się lokaj w liberii, Gabe nie dopuścił go do słowa, tylko od razu spytał:

- Czy pan Edwin Tranville gości w tym domu?

Lokaj nie krył zaskoczenia.

- Mogę powiedzieć panu Tranville'owi, kto do niego przyszedł?

A więc jednak Edwin tu był! Zdążyli na czas!

Emmaline odetchnęła z ulgą.

- Kapitan Deane z dawnego oddziału Tranville'a - powiedział już spokojniejszym głosem Gabe. - Szukam go, żeby mu przekazać ważną wiadomość.

Lokaj odsunął się na bok, żeby ich wpuścić do domu.

- Proszę wejść.

Znaleźli się w holu z błyszczącą drewnianą posadzką. Na jednej ze ścian wisiał wielki obraz przedstawiający mężczyznę w zbroi, a naprzeciwko kilka sztuk broni umieszczonych symetrycznie wokół tarczy z rodzinnym herbem. Pośrodku herbu widniał sokół z rozpostartymi skrzydłami.

Emmaline popatrzyła na Gabriela, który kiwnięciem głowy potwierdził, że widzi to co ona.

- Mogą państwo poczekać w salonie, a ja sprawdzę, czy pan Tranville jest gotów przyjąć gości - oznajmił lokaj.

Gabriel podał mu czapkę i rękawiczki.

- Czy ktoś mógłby się zająć moim koniem? - spytał.

- Zaraz kogoś wyślę - powiedział lokaj, po czym odłożywszy rzeczy Gabe'a na stół w holu, poprowadził ich w głąb domu.

W salonie znajdował się rzeźbiony marmurowy kominek, nad którym wisiało ogromne lustro. Były tam też liczne sofy i fotele, jednak Gabriel i Emmaline pozostali w pozycji stojącej.

Lokaj skłonił się i odszedł.

- On tu jest - wyszeptała Emmaline.

- Dzięki Bogu - odparł Gabriel, chodząc nerwowo po salonie.

Emmaline nie odrywała wzroku od drzwi. Kolana jej się trzęsły, każdy oddech sprawiał wysiłek.

- Nie widziałam go od tamtego dnia.

Gabriel stanął przed nią, chwycił ją za ramiona i patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

- Nie może cię skrzywdzić.



Pokiwała głową, nie do końca uspokojona.

Czas oczekiwania dłużył im się w nieskończoność. Z każdą minutą wyznaczoną przez zegar stojący na gzymsie kominka serce Emmaline biło coraz głośniejsze.

Dlaczego Edwin Tranville tak długo się nie pojawiał?

## Rozdział szesnasty

W końcu na korytarzu rozległy się kroki.

Za moment Emmaline miała stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, który od lat przesładował ją w koszmarach, który ze śmiechem patrzył na śmierć jej męża, próbował ją zgwałcić i zabić Claude'a.

Któremu miała uratować życie.

Zmusiła się do spojrzenia w stronę drzwi.

Ujrzała w progu dość niskiego i lekko zgarbionego mężczyznę z brzuchem wielkim jak u brzemiennej kobiety. Zachwiał się, odgarniając z czoła kosmyk cienkich płowych włosów. Tak bardzo się zmienił, że pewnie by go nie rozpoznała, gdyby nie blizna sięgająca od skroni po brodę, ślad po nożu, którym sama go ugodziła.

Spojrzenie Edwina Tranville'a spoczęło na niej bez większego zainteresowania, po czym przeniosło się na Gabriela.

- A niech mnie! Co cię, u diabła, sprowadza, Deane? Ostatni raz, kiedy miałem wątpliwą przyjemność mieć z tobą do czynienia, kosztował mnie utratę posady.

Gabriel wyprostował się sztywno.

- Przeze mnie ją straciłeś? Może raczej przez pijaństwo? To za nie Sidmouth cię wywalił.

Edwin machnął ręką lekceważąco i opadł na fotel.

- Mniejsza z tym. Trochę nie za wczesna pora na składanie towarzyskich wizyt? Musieli mnie wyciągać z łóżka.

Emmaline popatrzyła na zegar.

- Zbliża się południe.

Edwin skierował na nią wzrok, unosząc brwi.

- Jeśli byliśmy sobie przedstawieni, madame, zupełnie wyleciało mi to z pamięci.

Nie mogła uwierzyć, że Edwin Tranville jej nie poznaje, podczas gdy jego twarz tkwiła wypalona w jej pamięci niczym piętno.

- Bez obraźliwych uwag - ostrzegł go Gabriel, stając tuż przy niej.

- Niby dlaczego? Tylko mi nie mów, że ona jest twoją żoną.

Gabe błyskawicznym ruchem złapał Edwina za kłapy surduta i jednym szarpnięciem ustawił go w pozycji stojącej.

- To nie jest wizyta towarzyska - warknął.

- Hej, co to ma... - Na twarzy Edwina odmalowało się zdumienie, a zaraz po nim strach, który zamknął mu usta.

- Posłuchaj mnie uważnie - zaczął Gabe. - To jest kobieta, którą próbowałeś zgwałcić i zabić w Badajoz.

Edwin próbował się wyrwać.

- Ja nigdy...

- Nie zaprzeczaj - przerwał mu Gabe złowieszczo ściszonego głosem. - Byłem tam, inni też. Widzieliśmy cię. - Puścił Edwina tak samo gwałtownie, jak go złapał. - To ona rozcięła ci twarz.

Edwin odruchowo dotknął blizny. Cofnął się chwiejnie, w jego oczach błysnęła nienawiść. Zaśmiał się nienaturalnie, mierzając wyprostowanym palcem w Gabriela.

- Zmyślasz, Deane. Mogę się założyć. Niepotrzebnie się silisz na żarty, bo przecież nie dla nich tu przyjechałeś. Nawet ja nie uwierzę, że pokonałeś taki kawał drogi... - Urwał nagle, łypiąc podejrzliwie na Gabriela. - Skąd, u diabła, wiedziałeś, że tu jestem? Do nikogo o tym nie pisałem.

- Szukaliśmy cię po całej okolicy.

Słuchając tej wymiany zdań, Emmaline zastanawiała się, czy rzeczywiście Edwin może nie pamiętać, co się wydarzyło w Badajoz? Nie, z pewnością kłamał.

- Szukaliście mnie? - Znów się zaśmiał. - A po co? Żeby mi wmawiać, że zrobiłem coś, czego nie zrobiłem?

- Próbowalesz zabić mojego syna - włączyła się Emmaline, zaskakując nawet samą siebie. - Nie pamiętasz tego? Nie pamiętasz, jak ostrze mojego noża rozcięło ci twarz, żeby cię powstrzymać?

Znów podniósł rękę do twarzy. Miał przy tym minę, jakby gorączkowo szukał czegoś w pamięci.

- Przecież ja... zostałem ranny w walce podczas oblężenia.

Gabriel pchnął go z powrotem na fotel.

- Chowalesz się przed walką, ale kiedy się skończyła, z wielką ochotą wziąłeś udział w plądrowaniu miasta. Nie wiem, czego jeszcze się dopuściłeś tamtego dnia, ale wiem, co próbowałeś zrobić tej kobiecie i jej synowi.

Edwin splótł ręce na wielkim brzuchu i skrzywił się, jakby go coś zabolalo.

- O co więc chodzi? Szukaliście mnie, żeby wycisnąć ze mnie pieniądze? Tak bardzo ci brakuje funduszy, Deane?

- Niczego od ciebie nie potrzebuję. Jeśli na chwilę przestaniesz gadać, powiem ci, po co tu jesteśmy.

Emmaline obawiała się wyjaśnień Gabriela. Czy syn barona mógł kazać aresztować Claude'a za planowanie morderstwa? Taka możliwość wydawała się całkiem prawdopodobna.

Gabriel przeszedł kilka kroków tam i z powrotem, aż wreszcie powiedział:

- Przybyliśmy tu, żeby ci ratować życie.

Edwin parsknął śmiechem.

- To prawda! - zawołała Emmaline.

Gabriel pochylił się ku niemu.

- Możesz mi wierzyć, że twoje życie nie ma dla mnie żadnego znaczenia, ale wiemy o kimś, kto chce cię zabić za to, co zrobiłeś w Badajoz. To o niego się martwimy, żeby nie popełnił zbrodni nawet na kimś takim jak ty.

- To jakieś bzdury. - Edwinowi wyraźnie trzęsły się ręce. - Nic nie zrobiłem. Nikt nie chce mnie zabić.

- On chce - powiedziała zdecydowanie Emmaline. - Może być gdzieś w pobliżu. Musisz pozwolić Gabrielowi, żeby cię chronił.

- Może się już na ciebie czaić - ostrzegł Gabe.

Edwin zapadł się głębiej w fotel.

- Nie! Nikt się na mnie nie czai.

- Posłuchaj - zaczął spokojnie Gabriel. - Byłeś z dwoma innymi żołnierzami, którzy zabili męża tej kobiety. Próbowaleś ją zgwałcić, ale jej syn rzucił się na ciebie, żeby ci to uniemożliwić. Usiłowałeś go zabić i wtedy ta kobieta rozcięła ci nożem twarz. Inny żołnierz przepłoszył tamtych dwóch, ale ja też zjawiłem się na czas. Byłeś pijany. Zostałeś odniesiony na kwaterę, co stanowiło spore ryzyko.

- Landon - powiedział Edwin szeptem, jakby do siebie. - Ale przecież wyniósł mnie spod murów, nie z miasta. Upadłem, próbując sforsować mury.

Gabriel pokręcił głową.

- Twój ojciec wymyślił tę bajeczkę. Zapewniam, nie chciałbym cię więcej widzieć, gdyby nie konieczność powstrzymania kogoś przed popełnieniem zabójstwa, za które mógłby zawisnąć.

Edwin odwrócił wzrok; widać było, że nad czymś się zastanawia. Po chwili, mrużąc oczy, wskazał na Emmaline.

- Jesteś z nim w zмовie. Jeśli nie chodzi wam o pieniądze, to pewnie o to, żeby mnie zrujnować! Deane zawsze mnie nienawidził. Płaci ci, żebyś potwierdzała jego wymysły?

W Emmaline zawrzała złość.

- Mówimy prawdę.

- To nie jest prawda! - zawołał Edwin podniesionym, nieco piskliwym głosem. - Nie zrobiłbym czegoś równie pospolitego. Ta blizna to wynik rany doznanej podczas oblężenia. Pamiętam. - Umknął spojrzeniem, głos mu zadrżał. - Wydaje mi się, że pamiętam.

- Chcemy, żebyś teraz z nami pojechał - podjął Gabe. - Zabiorę cię w bezpieczne miejsce. Może do domu twojego ojca...

Edwin wywrócił oczami.

- Mam złożyć swoje życie w waszych rękach? - zapytał z drwiną. - Dziękuję, nie skorzystam. Nie zgodziłbym się, nawet gdyby to, co mówicie, było prawdą. Zostanę tutaj i nie będę dłużej słuchał tych bzdur. To jakiś podstęp.

- To nie jest żaden podstęp! - zawołał Gabriel.

- To prawda - powtórzyła Emmaline.

Co jeszcze mogli powiedzieć, żeby go przekonać? Edwin pokręcił głową.

- Jestem za mądry, żeby się na to nabrać. Mam tę mądrość z racji urodzenia. Zawsze mi zazdrościłeś mojej pozycji, Deane.

- Jestem od ciebie wyższy rangą. Zostałem kapitanem na długo przed tobą - przypomniał mu Gabriel.

Edwin zmierzył go wzrokiem pełnym pogardy.

- Mam na myśli mój status dżentelmena. Po tobie od razu widać, że jesteś kupieckim synem.

Emmaline widziała, jak twarz Gabriela ciemnieje z gniewu. Zaciśnął pięści i pochylił się nad Edwinem, ale jakimś cudem zdołał nad sobą zapanować.

- Próbuję ci ratować życie - wycedził przez zęby.

- Żałosne bzdury! - rzucił drwiąco Edwin. Próbując wstać, zatoczył się tak mocno, że omal nie stracił równowagi. - Zaczynacie mnie nudzić. Zostawcie mnie w spokoju albo z przyjemnością każę was wyrzucić.

Więc mieli tak po prostu wyjść? Emmaline nie mogła uwierzyć, że przebyli tak długą drogę, zadali sobie tyle trudu tylko po to, żeby ich odprawiono.

- W takim razie nie możemy zrobić nic więcej - stwierdził Gabriel. - Miej oczy dookoła głowy i uważaj na siebie.

- Proszę nas wysłuchać... - Emmaline podjęła jeszcze jedną próbę, gdyż uważała, że samo ostrzeżenie Tranville'a nie wystarczy.

Jednak Edwin zbył ją niedbałym machnięciem i chwiejnie skierował się do drzwi. Już z ręką na klamce odwrócił się i powiedział:

- Przepraszam, ale mam atak biegunki.

Emmaline nie była w stanie powstrzymać okrzyku złości.

Claude ściągnął wodze, zmuszając Apolla do zwolnienia kroku, kiedy zbliżali się do Rappard Hall. Wiedział, że nie powinien dopuścić do tego, by ktoś widział, że jeżdżą ramię w ramię niczym równi sobie.

- Szkoda, że nie możemy ot tak, odjechać stąd do jakiejś odległej krainy - z westchnieniem powiedziała Louisa.

Poranek był tak piękny, jak tylko Claude mógł sobie wymarzyć, a do tego Louisa rozmawiała z nim jak z przyjacielem, jakby nie dzieliła ich tak istotna w Anglii różnica pochodzenia.

- Wiesz - mówiła na tyle głośno, żeby ją dobrze słyszał - mam wrażenie, że wyjawiałam ci wszystko, co mi leży na sercu, a ty prawie nic mi o sobie nie powiedziałeś.

- Nie mam zwyczaju mówić o sobie. - Bo niby co miałby jej powiedzieć? Że jest Francuzem? Że nie znosi jej kraju za klasowe uprzedzenia? Że poprzysiągł zemstę i ma zamiar popełnić zabójstwo?

Odwróciła się w siodle, żeby na niego spojrzeć.

- Naprawdę nie możemy być przyjaciółmi? - powiedziała ze smutkiem, który dziwnie go poruszył.

- *Non*. - Z wielu powodów, dodał w myślach.

Co by o nim pomyślała, wiedząc, że planuje dopaść i zabić Tranville'a pod tym samym dachem, pod którym sypiała?

Wiedział, że musi jak najszybciej doprowadzić swoją misję do końca.

Po sielankowym poranku z Louisą uświadomił sobie, że nie powinien zbyt długo pozostawać w Rappard Hall. Z każdą spędzoną razem godziną coraz lepiej się rozumieli, wzajemne towarzystwo sprawiało im coraz większą przyjemność. Zaczynał się bać, że za bardzo się do siebie przywiążą.

Zastanawiał się, czy Louisa będzie nim gardzić po tym, jak się dowie, że zabił Tranville'a. Ale czyż mogło by być inaczej? Ta myśl bolała go dotkliwie, jakby to jego ugodziło w pierś ostrze sztyletu.

- Boję się tam wracać - wyznała Louisa, spoglądając na rozpościerające się przed nimi zabudowania Rappard Hall.

- Rozumiem, twój kuzyn - skomentował Claude. - I jego goście. Żałuję, że nie mogę ich zmusić, by traktowali cię uprzejmiej. - Wiedział, że mówią do niej to, czego nie powinna słuchać porządna młoda kobieta, lecz przecież był tylko stajennym i nie miał możliwości stanąć w jej obronie. Gniew na impertynentów podsycala jeszcze świadomość własnej bezsilności.

- Będę ich unikać - postanowiła Louisa, oglądając się na niego z uśmiechem. - Nie dam im okazji do dokuczania, jeśli zniknę im z oczu.

Zbliżając się do domu, zauważyli przed wejściem niewielki jednokonny pojazd.

- Zastanawiam się, kto to może być - powiedziała Louisa, osłaniając oczy dla lepszego widoku. - Wygląda na mężczyznę w mundurze.

Kiedy nieznajomy okrążył powóz, zobaczyli, że ma na sobie czerwoną kurtkę brytyjskiego oficera.

Nerwy Claude'a natychmiast dały o sobie znać. Co mógł robić w posiadłości brytyjski oficer?

- Mam nadzieję, że przyjechał pogonić stąd mojego kuzyna i jego kompanów - powiedziała ze śmiechem Louisa.

Claude wyteżył wzrok, co nie było łatwe pod słońce. Oficer wszedł do powozu i zasłonił go podniesiony dach. Widać było jedynie jego ręce trzymające lejce. Powóz ruszył.

- Odjeżdża! - zawołała zmartwiona Louisa. - Nie było mnie na miejscu, żeby go przyjąć, a nigdy nie wiadomo, jak George się zachowa, na przykład może zlekceważyć ważną sprawę.

Claude zmarszczył czoło. Ten człowiek chyba go nie szukał? Nie, to niemożliwe. Nikt w Anglii o nim nie wiedział. Tylko matka знаła jego plany, ale z pewnością nikomu ich nie wyjawiała. Mimo wszystko żołnierz w czerwonej kurtce wydał mu się złym omenem, znakiem, że nie wolno mu dłużej zwlekać.

Wjechali na padok za stajniami. Claude popatrzył na Louise, która z wdziękiem siedziała w siodle. Starał się dobrze zapamiętać ten widok. Wyglądała tak ślicznie z wyprostowanymi plecami, wąską talią, brązowymi lokami wymykającymi się spod toczka. Miała pięknie wykrojone usta. Napotkawszy jego wzrok, wygięła je w uśmiechu, który

rozświetlił jej oczy i ukazał dołki w policzkach. Claude miał nadzieję, że wspomnienie tego uśmiechu osłodzi mu w przyszłości samotne noce.

Przeniósł spojrzenie na powóz oddalający się w stronę głównego traktu. Wiedział, że będzie mu żal opuszczać Rappard Hall. Koniuszy Sellars i stajenni dobrze go traktowali, pracował przy wspaniałych koniach, których wolno mu było dosiadać.

Poklepał Apolla po szyi, na co zwierzę odpowiedziało przyjaznym parsknięciem. Apollo miał być trzecim koniem, którego Claude pokochał i trzecim, z którym miał się na zawsze rozstać.

Jednak ten smutny fakt wydawał się mało istotny wobec perspektywy rozstania z Louisą.

Gabe wjechał na drogę prowadzącą ku farmie na wzgórzu.

- Co za głupi człowiek - wyrzuciła z siebie Emmaline. - Podły, głupi i do tego cuchnący alkoholem.

- Rzeczywiście - mruknął Gabe. Na nim Edwin sprawił wrażenie bardziej chorego niż pijanego.

Emmaline nie mogła usiedzieć spokojnie, wciąż mocno wzburzona po nieudanej wizycie.

- Nie powinien był ci mówić tych impertynencji o tym, kto jest, a kto nie jest dżentelmenem. Bo sam na pewno nim nie jest!

- Edwin zawsze miał paskudny charakter - odparł Gabe. - Gdyby było inaczej, nie pozwolilby sobie na to, co zrobił tobie i Claude'owi.

- Ha! Ja mu zrobiłam coś jeszcze gorszego. I musi na to codziennie patrzeć w lustrze.

Gabe zdecydowanie wolał patrzeć na jej złość niż na rozpacz. Tak czy inaczej, wkrótce musiało do niej dotrzeć, że znowu ją zawiódł, ponieważ odnajdując Edwina, tak naprawdę niczego nie zyskali.

Chyba żeby się okazało, że Claude jest gdzieś w pobliżu. Gdyby udało im się go znaleźć i przemówić mu do rozsądku, życzenie Emmaline wreszcie by się spełniło.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Ciekawe, czy mówi prawdę, że nie pamięta, co się stało. Co o tym myślisz?



- Tamtego dnia był mocno pijany, znacznie bardziej niż zwykle. Możliwe, że nic nie zapamiętał.

- To niesprawiedliwe. - Patrzyła prosto przed siebie na drogę. - Claude i ja będziemy pamiętać aż do śmierci.

Ja też muszę pamiętać, pomyślał Gabe.

Zamilkła. Gabe wiedział, że pogрузyła się w rozmyślaniach o synu.

Jechali dłuższą chwilę nie odzywając się do siebie, aż w końcu Gabe powiedział:

- Przenocujmy u mojego wuja. Jutro musisz odpocząć, a ja pojeżdżę po okolicznych wioskach i popytam o Claude'a. Jeśli jest gdzieś w pobliżu, ktoś będzie o tym wiedział.

- Pojadę z tobą. - Wzięła go pod rękę i oparła się o niego.

- Zobaczymy - odparł wymijająco, zerkając na jej śliczną twarzyczkę ściągniętą troską.

Rozejrzał się po dobrze mu znanym krajobrazie. Wszystko pozostało takie samo jak w czasach jego dzieciństwa: zapach trawy, beczenie owiec dobiegające z oddali, ciepły dotyk słońca na twarzy. Natychmiast ogarnęły go wspomnienia z tamtych szczęśliwych, beztroskich dni. Pobyt na tym kawałku ziemi miał moc odświeżania duszy, przywracania nadziei. Zaprzagnął, żeby i na Emmaline podziałał równie magicznie.

- A jeśli nie znajdziemy Claude'a? - spytała przez ściśnięte gardło. - Jak mamy go powstrzymać, skoro Edwin nie chce nas do siebie dopuścić?

- Najpierw spróbujemy go znaleźć.

- Czuję, że Claude jest gdzieś niedaleko, Gabrielu - powiedziała cicho. - Czuję zagrożenie.

Gabe także je czuł wraz z przeświadczeniem, że są skazani na klęskę.

Mimo trosk spędzili sielankowy wieczór w domu wuja Willa. Emmaline przyrządziła kolację, składającą się ze smażonego kurczaka i *frites*, których Gabe nie jadł od czasu ich wspólnych posiłków w Brukseli. Wuj Will jadł, aż mu się uszy trzęsły.

- Pyszne - powtarzał raz po raz ze szczerym zachwytem.

Po jedzeniu Emmaline uparła się, by Gabe posiedział z wujem, a sama pozmywała naczynia. Później wzięła się do naprawiania ubrań gospodarza, tłumacząc, że potrzebuje

jakiegoś zajęcia. Kiedy zrobiło się ciemno, Emmaline wciąż z igłą w ręku zasiadła pod lampą, żeby dokończyć szycie, a Gabe i wuj, omówiwszy wszystkie sprawy związane z farmą, odpoczywali w milczeniu.

- Powiedzcie mi, dlaczego tak wam zależało, żeby znaleźć tego człowieka w Rappard Hall? - odezwał się w końcu wuj.

Gabe od początku wiedział, że takie pytanie wcześniej czy później padnie.

- Nie mogę o tym mówić - odparł, spoglądając na Emmaline. To ona miała zdecydować, ile, jeśli w ogóle cokolwiek, mogą wyjawić wujowi. Gabe wiedział, że wprawdzie nie będzie naciskał, ale z pewnością zmartwi go ich przygnębienie. Jednak Emmaline akurat w tej sprawie była bardzo nieufna wobec innych ludzi.

- Powiedz swemu wujowi wszystko, Gabrielu. Chcę, żeby wiedział - powiedziała zrezygnowanym tonem.

Nieco zaskoczony jej decyzją, Gabe zaczął opowieść od wydarzeń z Badajoz. Było to konieczne, żeby wuj zrozumiał, skąd wzięło się u Claude'a pragnienie zemsty. Opowiedział, jak szukali Edwina po całej Anglii ze świadomością, że Claude może być tuż obok. Mieli nadzieję, że ostrzeżenie Edwina wystarczy, by mu zapewnić bezpieczeństwo do czasu, aż znajdą Claude'a i przekonają go, by zaniechał szalonego planu. Na koniec opisał wujowi, jak Edwin przyjął ich ostrzeżenie.

Wuj Will słuchał uważnie z głową wspartą na splecionych dłoniach. Gdy opowieść dobiegła końca podrapał się po brodzie i rzekł, w namyśle marszcząc czoło:

- Młody Francuz... Wydaje mi się, że słyszałem o kimś takim...

Szycie wypadło Emmaline z rąk.

- Gdzie?

- U Appletona, kowala. O ile dobrze pamiętam, wspominał o jakimś Francuzie. Tak, na pewno! - Ożywiony spojrzał na Gabe'a. - Pamiętasz Sellarsa? Jest koniuszym u Rappardów, zarządza stajniami. Appleton mówił, że zatrudnił nowego stajennego, który jest Francuzem. Sellars bardzo go chwalił, bo dobrze sobie radzi z końmi.

Emmaline poderwała się z miejsca.

- Najął się do pracy w stajniach Rappardów?

Wuj Will przytaknął.

- Sellars powiedział kowalowi, że to najlepszy pracownik, jakiego miał w życiu.

Gabe także wstał.

- To musi być Claude!

Emmaline podbiegła do niego.

- Musimy tam jechać natychmiast! To nie może czekać do jutra. Jutro... jutro może być za późno!

- Ja pojedę - oświadczył stanowczo Gabe. - Masz szybkiego konia? - zwrócił się do wuja.

- Tylko jeden nadaje się pod siodło. Dziedzic Stapleton wyprzedził wszystko, co się dało, w tym wierzchowce. Zostały tylko konie robocze.

Emmaline wzięła kapelusz i rękawiczki ze stolika przy drzwiach.

- Pojadę z tobą, muszę!

Gabe chwycił ją za ramiona.

- Sam dotrę tam szybciej, a czas jest tu na wagę złota. Zaufaj mi.

Ustała, kiwając głową na zgodę.

- Mam straszne przeczucie... - Urwała, w jej oczach zabłyśły łzy.

Uściskał ją szybko, nie przyznając się, że podziela jej najgorsze obawy.

## Rozdział siedemnasty

Claude dostał się do domu przez otwarte drzwi prowadzące przez spiżarnię do kuchni. Jedyne źródło światła stanowiły resztki żaru na kuchennym palenisku, ale zapamiętał rozkład parteru na tyle, by po omacku dotrzeć do schodów.

Szczęście mu sprzyjało, bo bez trudu znalazł przejście dla służby. Wspinając się po ciemku, odtwarzał w myślach układ pomieszczeń. Musiał wybrać właściwy korytarz i odszukać właściwy pokój.

Podest schodów na piętrze oświetlony był lampą zawieszoną na ścianie, dzięki czemu Claude mógł się zorientować, gdzie jest, ale też łatwiej ktoś mógł go przyłapać. Z walącym sercem zrobił krok w głąb korytarza i policzył drzwi: pierwsze, drugie, trzecie.

Czy znajdzie za nimi swego wroga? Z zewnątrz widział, jak Tranville szykuje się do snu, jak gasi świecę. Tylko czy pozostał w pokoju?

Reszta domu sprawiała wrażenie pogrążonej we śnie. Wstrzymując oddech, Claude na palcach zbliżył się do trzecich drzwi od schodów. Z daleka dobiegły go stłumione głosy.

Ostrożnie przekręcił gałkę i uchylił drzwi na tyle, żeby się wśliznąć do środka. W świetle księżyca sączącym się przez szparę w zasłonach zobaczył zarys łóżka i pozostałych sprzętów. Stół był zastawiony butelkami, z krzesła zwisało rzucone niedbale ubranie. W pokoju panował nieprzyjemny zapach.

Claude wzdrygnął się, przestraszony nagłym chrapnięciem, jednak szybko się opamiętał i podszedł do łóżka, sięgając za pazuchę po sztylet. Z bliska odór był jeszcze trudniejszy do zniesienia. Claude zasłonił usta i nos jedną ręką, drugą wyciągnął przed siebie, dotykając końcem sztyletu szyi Tranville'a.

- Obudź się, łotrze! - odezwał się głośnym szeptem.

Tranville gwałtownie otworzył oczy.

- Co? - wyrzucił z siebie półprzytomnie.

- Bądź cicho albo poderżnę ci gardło. - Claude wykonał nieznaczny ruch dłonią i na szyi pokazała się kropelka krwi.

- Kto... kim jesteś? - Białka oczu Tranville'a świeciły w ciemności. - Jesteś Francuzem? Tym Francuzem? Mówili... a ja im nie wierzyłem.

- Cicho! - warknął Claude. - Byłem chłopcem, którego matkę chciałeś zgwałcić. W Badajoz. Pamiętasz? Śmiałeś się, kiedy inni zabijali mojego ojca. Chcę znać ich nazwiska. Zabiję cię, jeśli mi ich nie podasz. - Tak czy inaczej zamierzał go zabić.

- Nie wiem, jak się nazywają. Nie było mnie tam, naprawdę. Pomyliłeś się, to nie ja. - Skrzywił się, jakby odpierał atak mdłości. - Nie zabijaj mnie!

Claude zwolnił nieco nacisk sztyletu.

- Nie myślę się, to ty. Słyszałem twoje nazwisko. Moja matka okaleczyła ci twarz. Tranville złapał się za policzek.

- Niedobrze mi. - Odwrócił głowę i zwymiotował.

- Odpowiedz na moje pytanie! - Ostrze sztyletu znów mocniej naparło na skórę.

- Nie mogę! - Tranville zacharczał i splunął na pościel.

Claude odwrócił twarz, starając się zapanować nad obrzydzeniem.

- To jakieś cholerne nieporozumienie - tłumaczył słabym głosem Tranville. - Mówiłem Deane'owi, że posuwa się za daleko.

Tak się nazywał angielski kochanek jego matki. Czyżby to on był tym żołnierzem, którego widzieli z Louisą?

- Dlaczego o nim wspominasz?

- Przecież to twój współnik, nie? Wszyscy jesteście w zмовie. - Tranville zaśmiał się drwiąco. - Kiepsko to rozplanowaliście w czasie. Oni przychodzą w dzień, ty wieczorem, a ja miałbym się niczego nie domyślić?

- Oni? - Czyżby w tamtym powozie była jeszcze jedna osoba? Przecież widać było tylko żołnierza...

- Deane i Francuzka, która twierdziła, że rozcięła mi twarz. Czyż sam dopiero co nie mówiłeś, że to twoja matka? Za słabo się wyuczyłeś swojej roli w tej farsie?

Jego matka? I Deane?

Ręka trzymająca sztylet zadrżała.

- Ja krwawię! - krzyknął Tranville histerycznie. - Nie!

- Cicho bądź! - zgromił go Claude.

Musiał to zakończyć, ryzyko wypadki zwiększało się z każdą chwilą. Musiał kończyć i salwować się ucieczką.

Nagle przypomniał sobie o Louisie. A jeśli krzyk Tranville'a ją obudził? Jeśli wejdzie do pokoju i zobaczy go nad zakrwawionym ciałem Tranville'a?

Cofnął rękę ze sztyletem i niemal w tym samym momencie rozległ się kobiecy krzyk wzywający pomocy.

Bez wątpienia należał do Louisy.

Claude natychmiast wybiegł z pokoju na korytarz, gdzie ponownie usłyszał rozpaczliwe wołanie:

- Niech mi ktoś pomoże!

Schowawszy sztylet do pochwy ukrytej pod kurtką, pobiegł za głosem, skracając w inny korytarz na tym samym pięttrze. Widząc smugę światła wydobywającą się spod progu jednego z pokoi, przyłożył ucho do drzwi.

- Niech pan mnie puści! - usłyszał po drugiej stronie. - Ktoś zaraz przyjdzie mi na pomoc.

Przerwał jej rubaszny męski śmiech.

- Nikt cię nie słyszy. Na tym pięttrze mieszka tylko Edwin, a on pewnie dawno śpi pijany jak bela. Nie drocz się ze mną. Przecież chcesz tego tak samo jak ja.

Claude otworzył drzwi.

Leżąca na łóżku Louisa próbowała się wyrwać Nicholasowi Frye'owi, który klęczał nad nią okrakiem, trzymając ją za nadgarstki.

Niesiony gniewem Claude wtargnął do środka, złapał Frye'a za kołnierz i szarpnął do tyłu.

- Nie dotykaj jej! - ryknął.

Nicholas upadł na podłogę, ale natychmiast się poderwał. Claude wymierzył mu cios w brzuch, po którym niedoszły gwałcieiel zachwiał się i wpadł na toaletkę, zrzucając wszystko, co stało na blacie. Rozległ się głośny hałas, a zaraz potem pokój wypełnił zapach perfum Louisy pochodzący ze stłuczonych flakoników.

- Pomocy! - wrzasnął Nicholas. - George! Harry!

Claude słyszał łomot zbliżających się kroków, ale nie przestawał okładać Nicholasa pięściami. Kompani Frye'a wpadli do pokoju i unieruchomili go, chwytając od tyłu.

- Teraz dostaniesz to, co ci się należy! - zawołał Nicholas.

Na Claude'a spadł istny grad ciosów, krew puściła mu się z nosa.

- Dosyć! Zrobicie mu krzywdę! - zawołała Louisa, próbując odciągnąć Nicholasa za włosy.

Kuzyn George odepchnął ją, radząc groźnym tonem, żeby się trzymała z daleka.

W drzwiach ukazał się Tranville.

- Bardzo dobrze, skończcie z nim - rzucił mściwie. - Próbował mnie zabić.

- Ciebie też zaatakował? - zdziwił się Nicholas, wykrzywiając twarz w paskudnym grymasie.

Claude widział, jak Louisa próbuje się wyrwać trzymającemu ją kuzynowi, widział Tranville'a opartego o framugę drzwi. Strużka krwi spływała mu z szyi i wsiąkała w białą nocną koszulę. Po kolejnym miażdżącym ciosie przeciwnika, z mgłą przed oczyma, z bólem pulsującym w uszach, Claude osunął się na kolana.

Nie zdołał zabić Tranville'a. Nie zdołał uratować Louisy. Zawiódł.

Tak jak wtedy, w Badajoz.

Przypomniała mu się potworna scena z Hiszpanii: mężczyźni w czerwonych kurtkach zabijający jego ojca. Resztką sił wyszarpnął spod ubrania sztylet.

- On ma nóż! - krzyknął Harry.

- To nim mnie zranił - podchwycił Tranville.

Nicholas wytrącił Claude'owi broń z ręki. Złowrogo uśmiechnięty, podniósł ją z podłogi.

Claude czuł w ustach smak krwi, ból rozsadzał mu czaszkę. Czekał na śmierć.

Jak jego ojciec.

Gabe galopem zajechał pod Rappard Hall. Dostrzegł w oknie sylwetki mężczyzn, z których jeden zbierał potężne cięgi.

Zeskoczywszy z siodła, załomotał do drzwi, które niemal natychmiast się otwały, a przerażony sędziwy lokaj wskazał schody.

- Biją się! - powiedział jakby z niedowierzaniem.

Gabe wbiegł na piętro, przeskakując po dwa stopnie, i od razu zauważył Edwina stojącego w progu jednego z pokoi.

- Chryste! - wykrzyknął Edwin, uskakując z drogi rozpędzonemu intruzowi.

Gabe ujrzał człowieka, który trzymał w uniesionej ręce nóż wymierzony w pierś Claude'a. Dopadł do niego jednym skokiem, chwycił za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że nóż z brękiem upadł na podłogę.

Pozostali dwaj natarli na niego, ale poradził sobie z nimi bez trudu, roztrącając ich pod ściany niczym kręgle. Nim się pozbiali, chwycił sztylet i wysunął przed siebie, przybierając postawę obronną.

- Cofnąć się! - rozkazał, wykonując ostrzegawcze machnięcie śmiertelnościami ostrzem.

Wszyscy trzej usłuchali, stając pod ścianą. Gabe kątem oka widział, jak młoda kobieta podchodzi do Claude'a i czule go obejmuje. Był w fatalnym stanie, krwawił z nosa i rozcięcia nad okiem, ubranie miał poszarpane. Doprawdy niewiele brakowało...

Gabe rozejrzał się szybko. Zapach perfum wskazywał, że znajdowali się w damskiej sypialni, nie Edwina, choć to on miał krew na koszuli. Nie potrafił zgadnąć, co tu się tak naprawdę wydarzyło.

- Nie jest pani ranna? - zwrócił się do kobiety.

- Nie - odparła, wciąż trzymając Claude'a w ramionach. - Ale... on został bardzo mocno pobity.

Claude otworzył oczy i spojrzał na Gabe'a.

- Kapitan Deane - wydusił z trudem.

- On tu wtargnął! - zawołał mężczyzna, któremu Gabe odebrał sztylet. - Zaatakował naszego kolegę i tę młodą damę. Co niby mieliśmy robić?

- Claude wcale mnie nie zaatakował! Przybył mi na pomoc! - Chwyciła szlafrok leżący na łóżku i narzuciła na siebie. - To pan Frye mnie napastował, a Claude go powstrzymał.

Edwin podszedł bliżej i wskazał na plamy krwi na swojej koszuli.

- Daj spokój, Deane. Przecież to ty go przysłałeś. Próbował mnie zabić.



- Zamknij się, Edwin! - uciszył go Gabe. - Sam ściągnąłeś na siebie kłopoty. Trzymaj język za zębami, chyba że jeszcze ci mało.

- Już nic gorszego nie może mnie spotkać - mruknął drwiąco Edwin.

- Obyś się nie zdziwił - powiedział wyważonym tonem Gabe. - Twój ojciec widział dowód na to, co zaszło w Badajoz.

- Dowód?

- Dowód czego? - włączył się zaciekawiony Frye.

Gabe postąpił ku niemu i dotykając czubkiem sztyletu jego brody, nakazał milczeć, po czym zwrócił się do dwóch pozostałych:

- A wy coście za jedni i co macie do powiedzenia?

- Jestem Harry Stewel - odezwał się pierwszy. - Jak tu wszedłem, ten ktoś... nie wiem, kto zacz... walczył z Nicholasem. Nie wiedziałem, że Nicholas naprzykrzał się panie Finch.

- A ja jestem George Rappard - przedstawił się ostatni z czwórki. - To mój dom. - Wskazał na Claude'a. - Ten człowiek jest intruzem. Podobnie jak pan, sir!

Oskarżenie nie zrobiło na Gabrielu żadnego wrażenia.

- Czy panna Finch jest gościem w pańskim domu? - spytał rzeczowym tonem.

Rappard wyraźnie się zmieszał.

- Gościem? Nie, jest moją kuzynką. Mieszka tutaj.

- Powinieneś się mniej przejmować intruzami, a bardziej tym, żeby chronić kuzynkę przed swoimi przyjaciółmi. - Gabe przyjrzał się jeszcze raz każdemu po kolei. - Przy-nosicie hańbę swoim nazwiskom. Zwłaszcza ty i Edwin - powiedział do Frye'a.

Szczerze zaniepokojony George Rappard zwrócił się do kuzynki:

- Nicholas naprawdę cię napastował?

- Tak - potwierdziła ze łzami w oczach.

- Ona mnie kusiła, to wszystko jej wina - usiłował się bronić Frye.

Claude pozbierał się na nogi.

- Nie możesz jej winić!

- Nie. Nie. Nie. - Rappard machnął ze złością w stronę kompana. - Zaczepiałeś ją, odkąd tylko tu przyjechałeś. Ignorowałem to, myślałem, że tylko przesadzasz, a ty... -

Odwrócił się do Gabe'a. - Chcę zakończyć tę sprawę z zachowaniem dyskrecji. Nie chciałbym, żeby cokolwiek dotarło do sędziego albo do moich rodziców. Mógłbym... mógłbym się dowiedzieć, z kim właściwie mam przyjemność?

- Kapitan Deane z regimentu szkockiego - wyjaśnił Gabe. - Szukałem Edwina. Odwiedziłem go tu dzisiaj.

- Nie będę pytał, po co ani dlaczego wrócił pan o tej porze - zaczął Rappard pojednawczym tonem. - Rad jestem, że pan się zjawił. - Zrobił krok w stronę panny Finch. - Wybacz mi, Louiso.

Bez słowa pokiwała głową.

Młody gospodarz mówił całkiem rozsądnie. Sytuacja wydawała się opanowana. W Gabe'a wstąpiła nadzieja, że może uda mu się zawieźć Claude'a do matki.

- Chętnie opuszczę już pański dom - powiedział do Rapparda. - Zabiorę Claude'a ze sobą, ale musi mi pan obiecać, że ta młoda dama będzie bezpieczna pod pańskim dachem.

- Ma pan na to moje słowo - odrzekł z powagą George, po czym zwrócił się do Edwina: - Nie wiem, czego się dopuściłeś, ale myślę, że powinieneś stąd wyjechać. I ty też - rzucił do Frye'a. - Jutro przez wieś będzie przejeżdżał dyliżans. Obaj do niego wsiądziecie. Nie jesteście tu dłużej mile widziani. - Na koniec rzekł do Gabe'a: - Pan może wyjść, kiedy uzna za stosowne.

- Wyjdziemy od razu. - Schował sztylet w wewnętrznej kieszeni kurtki. - Claude, zbieraj się.

Nie próbował się sprzeciwić. W ogóle się nie odzywał, tylko trzymając się za żebra, pokuśtykał do drzwi. Mijając Edwina, przeszył go spojrzeniem, pod którym ten jakby się nagle skurczył.

Już w korytarzu Gabe chciał podtrzymać Claude'a, ale został odepchnięty.

- Poczekajcie! - zawołała za nimi panna Finch. - Wyprowadzę was. - Podbiegła do Claude'a i podała mu ramię. Jej pomoc została przyjęta.

Cała służba zgromadziła się u stóp schodów.

- Panno Louiso, co się stało? - odważył się spytać starszy lokaj.

- Później wam wyjaśnię - odparła. - Już wszystko w porządku. - Gdy wyszli na zewnątrz, popatrzyła na Claude'a. - Czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdziżyć za to, że mnie uratowałeś?

- Nie myśl, że jestem taki dobry, Louiso, bo nie jestem. - Claude ponuro potrząsnął głową.

Gabe przyglądał się im z zaciekawieniem; najwyraźniej ta para znała się już wcześniej.

Dotknęła jego policzka, zmuszając, by popatrzył jej w oczy.

- Nie mów nic więcej. Dla mnie zawsze będziesz bohaterem i przyjacielem.

- Martwię się, że musisz zostać w tym domu.

- Wierzę, że mój kuzyn szczerze przejął się tym, co tu się wydarzyło - powiedziała ze słabym uśmiechem. - Ale na wszelki wypadek spędzę tę noc w pokoju ochmistrzyni i pozostanę wśród służby, dopóki Nicholas i Edwin nie wyjadą.

Uścisnęli się jeszcze raz na pożegnanie.

- Trzeba się pośpieszyć, Claude - przypomniał łagodnie Gabe.

- Muszę zabrać swoją torbę.

- Ja ją wezmę, tylko powiedz, gdzie ona jest - zaproponował Gabe.

- Jest na tyłach domu, za wielkim drzewem - odparł, nie odrywając wzroku od Louisy.

Gabe odnalazł torbę i podprowadził konia do Louisy i Claude'a, którzy obejmowali się rozpaczliwie, jakby żadne z nich nie było gotowe na rozstanie.

- Wsiadaj. - Gabe wysunął ramię, by pomóc Claude'owi, ale chłopak samodzielnie wspiął się na siodło, wydając przy tym stłumiony jęk bólu.

Louisa pomachała im na pożegnanie i ruszyli w drogę.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytał zrezygnowanym, pełnym bólu głosem Claude.

- Do twojej matki.

## Rozdział osiemnasty

Gdy tylko minęli bramę posiadłości Rappardów, Claude zapytał:

- Dlaczego przywiozłeś tu moją matkę? Odpowiedz. Dlaczego ją tu przywiozłeś? -

Popatrzył przy tym na Gabe'a z jawną niechęcią.

Gabe opanował złość, choć nie przyszło mu to łatwo.

- Twoja matka jest w Anglii z twojego powodu - odparł po chwili, hamując złość. -

Przyjechała z Brukseli i odszukała mnie tylko po to, żebym pomógł cię znaleźć i powstrzymać przed zabiciem Edwina Tranville'a.

Claude wyprostował się w siodle, choć musiało mu to sprawić ból.

- Honor mojej rodziny tego wymagał.

- Uważasz, że to honorowe wymykać się z domu, ukrywając swoje zamiary przed matką? Wiedziałeś, że nie będzie tego pochwałać. Nie miałeś odwagi spojrzeć jej w oczy, więc posłużyłeś się listem. - Gdy Claude umknął wzrokiem, co było wyraźną oznaką poczucia winy, Gabe dodał: - Twoja matka szalała z niepokoju. Bała się, że cię straci. Była przerażona, że to zrobisz i powieszają cię za morderstwo.

Na twarzy Claude'a odmalowała się rozpacz. Gabe zdążył ją dostrzec, nim zawstydzony młodzieniec odwrócił głowę.

- Nie udało mi się. Nie zabiłem Tranville'a. Znów zawiodłem, tak jak wtedy.

- Wtedy? - Czyżby próbował dopaść Edwina już wcześniej?

- W Badajoz.

No tak... Gabe zaczynał rozumieć, że pragnienie zemsty brało się u Claude'a z gniewu na samego siebie.

- Przecież wtedy byłeś małym chłopcem.

- Zabili mojego ojca, a ja nie potrafiłem temu zapobiec. Edwin Tranville chciał zgwałcić moją matkę, ale jego też nie potrafiłem powstrzymać. - Trzymając się za obolałe żebra, głośno wciągał powietrze.

Gabe przypomniał sobie rozdierającą scenę z Hiszpanii, kiedy Claude ze szlochem tulił się do zwłok ojca. Zrobiło mu się go żal.

- Już mówiłem, że byłeś wtedy dzieckiem - powiedział ciepło. - A oni byli dorosłymi mężczyznami, w dodatku żołnierzami. Nie miałeś żadnych szans.

Pomyślał ze złością o mężu Emmaline, który ciągnął ze sobą na wojnę żonę i syna. Przez niego musieli przeżyć to piekło. Może byliby szczęśliwi, gdyby zostali we Francji i nie widzieli tego wszystkiego, co się działo w Badajoz.

Gdyby nigdy nie spotkali Gabriela...

- Teraz to już nie ma znaczenia - powiedział Claude słabym, niemal dziecinnym głosem. - Powstrzymałeś mnie przed zabiciem twojego przyjaciela.

Gabe roześmiał się niewesoło.

- Wiedz, że Edwin nie jest moim przyjacielem. Och, absolutnie. A powstrzymałem cię tylko ze względu na twoją matkę.

Posuwali się naprzód bez pośpiechu. Claude siedział w siodle, a Gabe prowadził konia za uzdę. Widać było, że każdy ruch sprawia chłopcu ból, ale cóż, był strasznie pobijany nie tylko na ciele, ale i na duchu. Przez jakiś czas milczeli, aż w końcu Gabe, choć sądził, że chłopak mu nie uwierzy, to jednak uznał, że należą mu się wyjaśnienia.

- Twój ojciec był żołnierzem i brał udział w wojnie, Claude - zaczął. - Żołnierzom zdarza się polec w bitwach, szturmach czy podczas obrony miasta, on jednak zginął w najbardziej paskudnej odsłonie militarnych działań, kiedy zwycięzcy ogarnięci amokiem dopuszczają się grabieży i gwałtów. Ale to nadal była wojna. - Emmaline mówiła to samo podczas ich pierwszej wspólnej nocy w Brukseli. - Tamtego dnia zginęło w Badajoz trzy tysiące naszych ludzi. Nie próbuję usprawiedliwiać tego, co nastąpiło później, ale może żaden z tych żołnierzy nie dopuściłby się tak barbarzyńskich czynów, gdyby nie wyszedł z tak ciężkiego boju. Nie miałeś okazji się przekonać, jakie piętno wojna może wycisnąć na człowieku. Za szybko zostałeś ranny...

- Skąd wiesz, że szybko zostałem ranny? - przerwał mu Claude.

Gabe zakładał, że Emmaline powiedziała synowi, jak było.

- Atakowałeś mój kwadrat pod Waterloo. Widziałem, jak padasz z konia i wciągnąłem cię do środka, gdzie było bezpieczniej.

- Naprawdę? - Claude wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. - To ty zawiozłeś mnie do Brukseli, do mojej matki?

Gabe'owi serce się ścisnęło na wspomnienie tamtego rozstania.

- Przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić - odparł cicho.

Długi czas jechali w milczeniu, dopiero gdy w oddali ukazały się zabudowania farmy, Gabe doszedł do wniosku, że musi poruszyć jeszcze jeden temat, zanim ponownie odda Claude'a Emmaline.

- Chcę, żebyś mi powiedział, co się dziś wydarzyło w domu Rappardów. Chcę wiedzieć wszystko - dodał z naciskiem.

Wyraz sprzeciwu na twarzy chłopca szybko ustąpił miejsca rezygnacji.

- Poszedłem do pokoju Tranville'a, żeby go zabić. Chciałem go pchnąć sztyletem, ale jakoś nie mogłem się przemóc. Możesz mnie nazwać tchórzem, jeśli chcesz.

- Bałeś się go zabić?

- Nie bałem się! - zawołał Claude z urazą. - Ale pomyślałem, jak się będzie czuła osoba, która go znajdzie nieżywego. I zobaczy całą tę krew. Nie chciałem, żeby to spotkało... kogokolwiek.

- Rozumiem... - Gabe był gotów się założyć, że chodziło o pannę Finch.

- Nagle usłyszałem krzyk Louisy - mówił dalej Claude - i próbowałem ją ratować, ale do pokoju wbiegli jeszcze tamci dwaj i mnie obezwładnili. Ją też zawiodłem... - Głos mu się załamał.

Fakt, że Claude, zwykły stajenny, zwraca się do panny Finch po imieniu, nie uszedł uwagi Gabe'a.

- Jednak ona uważa, że ją uratowałeś. Sama to powiedziała. - Gabe'owi bardzo zależało, by zgnębiony młodzieniec odzyskał choć trochę szacunku do samego siebie.

Claude z ponurą miną pokręcił głową.

- Omal nie dałem się zatłuc. To ty ją uratowałeś.

Przy bramie farmy Gabe zatrzymał konia.

- Chcę, byś dał mi słowo, że nie będziesz już próbował zabić Tranville'a.

- Przecież nie jesteście przyjaciółmi.

- Nie jesteśmy. Żałuję, że sam go nie zabiłem tamtego dnia w Badajoz. Tylko szkodzi ludziom, na których mi zależy.

- Na przykład mojej matce? - podsunął nieprzyjaznym tonem Claude.

Gabe nie dał się sprowokować.

- Przysporzyłeś jej już dość trosk. Nie zasługuje na więcej. Masz mi dać słowo, że nie będziesz jej więcej martwił.

Claude zwiesił głowę. Wyraźnie przejmował się uczuciami matki, co dobrze o nim świadczyło.

- Masz moje słowo - powiedział w końcu, patrząc Gabrielowi prosto w oczy. - Nie udało mi się zabić Tranville'a i nigdy więcej nie będę próbował.

Gabe w odpowiedzi tylko pokiwał głową.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił, wprowadzając konia na podwórze. Nie czuł radości, choć misja zakończyła się pomyślnie. - Zaprowadzę cię do twojej matki.

Słyszając rzenie konia, Emmaline wybiegła z domu. Koszmar oczekiwania dobiegł końca, tylko co miała przeżyć za chwilę?

Wuj chwycił lampę i był już w połowie drogi do stajni. Emmaline dogoniła go i po chwili ujrzeli wysoką sylwetkę Gabe'a. Prowadził konia, na którym ktoś siedział. Ktoś... Emmaline przystanęła z mocno bijącym sercem. Bała się uwierzyć swemu szczęściu.

- Claude! Claude! - zawołała, biegnąc ku nim, kiedy zbliżyli się na tyle, by mogła rozpoznać syna.

- *Maman*. - Głos Claude'a zdradzał ból.

Mimo ciemności widać było, że twarz ma zakrwawioną.

- Jesteś ranny! - przestraszyła się Emmaline.

- Zabierzemy go do środka - powiedział Gabe.

Emmaline nie odstępowała syna, nie mogła się doczekać, by zbadać jego rany i po matczynemu go przytulić.

I tym razem Claude nie pozwolił sobie pomóc przy zsiadaniu, choć stracił równowagę i prawie upadł. Gabe chwycił go w ostatniej chwili i podtrzymał do momentu, gdy Emmaline zagarnęła syna w ramiona.

- Claude. - Oczy zaszklily jej się od łez. - *Mon fils. Mon cher fils*.

Gabriel po raz kolejny zwrócił jej ukochanego syna.

- Żebra mnie bolą - poskarżył się Claude po francusku, gdy zbyt mocno zgmiotła go w uścisku.

Zaniepokojona natychmiast go puściła.

- *Mon Dieu!* Wejdźmy do środka. - Obejrzała się niepewnie na Gabriela. - A co z Edwinem Tranville'em? - spytała po angielsku.

- Nic mu się nie stało.

- *Dieu merci* - mruknęła z ulgą, przeprowadzając syna przez próg.

- Zajmę się koniem - oznajmił wuj Will. - Przenocuję w stajni, więc czujcie się swobodnie.

Emmaline podziękowała mu serdecznie, wdzięczna za zrozumienie i życzliwość.

- Usiądź tu na sofie - zwróciła się do syna po francusku. - Opatrzę ci rany. Jesteś głodny?

- Nie, *maman*.

- To może się czegoś napijesz? Przyniosę ci herbaty.

Gabriel wszedł do izby, niosąc torbę Claude'a. Emmaline spojrzała na niego, szukając słów, które by wyraziły to, co miała w sercu, lecz żadne nie wydały jej się odpowiednie.

- Będę potrzebowała ręczników i bandaży.

- Zaraz jakieś znajdę - odpowiedział, wchodząc na schody.

Emmaline podążyła za nim. Gabe spojrzał na nią zaskoczony, ale się nie odezwał. Dopiero na górze, umieszczając torbę jej syna w niniejszym z pokoi, powiedział:

- Claude może spać tutaj. A tobie będzie wygodnie w drugim pokoju.

- A gdzie ty będziesz spał?

- Na sofie. - Wysunął szufladę komody, wyjął kilka ręczników oraz dwie rolki bawełnianych szarpi i podał Emmaline.

- Gabrielu. - Przytrzymała jego rękę. - *Merci*. Za mojego syna. Za wszystko. - Wiedziała, że te słowa nie wystarczą, ale nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Odsunął się od niej, ruchem głowy wskazując schody.

- On cię potrzebuje.

Zeszli razem na dół, gdzie Claude powitał ich niechętnym spojrzeniem.

- Zostawię was samych - oświadczył Gabe takim tonem, jakby odpowiadał na pytanie widoczne w oczach chłopca.



Emmaline drżały usta. Zrozumiała, że jej syn nie wyzbył się gniewu. Czyżby niczego nie pojął? Gabriel zrobił to wszystko dla niego. I dla niej.

Odprowadziła go wzrokiem i skupiła się na doglądaniu syna.

- Będę potrzebowała wody. - Poszła do kuchni i po chwili wróciła z napełnioną miednicą.

Kłęcząc przed Claude'em, obmyła mu twarz. Miał rozcięcie nad okiem i zaschniętą krew wokół nosa. Opuchnięte policzki zaczynały nabierać siniego odcienia.

- Umyję cię, a potem mi opowiesz, co się stało, dobrze?

Claude z rezygnacją pokiwał głową.

Podczas opatrywania ran w ogóle do niego nie zagadywała. Kiedy miał już pierś owiniętą bandażem, przyniosła mu herbaty. Ręka mu drżała, gdy podnosił kubek do ust.

- Dlaczego z nim jesteś, *maman*? - zapytał wprost, patrząc jej w oczy.

Pytanie ją zaskoczyło. Po tym, co przez niego przeszła, to on powinien składać wyjaśnienia, nie ona. Usiadła obok syna na sofie.

- Ty mnie o to pytasz? Jestem z Gabrielem z twojego powodu - odparła gwałtownie. - Skontaktowałam się z nim, gdy tylko się dowiedziałam, po co pojechałeś do Anglii. Jak mogłeś, Claude? Jak mogłeś planować morderstwo? Dlaczego chciałeś popełnić tak straszny grzech?

- Chciałem... - Zacisnął dłonie w pięści. - Chciałem pomścić ojca. I ciebie.

- Poszedłbyś za to na szubienicę, a wtedy straciłabym cię na zawsze. Musisz mi obiecać, że wyrzekniesz się zemsty. Synu, musisz zapomnieć o tym, że chciałeś zabić Edwina Tranville'a.

- Ten twój kapitan kazał mi dać słowo. Gabriel zadbał nawet o to...

- Och, Claude, tak się cieszę. Powiedz mi, co tam się stało. Jak doszło do tego, że zostałeś ranny?

Opisał jej przebieg wydarzeń w domu Rappardów, ale jego opowieść była chaotyczna i pozostawiła Emmaline z wieloma pytaniami. Miała nadzieję, że Gabriel będzie umiał... i zechce jej udzielić na nie odpowiedzi.

- Cieszę się, że nie zabiłeś - powiedziała, gładząc czule syna po włosach. - Czuję bym się strasznie, gdybym została całkiem sama.

- Sama? - spojrzał na nią wyzywająco. - A twój angielski kochanek? Nie potrzebujesz swojego francuskiego syna.

Ścisnęła go za rękę.

- Nie mów o nim takim tonem! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił...

- Daruj sobie, nie wyliczaj, ileż to razy przychodził mi z pomocą.

Odchyliła się na oparcie sofy, przykładając dłonie do; skroni. Claude'a wciąż przepełniała gorycz, nic się nie zmieniło od czasu Badajoz. Może już nigdy nie miała odzyskać syna takiego, jakim był wcześniej, zanim na jego oczach zabito mu ojca. Przytłaczał ją żal, dręczyło poczucie winy, że nie uchroniła Claude'a od przeżyć, które tak tragicznie zaważyły na jego losie. Najbardziej bolało, że swoją nienawiścią obejmował także Gabriela.

- Powinieneś wiedzieć, że zamierzam za niego wyjść - powiedziała cicho.

Claude zbladł.

- *Non.*

Emmaline odruchowo dotknęła pierścionka ukrytego pod suknią.

- Poprosił mnie o rękę w Brukseli przed wielką bitwą, ale mu odmówiłam. Jednak teraz za niego wyjdę.

- Dlaczego?

Dlaczego? Ponieważ obiecała mu, że go poślubi, jeśli odnajdzie jej syna. Nie, nie dlatego. Bo była mu wdzięczna, że kolejny raz uratował Claude'owi życie?

Nie. Zamierzała go poślubić, ponieważ nie wyobrażała sobie życia bez niego. Chciała się rano budzić u jego boku. Nagle dotarło do niej, że choćby go wysłano do Brazylii, Egiptu czy Chin, to pojedzie z nim. Bo Gabriel był jej przeznaczeniem.

Claude przyglądał jej się podejrzliwie.

- Z mojego powodu, prawda? Czujesz, że musisz się zgodzić na ślub, ponieważ uratował mi życie. Chcesz mu się w ten sposób odwdziżyć.

Rzeczywiście zawarła z Gabrielem taki układ, kiedy wyruszali na poszukiwanie Claude'a, ale teraz wszystko się zmieniło. Czy też inaczej: wreszcie do głosu doszła najgłębsza prawda. Kochała Gabriela, potrzebowała go, wiedziała, że zawsze może na niego

liczyć. Pragnęła od życia szansy, by dowieść Gabrielowi, że ona także nigdy go nie zawiedzie. Szansy trwającej całe dalsze życie.

Kocham cię, Gabrielu, pomyślała, a jej serce natychmiast wypełniła radość.

- Chcę wyjść za Gabriela - oznajmiła, nieświadomie przechodząc na angielski. - Jak miałabym nie chcieć po tym wszystkim, co zrobił?

Claude zerwał się na nogi.

- Porzucasz nawet nasz język dla swojego kapitana? - spytał ze złością po francusku. - Nie mogę dłużej z tobą rozmawiać. Chcę się położyć.

- Jesteś zmęczony - powiedziała ze smutkiem tak głębokim, że chciało jej się płakać, wciąż jednak miała nadzieję, że rano Claude inaczej spojrzy na całą sytuację. - Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni. Na górze masz przygotowane łóżko. Znajdziesz tam swoją torbę.

Trzymając się za żebra, ruszył po schodach na górę.

- Rozumiem, że ty będziesz spała z nim w innym pokoju?

- Nie tej nocy. - Gdy nie odpowiedział, tylko mocniej zacisnął dłoń na balustradzie, zawołała przez łyżki: - Claude! - Wciąż milcząc, przystanął i obejrzał się niechętnie, a wtedy zapytała: - Nie opuścisz mnie znowu? Będziesz tu rano i nie zrobisz niczego głupiego?

- Nie opuszczę cię i nie zrobię niczego głupiego - powiedział nienaturalnie niskim głosem. - I chciałbym, żebyś obiecała mi to samo.

Gabe obserwował z zewnątrz, jak Emmaline opatruje syna. Stał na tyle blisko otwartego okna, że słyszał, jak ze sobą rozmawiają. Nie było to podsłuchiwanie, ponieważ rozumiał jedynie niektóre francuskie słowa. Po prostu czuł potrzebę patrzenia na nią i słuchania jej głosu.

Emmaline i Claude się kłócili, zapewne zresztą o niego. Może powiedziała synowi o umowie, którą zawarli. On wypełnił swoją część zobowiązań.

Ona zaś powiedziała po angielsku: - Chcę wyjść za Gabriela. Jak miałabym nie chcieć po tym wszystkim, co zrobił? Po tym wszystkim, co zrobił.

Zamierzała wywiązać się z obietnicy. Wyjść za niego z wdzięczności.

Wiedział, że nie potrafiłby tego od niej zażądać. Kochał ją, a to oznaczało, że za nic nie chciał jej zranić. Wychodząc za niego, mogła na zawsze utracić syna i choć była gotowa ponieść taką ofiarę, nie mógł jej narazić na cierpienie.

Odczekał, aż Emmaline i Claude pójda spać, i dopiero wtedy cicho wszedł do środka. Zdjął buty, a potem zwinął kurtkę i podłożył sobie pod głowę zamiast poduszki. Sofa była za krótka, więc przysunął do niej krzesło, żeby oprzeć na nim nogi.

Próbował zasnąć.

Bezskutecznie.

W końcu wstał, boso podszedł do okna i rozsunął firanki, a lekki wiatr zaczął chłodzić mu twarz. Patrzył na widoczne w świetle księżycy zabudowania farmy, ścieżkę wiodącą do stajni i wzgórze widoczne w oddali. Niegdyś kwitnące gospodarstwo, obecnie prawie puste i zaniedbane, tchnęło smutkiem, który współgrał z nastrojem Gabe'a. Zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić, że farma wygląda jak dawniej, jest pełna ruchu i gwaru, a zadbane budynki otacza bujny, pięknie utrzymany ogród.

Odwrócił się twarzą do wnętrza i natychmiast wyobraźnia podsunęła mu obraz Emmaline krzątającej się po kuchni albo siedzącej pod lampą z robótką w ręku. Oczyma duszy widział ją, jak układa kwiaty w wazonie lub zrywa je w ogrodzie, ubrana w zwiewną suknię i słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

Kiedyś marzył, że zamieszkają na takiej farmie, będą razem pracować i razem przeżywać wszystko, co przyniesie im życie.

Wrócił na sofę i zmusił się do zamknięcia oczu, jednak sen wciąż nie chciał nadejść. Tak jak nie chciały go opuścić myśli o Emmaline.

Gdy usłyszał szelest materiału, uniósł powieki... i ujrzał ją. Zbliżała się do niego niczym anielska zjawa z włosami rozpuszczonymi na ramiona.

- Nie śpisz, Gabrielu?

Nie odpowiedział, tylko przesunął się, robiąc jej miejsce obok siebie. Natychmiast skorzystała z zachęty, przywierając do niego całą sobą.

- Musiałam być z tobą - powiedziała, dotykając koniuszkami palców jego twarzy.

Pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek z gorliwością, która rozpałała mu zmysły. Rozpięła mu spodnie, a on przesunął dłonią w górę po jej udzie, podciągając nocną koszulę. Połączyli się ze sobą, nie bacząc na to, że oboje są na wpół ubrani.

Zniknęło poczucie dotkliwej samotności, które jeszcze przed chwilą przygniatało Gabe'a.

Podczas wędrówki w poszukiwaniu Claude'a, kiedy sypiali razem w przydrożnych gospodach, na nowo odkryli radość, którą dawały cielesne zbliżenia. Gabe dawno przestał sobie wmawiać, że szuka w nich jedynie fizycznej przyjemności. Kochanie się z Emmaline było mu potrzebne jak powietrze do oddychania. Tylko ona potrafiła wypełniać pustkę w jego duszy, nadawać sens jego życiu.

I tym razem, jak zawsze, jednocześnie osiągnęli spełnienie. A potem, gdy wyczerpani doznaniem leżeli objęci, w głowie Gabe'a tkwiła natrętnie tylko jedna myśl: że kochał się z Emmaline po raz ostatni.

Że to było ich pożegnanie.

## Rozdział dziewiętnasty

Emmaline nie udało się namówić Gabriela, żeby przeniósł się wraz z nią do łóżka w jej pokoju, a ponieważ na sofie nie dało się spać we dwoje, niechętnie opuściła go i poszła na górę. Po drodze zajrzała do pokoju Claude'a. Jej syn spał jak zabity. Czując nagle wielkie zmęczenie, szybko się położyła.

Następnego ranka obudziły ją promienie słońca wpadające przez okno. Przeciągając się na posłaniu, pomyślała, że zapowiada się cudowny dzień. Claude wreszcie był bezpieczny z nią i z Gabrielem. Miała nadzieję, że dwaj najbliżsi jej mężczyźni wreszcie dojdą do porozumienia, a Claude dostrzeże, że choć Gabriel jest Anglikiem i do tego oficerem, ma prawy charakter i rozliczne zalety.

Pierścionek zakołysał się na łańcuszku, kiedy odrzucała kołdrę, żeby wstać z łóżka. Ubierała się szybko, przyjemnie ożywiona myślą, że zaraz ugotuje smaczne śniadanie.

Zerknęła przez uchylone drzwi do sąsiedniego pokoju. Claude wciąż spał. Sen był korzystny przy jego stanie. Miała nadzieję, że pomoże uleczyć rany, i to nie tylko te na ciele.

Zeszła na dół i przystanęła u stóp schodów. Sofa była pusta, pokój uprzątnięty. Nigdzie śladu Gabriela.

W drzwiach kuchni ukazał się jego wuj. Wycierał dłonie w ścierkę, ale na widok Emmaline znieruchomiał.

- Dzień dobry, panie Deane - powitała go radośnie. - Mam nadzieję, że pan jeszcze nie jadł śniadania, bo chciałabym ugotować wam coś dobrego.

Odłożył ścierkę i z poważną miną wskazał na stół.

- Tam jest list dla pani.

- Od Gabriela? - spytała z uśmiechem, choć zaczęło się w niej lęknąć straszne przeczucie.

Przytaknął skinieniem.

Wzięła ze stołu złożoną na czworo kartkę, rozprostowała i zaczęła czytać:

*Najdroższa Emmaline.*

*Zostawiłem w rękach Wuja pieniądze, które wystarczą na podróż Twoją i Claude'a do Brukseli. Planuję jutro podesłać wam wynajęty powóz, który was zabierze do Hull, skąd możecie wyruszyć do Belgii. Za parę dni będziecie z powrotem w domu.*

*Zależy mi bardzo, byś wiedziała o czymś. Otóż nigdy nie zamierzałem cię zmuszać, żebyś za mnie wyszła. Jestem stworzony do służenia w wojsku, nie do małżeństwa, i nawet Twoja wdzięczność nie stanowi dostatecznego powodu, żebym Cię wciągał w żołnierskie życie. Żaden powód nie jest wystarczający, bym to zrobił. Proszę, wybacz mi, że pozwoliłem Ci wierzyć, że tego od Ciebie oczekuję... od Ciebie, która dałaś mi tyle szczęścia. Zaslugujesz na życie łatwiejsze niż to, które dla siebie wybrałem.*

*Nigdy bym też nie rozdzielił Cię z synem, nie oderwałbym od Ciebie osoby, która zawsze zajmowała najważniejsze miejsce w twoim sercu. Wystarcza mi świadomość, że Go odzyskałaś.*

*Wracaj do Brukseli i bądź szczęśliwa, najdroższa Emmaline. Będę sobie wyobrażał, jak spacerujesz po parku albo krzątasz się po sklepie pośród białych koronek. Czas i odległość nigdy nie zatrą Twego obrazu w mojej pamięci.*

*Z dozgonną miłością,*

*Gabriel*

- Nie! - Przycisnęła list do piersi. - On wyjechał?

Na twarzy starego Willa odmalowało się współczucie.

- Tak, o świcie - potwierdził. - Powiedział, że odwiezie giga do Blackburn.

- A potem? - wydusiła przez ściśnięte gardło.

- Tego mi nie zdradził.

Tak po prostu wyjechał? Nie mogła w to uwierzyć.

- Musiał coś powiedzieć - nie ustępowała.

- Kazał mi dopilnować, żeby pani wzięła sakiewkę, którą zostawił. - Pocieszającym gestem dotknął jej ramienia. - Niech się pani nie martwi, madame. Myle, że Gabriel chciał pani oszczędzić przykrej sytuacji. Powiedział, że chciała pani za niego wyjść z wdzięczności za odnalezienie pani syna, ale on nie mógł...

- *Non!* - zawołała z rozpaczą. - Wcale nie z wdzięczności... - Czyżby to była jej wina, że oszedł?

Nie powiedziała mu, co naprawdę czuje. Była za bardzo skupiona na synu, by powiedzieć Gabrielowi, że pragnie być z nim bez względu na wszystko, choćby władza wysłała jego oddział na koniec świata.

- Mówił, że wojskowa kwatera to nie jest miejsce dla kobiety - powiedział wuj, jakby czytał w jej myślach.

- Wraca do Londynu, żeby znaleźć stanowisko w jakimś regimencie.

- Pewnie tak - przyznał wuj, drapiąc się po brodzie.

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem treść listu. Gabriel nie chciał jej narażać na trudy żołnierskiego życia. Nie chciał jej rozdzielać z synem. Zupełnie inaczej niż Remy, jej mąż, któremu bała się przeciwstawić i przez to ich rodzina tak bardzo ucierpiała. Gabriel kochał ją miłością, do jakiej Remy nie był zdolny. Nie myślał o sobie, tylko o niej. I o jej synu.

Złożyła list i schowała do kieszeni sukni.

Na dźwięk kroków na schodach Emmaline i wuj Will odwrócili się jednocześnie. Claude przystanął, wspierając się na balustradzie. Pod oczami miał sine kręgi, a rozcięcie nad okiem przypominało ślad po maźnięciu czerwoną farbą.

- Zaraz miałam robić śniadanie - odezwała się Emmaline do syna po francusku, po czym po angielsku, zapytała wuja Willa: - Panie Deane, mogę ugotować także dla pana?

- Już jadłem. - Skierował się ku drzwiom. - Muszę iść dopatrzeć owiec, więc jeśli pani pozwoli... - Oglądając się od progu na Claude'a, dodał: - Proszę się czuć jak u siebie, młody człowieku.

Claude tylko kiwnął głową, ale kiedy zostali sami, zwrócił się do matki cierpkim tonem:

- Gdzie twój kapitan?

- Wyjechał.

- A kiedy wróci?

Starła się mówić spokojnie, ale ciężko jej było nawet oddychać.

- Nie wróci.



- Nie rozumiem. - Głos Claude'a zdradzał szczere zaskoczenie.

- Wyjechał i nie wróci - powtórzyła wyraźnie, po czym wyszła do kuchni. Nie chciała o tym rozmawiać z Claude'em, przynajmniej nie w tym momencie.

Prowadząc giga, którym wspólnie podróżowali przez tak wiele dni, Gabe miał wrażenie, że wciąż czuje obecność Emmaline u swego boku. Dobrze pamiętał jej napięcie i troskę, a także to, jak w chwilach zwątpienia przytulała się do niego, szukając otuchy. Teraz przynajmniej nie miała już powodu się martwić. Zwrócił jej ukochanego syna i ułatwił im powrót do Brukseli. Miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku, ale nie dawało mu to radości. Przeciwnie, pograżyło w głębokim smutku.

Rozejrzał się wokół po łagodnych zielonych zboczach, na których pasły się owce. Widok kojarzył się ze szczęśliwym, spokojnym życiem, jakże różnym od tego, które było jego udziałem. Życie żołnierza. Walka. Śmierć.

Na chwilę zamknął oczy, przypominając sobie odgłosy walki, zapach pola bitwy, wyraz oczu wroga trafionego prosto w pierś. Oprócz znoju i krwi, były też chwile uniesień: radość ze zwycięstwa, świadomość, że udało się przetrwać, choć śmierć zbierała obfite żniwo.

Otworzył oczy i spojrzał w czyste błękitne niebo. Powietrze pachniało trawą, dzikim kwieciem, koniem... życiem. Jedyne odgłosami, które słyszał, były leciutki szum wiatru, stukot kopyt, beczenie owiec.

Na wspomnienie wojny poczuł odrazę. Co się stało z człowiekiem, którego kiedyś nudziły takie sielskie sceny, który swoje miejsce widział w szeregach atakujących wroga? Gdzie się podział jego żołnierski duch?

Emmaline.

Znajomość z nią całkowicie go odmieniła. To ona sprawiła, że zapragnął rodziny i domu.

Jakże okrutny potrafi być los! Dał mu Emmaline, a potem ją odebrał. Gabe powtarzał sobie, że postąpił właściwie, usuwając się z jej życia. Nie chciał stawać między nią a jej synem. Zamierzał wrócić do wojska... tylko że nadal nie miał stanowiska. I wiedział, że wcale nie jest łatwo je zdobyć.

Szarpnął lejcamy, poganiając konia do szybszego kroku.

Za dwie lub trzy godziny miał dotrzeć do Blackburn, oddać giga i wrócić dyliżansem do Londynu. Za parę dni należało znów odwiedzić Ministerstwo Wojny. Gdyby się okazało, że pod jego nieobecność nie pojawiły się żadne nowe możliwości, zawsze mógł dołączyć do regimentu szkockiego w Indiach Zachodnich. Wróciłby do nieznośnego upału i wilgoci, niezliczonych owadów i chorób, żeby tłumić rebelię niewolników, którzy walczą, bo chcą być wolni.

Dobry Boże...

Czyżby tylko tyle los miał mu do zaoferowania? Tak miało wyglądać całe jego dalsze życie?

Zaledwie cztery dni po rozstaniu z Gabrielem Emmaline i jej syn stali na pokładzie statku pocztowego zmierzającego przez Kanał na Kontynent.

- Przysięgam, że zarobię te pieniądze i mu oddam - mówił Claude, wciąż niepokojony z faktem, że to dzięki hojności Gabriela mogą wracać do domu. - Do ostatniego pensa.

Emmaline patrzyła na brzeg rzeki Hull, żegnając się w duchu z Anglią.

- Dostaliśmy je w prezencie od Gabriela.

Claude prychał lekceważąco. Ostatnie dni były dla Emmaline wyjątkowo trudne. Claude wciąż ział tak silnym gniewem, że obawiała się, by znowu nie uciekł, szukając zemsty na Edwinie. Musiała uważać na każde słowo, żeby jeszcze bardziej nie rozzłościć syna.

Miała przy tym nadzieję, że kiedy już dotrze do Brukseli, uda jej się zostawić za sobą przeszłość i zacznie myśleć o przyszłości. Może wróci do Francji, do rodziców? O wiele łatwiej było rozmyślać o tym, co powinien zrobić Claude, niż zastanawiać się nad własną przyszłością. Ciotka wprawdzie wypatrywała jej powrotu, czekała też na nią praca w sklepie z koronkami, lecz bez Gabriela jej życie będzie puste i samotne.

Spojrzała ukradkiem na syna. Zdjął czapkę i wiatr rozwiewał mu włosy, ciemne, lekko kręcone, tak podobne do jej włosów. W zależności od wyrazu twarzy wyglądał raz jak chłopiec, raz jak dorosły mężczyzna.

Przypomniała sobie inną podróż, za którą także zapłacił Gabriel - ich powrót z Hiszpanii do Francji. Serce ścisnęło jej się z bólu.

- Cieszę się, że opuszczam Anglię - powiedział.

Emmaline była pewna, że w jego głosie usłyszała nutę żalu. Czyżby żałował, że nie zabił Edwina Tranville'a? Instykt podpowiadał jej jednak, że chodzi o coś innego.

- Też się cieszę, że opuszczasz Anglię - przyznała.

- A ty, *maman*? Nie cieszysz się, że wyjeżdżasz?

Emmaline popatrzyła na syna, ale mu nie odpowiedziała.

- Wciąż tęsknisz za swoim kapitanem, chociaż cię porzucił - dodał po chwili.

- Zostawmy ten temat, Claude - poprosiła ze ściśniętym gardłem. - Nie chcę rozmawiać o moich uczuciach. - Gdy ściągnął brwi w wyrazie dezaprobaty, poczuła się dziwnie. Z tym grymasem aż za bardzo przypominał swego ojca. Po namyśle dodała po chwili: - On mnie nie porzucił, Claude. Odjechał, bo uważał, że tak będzie dla mnie najlepiej.

- Uznał, że to on wie, co jest dla ciebie najlepsze? - rzucił kpiąco.

Ojciec Claude'a także decydował o tym, co według niego było dla niej najlepsze, a ona bała mu się przeciwstawić. Gabriela nigdy się nie bała, a przeszli razem tak wiele.

- Dlaczego tak źle go oceniasz? - spytała wpatrzona w oddalający się brzeg. - Przecież wiele mu zawdzięczasz.

- Zadał mi to samo pytanie - przyznał Claude, zaciskając dłoń na drewnianej barierce.

- Naprawdę? - zdziwiła się Emmaline.

- Owszem, pytał... A ja sam już nie wiem, *maman* - odpowiedział tonem pełnym niechęci. - Przyznaję, uratował mnie i Lou... pannę Finch, ale jego czerwony mundur przypomina mi, że jest brytyjskim żołnierzem i od razu mam przed oczyma tych, którzy zabili papę.

- Ale przecież Gabriel nie brał w tym udziału. Co więcej, zapewnił nam bezpieczeństwo. Nie pamiętasz?

- Pamiętam. - Odepchnął się od barierki. - Wszystko pamiętam. Poza tym, co się stało pod Waterloo. Byłem pewien, że wymyśliłaś tę historię, ale teraz wierzę, że tak było naprawdę. Deane ratował mnie wiele razy. - Oczy mu zapłonęły. - I właśnie o to chodzi, nie rozumiesz? Potrafił zrobić to, co nie udało się mojemu ojcu. I mnie. I to za każ-

dym razem... - Przerwał na moment. - Och, doskonale wiem, że to nie ma sensu, zwłaszcza po tym, co zaszło w Rappard Hall. - Odwrócił wzrok, ale zdążyła dostrzec w jego oczach tęsknotę, nim znów wypełniły się bólem. - Wiem tylko tyle, że nie potrafię mu przebaczyć. - Odwrócił się i odszedł.

Emmaline stała nieruchomo na pokładzie. Nawet kiedy brzeg Anglii całkowicie zniknął jej z oczu, nie odwróciła się w stronę Antwerpii, gdzie miał przybić ich statek, ani Brukseli, którą kiedyś nazywała swoim domem.

TLR

## Rozdział dwudziesty

Gabe wracał do hotelu U Stephena, nie widział sklepów ciągnących się wzdłuż Bond Street. Właśnie podpisał papiery, które wyznaczały nowy kierunek jego przyszłości, ale nie był do końca pewien, czy postąpił słusznie.

Wzruszył ramionami. Wszelkie rozterki nie miały sensu, ponieważ z chwilą złożenia podpisu sprawy zostały przesądzone.

Przykładając pióro do papieru, pomyślał o Emmaline. Jakże inaczej by się czuł, gdyby była u jego boku. Nie żałował jednak, że ją opuścił. W swoim przekonaniu zachował się właściwie. Mógł mieć jedynie pretensje do losu, że nie pozwolił im być razem.

Wchodząc do hotelu, miał nadzieję, że w holu będzie pusto. Niektórzy z mieszkających tu wcześniej oficerów znaleźli już posady, inni zdołali się korzystnie ożenić, ale i tak zostało wielu, którzy wciąż żyli w zawieszeniu i chętnie by wciągnęli go w rozmowę, by poznać jego plany, i to ze szczegółami, a nie miał ochoty odpowiadać na żadne pytania.

Jak zawsze zdjął czako, wrzucił do niego rękawiczki i zadowolony, że nikogo w pobliżu nie widać, ruszył ku schodom.

Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nim lokaj dyżurujący zwykle przy wejściu.

- Kapitanie, ktoś chce się z panem widzieć. Czeka we frontowym salonie. A teraz przepraszam, bardzo się śpieszę. - Wyminąwszy Gabe'a, niemal wbiegł na schody.

- Kto to jest? - zawołał za nim Gabe, ale lokaj odpowiedział jedynie nieokreślonym machnięciem.

Zrezygnowany skierował się do salonu. Miał nadzieję, że spotka tam Allana Landona albo Jacka Vernona. Widział się już z nimi po powrocie do Londynu, żeby im opowiedzieć o tym, co się stało z Edwinem.

Otwierając drzwi, doznał dziwnego wrażenia, że czas się cofnął. Pomyślał o dniu, gdy zniecka pojawiła się u niego Emmaline. I tym razem, tak jak wówczas, pokój wydawał się pusty. I tak samo rozległ się szelest jedwabiu od strony fotela odwróconego przodem do kominka.

Gabe znieruchomiał.

- *Bonjour*, Gabrielu - powiedziała Emmaline, stając przed nim.

Był przekonany, że już nigdy nie zobaczy jej ślicznej twarzy, wyrazistych niebieskich oczu, ust, o których śnił podczas samotnych nocy.

Szybko się otrząsnął. Mógł być tylko jeden powód, dla którego znów go odnalazła.

- Chodzi o Claude'a? - zapytał.

Zamrugła, jakby ją zaskoczył.

- *Non, non*, nie przyjechałam tu z jego powodu.

- Więc dlaczego? - Cokolwiek miał usłyszeć, był gotów znowu jej pomóc.

Nie widział innej możliwości, choćby zwracała się do niego i tysiąc razy.

Kiedy do niego podeszła, poczuł dobrze znany zapach lawendy.

- Przyjechałam z tobą porozmawiać. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Dawno temu nie odezwałam się, choć powinnam. Zabrakło mi odwagi. Popelniłam straszliwy w skutkach błąd. Zdarzyło mi się to ponownie ostatnio, kiedy byliśmy razem... W stosownej porze nie powiedziałam tego, co powinnam była powiedzieć, a potem ty zniknąłeś... - Głos jej się załamał.

- Co masz na myśli? Powiedz mi. Zrobię, co tylko będę mógł, żeby ci pomóc.

Z czułym uśmiechem pogładziła go po policzku.

- Mój *cher capitaine*. - Gdy chwycił jej dłoń i spojrzał pytająco na złoty pierścionek z szafirem zdobiący palec, dodała: - Nosłam go na łańcuszku pod suknią, Gabrielu. Powiedziałam, że za ciebie wyjdę. - Zamilkła na chwilę, jakby zbierała w sobie odwagę. - Przyjechałam ci powiedzieć, że tego chcę. Pragnę za ciebie wyjść.

- Emmaline, przecież zwolniłem cię z tej obietnicy. Nie jesteś wobec mnie do niczego zobowiązana.

- Nie rozumiesz, Gabrielu. Ja chcę za ciebie wyjść, jeśli... jeśli ty też tego pragniesz. Przyjechałam tu po to, byś usłyszał ode mnie te słowa. Pojadę za tobą wszędzie tam, gdzie wyślą cię twoi dowódcy. - Chwyciła go za ramię. - Mówię to, bo cię kocham. Kochałam cię już w Brukseli, ale się bałam. Nadal mam różne obawy, ale najbardziej się boję życia bez ciebie.

Gabe bał się uwierzyć w swoje szczęście.

- A Claude? Nigdy nie zaakceptuje naszego małżeństwa.

Oczy jej posmutniały.

- To prawda. Powiedział mi, że nie chce mnie widzieć, dopóki będę z tobą.

- Więc nic z tego. - Pokiwał ze smutkiem głową. - Nie chcę, żebyś przeze mnie straciła syna.

- To nie tak, Gabrielu. To nie przez ciebie. I nie przeze mnie. Claude sam dokonuje wyboru.

- Tak... - Patrząc na nią, dostrzegł cierpienie wywołane postawą syna. I coś jeszcze: niezłomną wolę.

- Sam powiedziałeś, że Claude jest już mężczyzną, więc musi brać odpowiedzialność za swoje decyzje. - Uśmiechnęła się blado. - Poza tym obiecał, że będzie do mnie pisał, a to już coś. Wystarczy mi wiedzieć, że ma się dobrze i szuka szczęścia zamiast zemsty. A zresztą... może z czasem zmieni zdanie?

Serce Gabe'a rozgrzała nadzieja.

- Jesteś pewna, Emmaline? Naprawdę chcesz za mnie wyjść?

- *Mais oui*. Niczego bardziej nie pragnę.

Porwał ją w objęcia i trzymał, jakby się bał, że znów ją utraci.

- Emmaline, kochana...

- Gabrielu... - szepnęła głęboko wzruszona. - Nie mogę ci dać dzieci, nie mam posagu, nic nie wniosę do naszego małżeństwa poza obietnicą całkowitego oddania...

- To nie ma znaczenia - zapewnił ją gorąco. - Możemy być rodziną tylko we dwoje. A już z całą pewnością nie potrzebuję od ciebie pieniędzy. Potrzebuję tylko ciebie.

- Pojadę z tobą choćby na koniec świata. Znalazłeś już stanowisko?

Odsunął ją od siebie na tyle, by spojrzeć jej w twarz.

- Nie mam stanowiska, Emmaline! - oznajmił rozpromieniony. - Och, Emmaline, nie służę już w wojsku. Miałabyś coś przeciwko temu, żeby wrócić do Lancashire? Właśnie dziś kupiłem farmę, którą prowadził wuj Will. Będzie należeć do nas. Zadbam o wuja i resztę ludzi, którzy na niej pracują. Możemy znów przywrócić ją do rozkwitu. Razem.

Ponownie ją do siebie przyciągnął i nakrył jej usta pocałunkiem, który wyrażał całą jego miłość i szczęście.

## Epilog

*Londyn, listopad 1817 r.*

Po powrocie do Londynu Emmaline z Gabrielem udali się na proszony obiad, raczej skromny, jako że niedawna śmierć w połogu księżniczki Charlotty pogrążyła cały kraj w żałobie.

Mimo smutnych okoliczności nic nie było w stanie przyćmić ich szczęścia, którym cieszyli się od dwóch miesięcy. Po cichym ślubie Gabriel zabrał Emmaline na wycieczkę po Lake District, a potem do Manchesteru, żeby poznała jego rodziców, braci, siostry oraz niezliczone rzesze bratanków i siostrzeńców. Emmaline odniosła wrażenie, że została po prostu włączona do rodzinnego tłumu, co całkiem jej odpowiadało. Po tej wizycie spędzili kilka tygodni w swoim domu na farmie, gdzie panowało duże ożywienie ze względu na okres kocenia się owiec oraz działania Gabriela zmierzające do odbudowania dawnej świetności gospodarstwa.

Kiedy przybyli do Londynu, Allan i Marian Landonowie uparli się, że uczczą ich zaślubiny obiadem, na który zaproszeni zostaną również Jack i Ariana Vernonowie.

Obie pary powitały ich jak starych przyjaciół. Allan otworzył butelkę francuskiego szampana i wznosił toast:

- Za wasze szczęście!

- Za nas wszystkich - odpowiedział Gabriel, oszłamiająco przystojny w czarnym surducie, śnieżnobiałej koszuli i kremowych spodniach.

- Opowiedzcie nam o swoim ślubie i podróży - poprosiła Ariana, która oczekując drugiego dziecka, wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle.

Kiedy Gabe, spełniając jej życzenie, opisywał wędrówkę po krainie jezior, w drzwiach stanął potężny ochmistrz Landonów.

- O co chodzi, Reilly? - zapytała go Marian.



- Jest tu lady Tranville - odparł niepewnie. - Życzy sobie zamienić z panią słowo. Lady Tranville? Matka Jacka zamężna z ojcem Edwina Tranville'a?

- Wprowadź ją - polecił Allan. - Pozna naszych gości i przy okazji zobaczy się z synem i synową.

- Lepiej będzie, jak państwo najpierw sami z nią porozmawiają - zasugerował Reilly.

Allan i Marian przeprosili swoich gości i wyszli.

- Proszę nam opowiedzieć o farmie - poprosiła Ariana, starając się przełamać aurę niepokoju, która nagle zapanowała w salonie.

Po chwili Allan i Marian wrócili w towarzystwie lady Tranville, starszą już damą. Poważne miny całej trójki oraz zaczerwienione oczy Marian kazały domniemywać, że lady Tranville przyniosła złe wieści.

- Witaj, mamó. - Jack ucałował ją w policzek. - Co się stało? Czyżby lord Tranville...?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Edwin - powiedziała cicho.

Emmaline poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Powiedziałem lady Tranville, że wszyscy będą chcieli usłyszeć wiadomość - włączył się szybko Allan, po czym patrząc na Emmaline, oznajmił: - Edwin Tranville nie żyje.

Emmaline bała się oddychać.

- Jak to się stało? - spytała prawie szeptem.

- Niewydolność wątroby - odpowiedziała lady Tranville. - Chorował od wielu tygodni. - Popatrzyła ze współczuciem na Marian, która była kuzynką zmarłego. - Nie chciałam przekazywać tej wiadomości przez posłańca. To w końcu niedaleko. - Skierowała się ku drzwiom. - Teraz muszę wracać do mojego męża. Jest zdruzgotany.

Po jej wyjściu Ariana serdecznie objęła Marian, widząc łzy w jej oczach.

- Żal mi go mimo tych wszystkich krzywd, które wyrządził. - Spojrzała na Emmaline. - Pamiętam go jako bardzo smutnego małego chłopca.

Allan czule objął żonę i podprowadził ją ku sofie, na której usiedli.

- Zapił się na śmierć - powiedział jakby do siebie Jack.

Przez chwilę wszyscy milczeli, pogrążeni w myślach.

- To on nas połączył - odezwał się zniecierpliwiona Gabe. - On i jego ojciec. Nie byłibyśmy tu dziś razem, gdyby nie to, co Edwin zrobił Emmaline.

Wszyscy zgodzili się z nim, ale szybko zakończyli temat Edwina i przeszłości, jako że przyszłość zapowiadała się znacznie ciekawiej, i to dla każdego z nich. Jack zyskiwał sławę jako artysta, co wiązało się z coraz lepszymi dochodami, kariera aktorska Ariany również nabierała rozpędu. Allan przy wsparciu żony dążył do zdobycia miejsca w Parlamencie i wszyscy wierzyli, że mu się to uda. Plany Gabriela i Emmaline mogły się wydawać skromniejsze, ale dla nich były spełnieniem najpiękniejszych marzeń.

Nieco później, kiedy leżeli już w łóżku w hotelu Grillon, Gabe jeszcze raz wspominał o Edwinie:

- Wiadomość o jego śmierci musiała cię zaskoczyć. Bardzo się zdenerwowałaś?

- Trochę - przyznała Emmaline. - Nie żałuję go, ale skoro umarł z przepicia, to tak, jakby sam się zabił, prawda? Można powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość. Zniszczył siebie, tak jak próbował zniszczyć nas.

- Tak... - Gabriel w zadumie pokiwał głową. - A my wszyscy żyjemy i jesteśmy szczęśliwi. Landonowie, Vernonowie, a także ty i ja. Może kiedyś nawet Claude będzie szczęśliwy - zakończyła tonem pełnym nadziei.

Przytulił mocniej Emmaline, która z błogim uśmiechem zapadła w spokojny sen u boku ukochanego męża, myśląc o ich przyszłym wspólnym życiu.

